

Deborah Smith

Legendy

Rozdział 1

Świat Douglasa Kincaida był całkiem w porządku. Za jego plecami wielkie na całą ścianę okno ukazywało mieniący się nocą Manhattan. Douglas Kincaid był właścicielem tych leżących na sześćdziesiątym piętrze okien, z których roztaczał się widok zapierający dech w piersiach. Douglas posiadał również pięćdziesiąt dziewięć pięter, leżących poniżej jego spoczywających na wspaniałym dywanie stóp. W rzeczy samej był właścicielem całego drapacza. I zgodnie z wrodzoną skromnością nadał mu nazwę Pałacu Kincaida.

Posiadał także wiele innych budynków, przedsiębiorstw i domów rozrzuconych po całym świecie. Kochał każdy z nich. Sprzedając, używając, kupując jeden czy kilka naraz, zawsze, ale to zawsze bez wyjątku, nadawał mu swoje imię. Nawet złoty medalista, leżący u jego stóp myśliwski pies, wabił się Jego Wysokość Kincaid. Ponieważ jednak Douglas Kincaid nie traktował siebie aż tak poważnie, jak można by się tego spodziewać, prywatnie nazywał swego psa Sam.

- Przynieś, Sam, przynieś whisky - powiedział.

Sam pobiegł w kąt ogromnego pokoju, do polakierowanego na złoto baru, gdzie wspiąwszy się na tylne łapy, pochwycił w swoje mocne szczęki butelkę przedniej szkockiej whisky. Wrócił do pana i warknął z zadowoleniem, gdy Douglas głaskał go po głowie. Po nalaniu scotcha do wysokiej kryształowej szklanki, Douglas odstawił butelkę na lśniący, pochodzący z eleganckiego magazynu Art Deco, podręczny stoliczek, łyknął nieco trunku i westchnął z zadowoleniem.

Za oknami pogrążonego w ciemnościach wytwornego biura sypał śnieg. Wewnątrz wyborny system dźwiękowy szeptał uwodzicielsko w tonacji jazzu. Atmosfera pasowała wyśmienicie do tego refleksyjnego nastroju. Sylwestrowy

wieczór nadawał się świetnie na rozpoczęcie nowego przedsięwzięcia. Dokończywszy drinka, zatarł z zapalem dłonie i uśmiechnął się szeroko.

Otóż, Douglas Kincaid był gotów nadać swe nazwisko żonie.

Rozparł się w rozłożystym fotelu, zasalutował ironicznie odbywającemu się za jednostronnie odbijającym lustrem przyjęciu, po czym nacisnął klawisz biurofonu.

- No dobra, Gerto, popatrzmy na listę.

Jego sekretarka, której głos zdradzał wyraźnie francuskie pochodzenie, zrobiła gest skrajnej rozpaczki.

- One wszystkie są tak niegodne, monsieur K.! Zachichotał.

- Od czegoś muszę zacząć. Najpierw blondynki. Zaczynaj, Gerto!

- Proszę bardzo, a zatem blondynki. Jest ich pięć. Jeśli popatrzy pan na prawo od Picassa, niedaleko od wyjścia na schody, zobaczy pan księżną Atworth. Rozmawia z monsieur i z madame Trump.

Douglas przyglądał się nabitej sali balowej przez jednostronne lustro, zamontowane w ścianie jego apartamentu. Dostrzegł w końcu księżną, zajętą ożywioną konwersacją z przyjaciółmi, Donaldem i Iwoną.

- Niezła - oświadczył. - Ale zbyt młoda.

- Starsze są bardziej wymagające.

- Lubię to, co niełatwe. Następna?

- Śpiewaczka Platinum. Pamięta pan, jak przysłała panu autograf na swoich dessous? Siedzi przy pianinie wraz z maestro.

- Hmmmm. Mam wrażenie, że muskając klawisze, ociera się o niego. Potrzeba mi kobiety bardziej dyskretnej - i takiej, która ma o wiele lepszy gust. Czarna skóra i cekiny na wieczór? Tego się w tym sezonie nie nosi, nieprawdaż?

- Jedynie w Hollywood, monsieur.

- Następna.

- Za wodospadem, strząsająca popiół z papierosa do pańskiej bezcennej kryształowej wazy, to sędzina Stanowego Sądu Najwyższego, która załatwiła pański mandat parkingowy.

Uśmiechnął się:

- Chciałbym ją poślubić, choćby dlatego, żeby znowu poczuć smak nikotyny. Nie wolno ryzykować tego rodzaju pokus. Następna?

- Chwileczkę, monsieur K... Muszę poszukać. Czekał, niecierpliwie postukując palcami o poręcz swego fotela. Jednocześnie bezwiednie błędził wzrokiem po tłumie znajdującym się po drugiej stronie lustra. Nagle pole jego widzenia wypełniło się całkowicie lśniącem zielonym jedwabiem, spowijającym niezwykle zmysłowe, wręcz lubieżne kobiece kształty.

Sam warknął cicho.

- Zgadzam się z tobą - powiedział Douglas do psa.

Jednostronne lustro wypełniały teraz wspaniałe kobiece krągłości, opięte sięgającą do samej podłogi suknią. Jej właścicielka była bardzo wysoka i stała tak blisko lustra, że widać ją było jedynie od ramion w dół. Gdyby nie szklana ściana między nimi, Douglas, wyciągnąwszy rękę, mógłby jej dotknąć, co zresztą wydało mu się myślą nie do pogardzenia.

Kobieta pochyliła się i wpatrywała się w swoje odbicie, jakby nieświadomie prezentując intymne zbliżenie dojrzałej, pięknej twarzy z elegancką bujną grzywką blond włosów, wyglądających tak, jakby właśnie przed chwilą potargała je męska dłoń.

Tuż przed sobą widział jej wielkie, bursztynowe oczy, koloru jego scotcha. Ściągnęła królewskie, dumne usta, sprawdzając ich lekko zabarwione brzegi koniuszkiem

gładkiego paznokcia. Marszcząc zgrabny, wyczelowany nos, zerknęła na siebie z ukosa, jakby patrząc przy tym na Douglasa. Pochyliwszy się jeszcze bardziej do lustra, poprawiła staniczek. Douglas dostrzegł nagle z podziwem oszałamiającą parę piersi.

Zrozpaczona Gerta niemalże z obrzydzeniem wykrzyknęła do biurofonu.

- Mon Dieu! To ekshibicjonistka! Przyniosła na targ melony i teraz je wszystkim pokazuje!

Douglas wybuchnął śmiechem i opadł do tyłu, nie mógł jednak oderwać wzroku od dużej, pięknej kobiety, która zawładnęła jego lustrem. Żywa reakcja pobudziła mu krew w żyłach, przestał się śmiać, brakowało mu tchu.

- Kto to jest? - zadał szybkie pytanie, nie spuszczając z niej wzroku.

- Uhm... szukam... szukam...

Słyszał, jak Gerta szeleści papierami w swym biurze.

- Nie mam ani jej fotografii, ani żadnych danych, niczego. Nie ma jej na mojej liście! Jak to możliwe? To gość na gapę! Ale, och, co za głupcy z tej ochrony! Odpowiedzą mi za to. To się nigdy jeszcze nie zdarzyło. Zasnęli wszyscy czy co?

- Nie zasnęli, lecz oniemieli, zdaje mi się. Douglas nadal przyglądał się z zainteresowaniem

kobiecie, która obecnie przesunęła koniuszkiem języka po plamce pomadki na dolnej wardze. Pochylił się do przodu i przytknął wielki, grubawy palec do szkła, naprzeciw jej prowokująco poruszającego się języka. Gwałtowne pożądanie zawładnęło nim tak nagle, że zadrżał.

Zaskoczony siłą tego uczucia, cofnął dłoń. Musi być sprytna, skoro ominęła najlepszą, jaką można było zdobyć za pieniądze, grupę ochrony. Prawdopodobnie nie potrzeba jej było wiele więcej, jak tylko zwrócić na nich swe dziwne, złote

oczy, by ich zahipnotyzować. Tak jak w dużym stopniu i jego samego.

Ubrana była specjalnie tak, by budzić męskie marzenia, nie było w niej jednak nic taniego. Miała w sobie coś tajemniczego.

Na szyi miała prosty, złoty łańcuszek. Zwisiała na nim fascynująca ozdoba, mająca wygląd antyku: dwa złote, walczące ze sobą barany, nad nimi groźnie wyglądający gryf, oddzielony od baranów mieczem, przyglądał się im z wyrazem wyższości.

- Czy życzy pan sobie, żebym przywołała ochronę? - zapytała Gerta. - Monsieur? Czy jest pan tam?

Douglas spostrzegł nagle, jak bardzo zauroczyło go zestawienie oczu blondynki i tej dziwnej ozdoby. Potarł ręką czoło.

- Nie rób tego, Gerto. Wyjdź jedynie i zagadnij ją. Powiedz, że chciałbym ją zaprosić do mego gabinetu na szklaneczkę szampana.

- Jak pan sobie życzy, monsieur K. Douglas przełączył klawisz na pulpicie telefonu i lustro pociemniało. Przymknął oczy, jakby rozkoszując się chwilą, w której miał spotkać tajemniczego gościa na gapę. Minutę później zabrzączał telefon.

- Monsieur? Chciałaby zostać przedstawiona - głos Gerty zawierał ton uprzejmego niesmaku. - Chciałaby też móc wejść do Parku Kincaida. Cóż za arogancja!

Douglas zaśmiał się znowu. Blondynka coś o nim wiedziała, wiedziała o jego prywatnym lasku umieszczonym na dachu budynku. Podobało mu się to, że zwracała uwagę na szczegóły - zwłaszcza, gdy jego to dotyczyło - podobała mu się też jej przedsiębiorczość.

- W porządku. Wezmę tylko płaszcz i pójdę od razu na górę. Powiedz jej, że będzie zimno. Daj jej płaszcz, jeśli nie będzie miała czegoś wystarczająco ciepłego.

- Tak. Chyba nie zwykła się okrywać. Douglas podniósł się ze swojego fotela i skinął na Sama. Sam chodził z nim wszędzie - czy to na spotkania w interesach, czy na bal dobroczynny, czy na mecz bokserski, czy na rendez - vous z piękną kobietą.

Kiedy Douglas wyszedł z windy do przesadzonego na dach jego rezydencji lasu, ujrzał oczekującą na niego blondynkę. Miała na sobie szmaragdowozielony płaszcz, pasujący do jej ubrania. Była nim owinięta od stóp do głów. Ukryte w listowiu lampy rzucały na nią cienie, co jeszcze przydawało jej tajemniczości. Twarz zakryta była zalotnie kapturem, zauważył jej leniwy, zapraszający uśmiech.

Douglas poczuł puls, tętniący w najbardziej intymnym miejscu, doznał też uczucia niezwyklej fascynacji. Wiatr szarpał płaszczem, który przylegał do jej posągowych kształtów. Douglas podniósł kaszmirowy kołnierz swojego płaszcza i skinął ręką w kierunku ścieżki.

- Proszę. Między drzewami mniej wieje.

Skinęła głową, ale nie powiedziała słowa. Przez sekundę, ze wzrastającym zainteresowaniem, Douglas obserwował, jak wślizguje się pomiędzy grube pnie sosen, jakby była piękną zjawą, znikającą w krainie ogromnych świerków. Sam pogalopował za nią, jakby przyciągany jakąś siłą. Douglas podążył pośpiesznymi krokami, czując, że jest nieco śmieszny, skoro tak łatwo daje sobą kierować, w pełni jednak przekonany, że wkrótce będzie miał przewagę.

Zatrzymała się i obróciła ku niemu. On również przystanął i oboje przypatrywali się sobie; stali w cieniu, oddaleni od siebie nie więcej niż o pół metra. Wokół nich unosiły się płatki śniegu.

- No i jak ci się podoba wieczór sylwestrowy w Parku Kincaida? - zapytał. - Nieźle, jak na chłopca zaczynającego od sprzedaży mydła na rogu ulicy, hmmm? Robi wrażenie, nieprawdaż?

Okręcił się z wolna w koło, wyciągnąwszy ramiona, jakby prosząc, by podziwiała jego z trudem zdobyty raj i odpowiednio skomentowała. W tej samej sekundzie, w której się obrócił, usłyszał cichy strzał. Coś uderzyło go w lewy pośladek. Pomimo grubego płaszcza, smokingu i bielizny robionej na zamówienie, poczuł ostre ukłucie.

Douglas zachwiał się. Ogarnęła go senność. Wykonał niepewny krok, po czym zachwiał się. Trzymała w ręku mały pistolet. Nie uśmiechała się już. Zamroczony schylił głowę i popatrzył na zranione biodro. Pogmerał przy długiej lotce, wystającej z palta. Opadła na miękką ściółkę leśną.

Nie był człowiekiem, którego łatwo było pokonać i przez moment furia prawie przewyciężyła narkotyczne odurzenie. Zakławszy ze wściekłością, powiedział:

- Nigdy tego nie dostaniesz, cokolwiek by to nie było. Moi ludzie mają przykazane, żeby nie wypłacać żadnych okupów.

Kobieta zaśmiała się. Zaśmiała! Następnie skrzyżowała ramiona na piersi, patrząc na niego z wyrazem nie ukrywanego triumfu. Pies wysunął się do przodu, przyglądając się jej uważnie, zakłopotany i zaciekawiony. Sam miał klasę; Sam nie zaatakowałby kobiety. Ta zaś zdawała się o tym wiedzieć, gdyż cmoknęła na niego, a pies zamerdał ogonem.

Douglas jęknął zrozpaczony, gdy poczuł, że jego kości stają się jakby miękkie. Opadł na ziemię, furia ustąpiła miejsca wszechogarniającej senności. Przetaczając się na plecy, ziewnął bezradnie:

- Do diabła. Do diabła.

Jak przez mgłę dotarło do jego świadomości, że kobieta mówi do kogoś - nie do niego chyba, gdyż jej głos był zbyt cichy. Sam podszedł do niego i ułożył się, dziwnie jakoś uspokojony. Położył łeb na ramieniu Douglasa. Następnie kobieta podeszła i przyklękła przy nim, on zaś usłyszał metaliczny dźwięk składanej anteny.

- Nie uda ci się umknąć z... czymkolwiek - zaprotestował Douglas, mówił z trudem, a język ciążył mu strasznie.

Kobieta pochyliła się nad nim, a on jak przez mgłę spojrział w jej oczy koloru whisky. Tym razem była to whisky z lodem.

- Nie musisz mi mówić, co mam robić, a co nie - powiedziała.

Szkocki akcent w jej głosie był dla niego szokiem. Ujęła go pod brodę.

- Jesteś aroganckim diabełkiem, Douglas Kincaid, nie licząc więc na swoje szkockie pochodzenie. Teraz śpij. Nie zrobię ci nic złego.

Podniosła głowę, strząsnęła do tyłu kaptur i gwałtownym ruchem ściągnęła blond perukę. Włosy kasztanowego koloru, połyskujące w świetle lampionów, otaczały płaskim warkoczem jej głowę. Przyglądała się uważnie zaśnierzonemu nocnemu niebu.

Usłyszawszy warkot helikoptera, Douglas jęknął z rozpaczą; jeszcze raz próbował zaprotestować, lecz tym razem usta odmówiły mu posłuszeństwa.

Kiedy znowu napotkała jego spojrzenie, gapił się na nią sennie. Twardy wyraz jej ust przeszedł w sardoniczny uśmiech.

- Nie masz się co boczyć, mój miły, zamożny i nic nie warty mister Kincaid. Masz jedynie nauczyć się nieco skromności.

- Takiego wała - pomyślał i zapadł w sen.

Elgive MacRoth nie uspokoiła się, dopóki nie znalazła się wraz ze swymi współnikami na pokładzie małego, rozklekotanego samolotu, kierującego się na północ Kanady. Wydostanie Douglasa Kincaida poza obręb miasta było strasznym przeżyciem, po tym jak spostrzegła, iż helikopter jest bliski rozsypki.

Jej kuzyn, Andrew, przestrzegł ją, z dużą dozą słuszności, że maszyna wydawała się być w fatalnym stanie i że prawdopodobnie trudno będzie nią manewrować. Nie mieli jednak żadnego wyboru. Byli zadowoleni, że w ogóle mogli zdobyć jakiś helikopter, załatwili go, przekupując pijanego właściciela na marnym, wiejskim lądowisku pod Nowym Jorkiem.

Również i teraz, daleko od tego niesamowitego gruchota, Elgive wcale nie czuła się bezpiecznie. Jej transportowiec protestował przeciwko każdej minucie podróży powrotnej ku Szkocji. Był zbyt stary, by mógł przeskoczyć cały obszar Północy, w pogoni za najkrótszą drogą przez Atlantyk. Za każdym razem, gdy Andrew lądował, aby zatankować, kabina wpadała w dygot, a podłoga się trzęsła.

Z uwagi na te trzeciorzędne środki transportu oraz kompletny brak przestępczego doświadczenia, cudem było, iż udało im się porwać Douglasa Kincaida. Pomyślała, że los jest wyraźnie po jej stronie.

Przytrzymując się ściany dla zachowania równowagi, Elgive przeszła do tyłu. Wspaniały pies Douglasa Kincaida traktował ją jak starego przyjaciela. Weszła za kotarę i zmieniła krępującą jej ruchy zieloną suknię na żółto - brązowe sztruksowe spodnie i jasny kolorowy sweter, który sama zrobiła na drutach. Na nogi założyła wygodne skórzane buty, odpowiednie do wędrówki po górach. Znajome przedmioty ukoili nieco jej napięte nerwy i powróciła do swego więźnia.

Nadeszła pora, by zawrzeć nieco bliższą znajomość z mężczyzną, który miał zmienić - mniej oddana osoba powiedziałaaby zrujnować - jej życie. Usiadła na fotelu przy specjalnie zainstalowanym łóżku.

- A my się tu martwimy, jak cię bezpiecznie wywieźć - zamruczała do Kincaida. - Ty diable.

Więzień spał. Widząc jego twarz o mocnych rysach, poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Następne tygodnie byłyby o wiele łatwiejsze, gdyby był brzydki, pokraczny. Elgive nigdy nie usiłowała opanowywać swoich uczuć; co najwyżej atakowała je z surową zaciętością, dopóki ich nie przewyciężyła, ale nigdy nie próbowała oszukiwać siebie samej.

Przyznała więc, że Douglas Kincaid jest atrakcyjny, przynajmniej fizycznie. Nie pogardzała nim z tego powodu ani odrobinę mniej, a wiedząc, iż będzie miała teraz do czynienia z prowokującym mężczyzną, w dodatku z zakładnikiem, zaczęła się do tego przygotowywać.

Szorstkim ruchem rozpięła pasy, przytrzymujące jego piersi i uda.

- Masz za długie i za kościste nogi jak na taką piękną klatkę - zanuciła, rozpinając jego płaszcz i podkładając go pod boki. - A ręce masz wielkie jak goryle łapy. Och, wiem o tobie wszystko, Douglas. W młodości byłeś bokserem. Hmmmph! Sądząc po wyglądzie, ktoś zdeformował raz, a może dwa ten nos. Cóż to za okropna, brzydka rzecz. Pasuje ci, pasuje do tej grubej, zaczepnej brody. Założę się, że niektóre z twoich białych, lśniących zębów są sztuczne. Podniosła jedną z powiek.

- Brązowe. Jak trzęsawisko, kiedy wszystkie wrzosa uschną na zimę - ręka jej zadrżała. - Bądź szczerą - powiedziała po cichu do siebie samej. - Przypominają ciemne, ładne oczy wilków z naszych stron.

Elgive wydała cichy dźwięk niezadowolenia i cofnęła rękę.

- A jakie rzęsy! To dziewczyny powinny mieć takie długie i takie gęste rzęsy! Żaden z ciebie mężczyzna, Douglasie Kincaid - zapatrzyła się na przód jego na miarę szytych spodni. - Pewnie włożyłeś sobie skarpetę w gacie, aby stworzyć to widowisko.

Przez chwilę gapiała się, zauroczona, następnie rozgniewana skupiła uwagę na jego głowie. Zmierzwiała mu włosy.

- Walcz! Patrzcie na te czarne, pofalowane kędziory! Ujarzmione przy pomocy sprayów i pianek, przysięgam.

Kiedy zanurzyła głębiej palce w jego włosy, aby sprawdzić bliżej ich bujność, cichy, zdecydowany dźwięk zadowolenia wytoczył się z jego gardła. Elgive wyszarpnęła swą rękę, przyglądając mu się uważnie. Cóż za apetyt trzeba mieć, aby wzdychać w takim położeniu!

- Jeśli się obudzisz, Douglasie, poczęstuję cię drugą porcją środka nasennego.

Na wszelki wypadek sięgnęła do kieszeni swych spodni, namacawszy tam zabezpieczoną strzykawkę. Miejscowy lekarz, dr Graham, zaopatrzył ją w dodatkową ampułkę.

Po chwili było jednak jasne, iż Kincaid ciągle jeszcze jest mocno odurzony. Trochę niezadowolona, że tak łatwo dała się nastraszyć, złapała obydwoma rękami jego głowę i popatrzyła na niego z góry.

- Gdzieżeś się dorobił takiej wspaniałej szramki, mój ty udawany byku. Założę się, że to któraś z tych damulek przejechała cię swym diamentowym pierścionkiem.

Na skórze jego policzków zaczynał się pojawiać lekki czarny cień.

- Jesteś jedynie włochatym dzikusem - stwierdziła rzeczowo. - Żeby nie te twoje wielce sznurowate ciuchy i klejnoty, załapałbyś się tylko na wcielonego diabła.

Przesunęła palcami po jego pięknej, białej koszuli, starając się nie zwracać uwagi na bijące spod niej ciepło i prężność.

- Co za bezsensowny strój!

Pomiędzy małymi fałdkami tkwiły guziczki z onyksu, oprawionego w złoto. W środku każdego z nich połyskiwał spory diament.

Pomimo iż długo studiowała wszystkie sprawy, Kincaida, jego styl życia, była pełna uznania. Miała oto przed sobą dziecko fortuny, o jakiej ledwo można by marzyć i choć wszystko, co według niej było godne uznania, mówiło jej, by tego rodzaju błyskotki odrzucić, zafascynowana była sposobem, w jaki ich używał. W połączeniu z jego brutalnie piękną twarzą i ciałem - efekt był piorunujący. Złożyła mu na piersi ręce i powoli zaczęła głaskać, zaintrygowana, prawie bez tchu.

- Ellie! Co ty z nim wyprawiasz, dziewczyno?

Zniecierpliwiony głos jej brata sprawił, iż odwróciła się. Rob nadszedł od tyłu, z kokpitu, nawet go nie zauważyła. Jego oczy wyrażały zaskoczenie i niesmak.

Elgive, nie rumieniąca się od lat, poczuła, jak ją palą policzki. Przeklęty Douglas Kincaid!

- Sprawdzam go właśnie! Nie zakradaj się tak! - odwróciła się i wsadziła rękę do jednej z kieszeni spodni Kincaida. - Nie mogę tak siedzieć i gapić się spokojnie na tę bestię, no wiesz. Muszę się upewnić, że nie ma żadnej broni.

- Jego jedyna broń znajduje się pomiędzy okładkami jego książeczki czekowej - ponuro odparł Rob - i wewnątrz jego nieprawdopodobnie wypaczonych pomysłów.

- Oraz w innych miejscach, o których tylko kobieta może pomyśleć - dodała w duchu Elgive.

Znajdując sobie zajęcie, wyciągnęła z kieszeni Kincaida pęk kluczy. Zamruczała coś niewyraźnie, a Rob przysunął się, by móc spojrzeć jej przez ramię.

- Czy widziałeś kiedyś coś podobnego? - zapytała. - Złote kluczyki wysadzone drogimi kamieniami. Z wygrawerowanymi nazwami samochodów: porsche, lamborgini, jaguar, rolls royce, lotus. Ilu samochodów może używać jeden człowiek? A to co? Nie poznaję, od czego są te.

- To od jego weteranów. Jego ford 1936 i studebaker 1938. Nie przypominasz sobie tego artykułu z gazety? Ten człowiek to nikt inny, tylko gangster. Lubuje się we wszystkim, co jest w stylu amerykańskich gangsterów z lat trzydziestych. Odrzuciła kluczyki na bok.

- Zdaje się, że na tym polega jego rozumienie o historii. Nic więc dziwnego, że nie zadał sobie trudu, aby dowiedzieć się czegoś o swym prawdziwym pochodzeniu. Teraz będzie musiał.

- Jasne.

Kasztanowate włosy Roba błyszcząły w świetle kabinowej lampy, gdy pochylił się do przodu, aby przyjrzeć się odurzonemu bilionerowi. Jej brat, którego zamiłowanie do tradycyjnego szkockiego ubioru ustąpiło miejsca szkockiej ostrożności, wyglądał dziarsko w porządnych czarnych spodniach i golfie.

Położyła rękę na jego muskularnym ramieniu:

- Ty i Duncan powinniście założyć gogle, na wypadek gdyby Kincaid obudził się na chwilę. Powinniśmy też pójść do kokpitu i powiedzieć to Andrew i miss M.

Rob posłał śpiącemu więźniowi ostatnie, groźne spojrzenie.

- Masz rację, Ellie. Nie szarżujmy niepotrzebnie.

Z kabiny wychynął niewielki, skwaszony mężczyzna. W dopasowanych czarnych spodniach i czerwonym golfie wyglądał znacznie mniej elegancko niż Rob.

- Wolałbym, żebyśmy się zabezpieczyli przed wzrokiem tego bękarta - szydził Duncan MacRoth. Zwalił się przy boku Kincaida i brutalnie wstrząsnął jego głową. - Powinniśmy mu zawiązać oczy tak samo, żeby go piekły co najmniej przez tydzień. Faceci tacy jak on są uciążliwi, jeśli im nie dopiec.

Brutalne podejście Duncana do więźnia poirytowało Elgive. Zazwyczaj naczelnik miasteczka nie bywał ani nadęty, ani despotyczny. Teraz jednak bał się potęgi Douglasa Kincaida, tak jak i wszyscy inni w Druradeen, i lęk ten czynił go okrutnym.

Elgive przygryzła język, patrząc niespokojnie. Kątem oka dojrzała, jak Rob wezbrał gniewem. Pies Kincaida stanął przy nogach swego pana i zawarczał.

- Tak - zawzięcie kontynuował Duncan, potrząsnąwszy mocniej głową Kincaida - powinniśmy go przywieźć do Szkocji z kilkoma porządnymi guzami - zwinął dłoń w pięść i zaczął policzkować więźnia.

- Przestań? - odezwali się równocześnie Elgive i Rob. Elgive zasłoniła twarz Kincaida własnymi dłońmi. - On jest bezbronny, Duncan. Ja za niego odpowiadam i zabraniam ci go bić.

Pies Kincaida warczał teraz wysokim, wściekłym tonem. Od drzwi kokpitu dobiegł skrzekliwy głosik:

- Synku? Duncan? Nie wolno bić bezbronnego, biednego Amerykanina, jeśli jest nieprzytomny. Opanuj się.

Duncan odstąpił o krok, jego oczy pałały powstrzymaną złością.

- Chciałem się tylko trochę zabawić, mamó. Elgive spojrzała z wdzięcznością na starszą niewiastę, ubraną w czarną, wełnianą suknię.

Mirah MacRoth była jej daleką kuzynką, jakaś piąta woda po kisielu czy coś w tym rodzaju - drzewo genealogiczne było bardzo skomplikowane.

Elgive cieszyła się bardzo z pokrewieństwa z miss Mirah, mniej zaś z pokrewieństwa z synem miss Mirah, Duncanem, pomimo iż był on najlepszym naczelnikiem, jakiego miasteczko kiedykolwiek posiadało.

- Nie mogę się doczekać! - mrukliwie powiedział Duncan.
- Uważaj, abyś nie spaprała całej sprawy, Elgive!

- Uważaj, jak się odzywasz do mojej siostry - ostrzegł Rob.

- Chodź, Duncan, i przestań dokazywać - rozkazała miss Mirah.

Duncan miał dla niej zawsze dziesięć lat. Była nauczycielką od 1949 roku i każdy dorosły z ich wsi był dla niej nadal dziesięciolatkiem.

Duncan wyniósł się do kokpitu, by tam siedzieć z nią i z Andrew. Gdy zamknął drzwi, Elgive ułożyła głowę Kincaida w wygodniejszej pozycji, oparłszy się chęci poprawienia jego włosów, potarganych przez Duncana. Podniosła się szybko:

- Lepiej założyłbyś swoją maskę. Duncan nie przegapi żadnej okazji, żeby tylko móc narzekać.

Rob schwycił Elgive za rękę i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jeszcze nie jest na późno, żebyś i ty założyła maskę. Możemy jeszcze pozmieniać nasze plany.

Pokręciła głową.

- Myślę, że Kincaid przyjrzał mi się bardzo dokładnie, kiedy popisywałam się przed jego głupim jednostronnym lusterkim. Nie wydaje mi się, żeby był kimś, kto może zapomnieć szczegóły wyglądu twarzy porywaczki - chwyciła brata za ramię i ciężko przełknęła ślinę, żeby tylko jej się głos nie załamał. - To musi być tak, Robbi. Jeśli osiągniemy to, co

chcemy, nie będę żałować. Ciii, teraz cicho, ty brutalu z gołębim sercem.

Odstąpiła w tył i potrząsnęła go z lekka za barki, tak jakby nadal jeszcze był mniejszy od niej. Jego czyste, piękne rysy wyrażały troskę i Elgive starała się ją rozproszyć.

- Robbie, myślę, że mister Kincaid cię przerasta. Jest chyba o dobry centymetr wyższy.

- Och! Nie! - oczy Roba wyrażały konsternację. - Ten przygłup nie sięga mi nawet do kostek!

- Przykróćmy go z miarkę albo dwie. Nie pękaj. Pies Douglasa Kincaida polizał ją po ręku.

- Ciii, nic mu nie będzie - powiedziała pieszczotliwie, poklepując szeroką, złotą głowę psa. - To o mnie powinieneś się martwić, zwierzaku. Ja nie wyjdę z tego tak łatwo, jak ten twój wielki przyjaciel.

Rob dotknął jej ramienia.

- Idź na górę i posiedź z resztą, Ellie. Ja zmienię mu ubranie.

- Nie. Ja ci pomogę - grymas Roba sprawił, że podniosła wzrok. - Mój bracie, byłam mężatką przez dwanaście lat, o ile ci wiadomo. I mam być sama z nim przez cały miesiąc. Przypuszczalnie dane mi będzie zobaczyć go dokładniej, niż bym sobie tego mogła życzyć.

Zaklął z lekka.

- Musiałem oszaleć, kiedyśmy układali ten plan. Prawdziwy mężczyzna nie pozwoliłby swojej siostrze...

- Prawdziwy mężczyzna wie, kiedy siostra jest najlepsza do roboty. A teraz już przestań się martwić!

- Jeśli coś pójdzie na opak?

- Będę robić to, co mi podpowie serce i dusza. No już. Przeberzmy tę wielką, próżną bestię w jakieś bardziej praktyczne ubranie.

Wspólnie zaczęli rozbierać Douglasa Kincaida. Gdy skończyli Elgive cała w środku dygotała. Wiedziała już z pewnością, że przebywanie z nim przez następny miesiąc sama będzie o wiele bardziej niebezpieczne, niż kiedykolwiek mogło się jej to wydawać.

Rozdział 2

Douglas otworzył oczy i ujrzał pobielany strop z grubych belek. W jego głowie panował zamęt. Miał wrażenie, że gdzieś, jakby na drugim planie, przejeżdża pociąg. Pomyślał, że pod wpływem bólu głowy musi mieć halucynacje; wyraźnie słyszał stukot kół.

Obrócił powoli głowę na bok. Obraz rozjaśnił się. Przyglądał się ścianie, zrobionej z grubych desek powiązanych zaprawą. Na pobielanych ścianach wisiały grubo ciosane półki, pełne książek. Wisiała tam też mapa wybrzeża i oceanu, przypominająca mu coś znajomego, jednak na razie nie mógł myśleć na tyle przytomnie, aby to zidentyfikować.

Poruszył się ostrożnie i zwrócił uwagę na miękką tkaninę dotykającą jego skóry - miękką, przyjazną. Poczował słodki i ostry zarazem zapach palącego się drewna, uszy zaś wyłowiły trzaskanie i syk palących się bierwion. Pociąg dalej stukał, przemierzając pole jego świadomości, przypominając mu pewną stację kolejową w Chicago, na której jako mały chłopiec sprzedawał mydło do prania. Wydawało mu się, że lada moment wejdzie glina i powie:

- Ty mały nicponiu, już cię tu nie ma! I żebym cię tu więcej nie widział!

Douglas przymknął oczy i bezwiednie się nasrożył. Dlaczego glina nie mógł zrozumieć, że on potrzebował pieniędzy? Dlaczego on zawsze musiał się wycofywać? Nigdy więcej. Nigdy więcej. Zapragnął, aby odgłos pociągu ustał.

Dźwięk ucichł. Usłyszał natomiast zbliżającego się gline. Chciał krzyknąć: „Hej, przyślij jakiegoś goryla, żeby coś zrobił z tą podłogą, bo okropnie trzeszczy. A poza tym chodzisz jak panienka”.

- Leż spokojnie i przebudź się powoli - powiedział miękki kobiecy głos. - Nic ci nie jest takiego; jesteś po prostu trochę ociężały po narkotyku. Jak tylko podniesiesz się na tyle, żeby

móc dosięgnąć, podam ci kubek gorącej herbaty. Jeślibyś czuł się nie tak, to w rogu masz maleńki pokoik na załatwienie potrzeb. Przygotowałam ci wszystkie domowe wygody, Douglas.

Szkocki akcent mówiącej wstrząsnął jego pamięcią; tak jak i chłodny ton jej głosu. Zaniepokojony i dezorientowany uniósł ręce do twarzy i potarł ją mocno. Następnie obrócił ku głosowi głowę i otworzył oczy.

Piękna szatynka stała oddalona o metr, ręce miała skrzyżowane na piersiach. Ubrana była w obszerny biały sweter i szeroką wiejską spódnicę z porządnego tartanu w żółto - czarną kratę. Białe haftowane skarpety znikwały pod rąbkiem sięgającej do pół uda spódnicy. Na nogach miała sznurowane skórzane buty, mające wygląd mocnych i schodzonych.

Jej kasztanowate włosy zwisały długim warkoczem przerzuconym przez ramię i spadającym na pierś. Przyglądała mu się surowo bursztynowymi oczyma. Z tyłu, za nią zobaczył swój pociąg - kołowrotek do przędzenia wełny.

Hołdem dla jej urody było to, iż dopiero na samym końcu spostrzegł, oddzielając go od niej, kratę jego celi. Jego celi. Sam siedział na zewnątrz, na powitanie szorował ogonem po drewnianej podłodze.

Douglas wywindował się z trudem do góry, usiadł, kołysząc się. Oparł się na rękach i popatrzył w dół. Siedział na wygodnym łóżku, wystarczająco długim, by pomieścić jego długie ciało i wystarczająco szerokim dla jego barów. Nogi owinięte miał miękkim, szarym kocem. Jego spodnie zamieniły się na obszerniejsze, z żółtobrazowego sztruksu, kiedy zaś spojrział na swoje ramiona, zobaczył, iż miał na sobie ciemnoniebieski sweter z niezwykle miękkiej wełny.

- Kto mi zamienił ubranie? - wymamrotał. - Czuję się jak kapitan Kloss na terrorystycznej randce z królewną Wandą.

- Nie bądź niewdzięczny, Kincaid. Uratowałam twe wspaniałości. Być może dostaniesz je z powrotem. A teraz może byś się napił herbaty?

Gapił się na nią osłupiały. Następnie całe jego pomieszczenie eksplodowało w mizernym wybuchu.

- A ty co za jedna? Czego ode mnie chcesz? I gdzie ja, do cholery, jestem?

- Jesteś w więzieniu, w pięknej kamiennej chacie, stojącej pośrodku najpiękniejszych w świecie gór, Douglas. Masz własny wychodek z bieżącą wodą i wszystkim co trzeba - wszystkie nowoczesne udogodnienia - i wygodne łożo. Zapewniam ci wikt i opierunek; a jeśli będziesz grzeczny, to i butelkę twojej ulubionej szkockiej whisky na osłodę. Nie spotka cię nic złego, daję słowo.

Stuknęła ręką o blat małego, drewnianego stolika, przysuniętego do prętów celi. Na tej wysokości znajdował się poziomy otwór w prętach, taki, aby móc przez niego przesunąć coś małego lub podać talerz z jedzeniem.

- Podam ci herbatę właśnie tędy. Będziesz musiał po nią sięgnąć. W ten sposób będziemy się ze sobą obchodzić, Douglas. Nie oczekuj, że podejdem do ciebie tak blisko, żeby dać ci okazję do jakiegoś kawału. O ucieczce nie masz co marzyć. Ściany wokół mają ponad pół metra grubości i zrobione są z kamienia. Okno wypełnione zostało kamieniem z zaprawą murarską - pokazała mu drzwi celi. - Nie do wyłamania, a ja ich nie otworzę, żeby nie wiem co. Czego sobie życzysz do herbaty?

- Krwi. Najlepiej twojej.

- Cyt, cyt. Rozumiem, że nie czujesz się najlepiej. Dojdiesz do siebie...

- Takiego wała - wyskoczył z łóżka i prawie się zwałił, zanim osiągnął pręty. Odstąpiła o krok, kiedy rzucił się do

metalowej furty, którą zatrząsał oburącz. Napadły go mdłości, więc oparł się o sztaby, dysząc.

- Zawadiaka z ciebie - powiedziała z zadowoleniem. - Jesteś przecież z klanu Kincaida. Nie można niczego innego po tobie oczekiwać.

Co za bzdura? Nie pochodził przecież z żadnego wielkiego klanu. Nie był nawet Szkotem. W tej chwili nie miał pewności, czy w ogóle istniał.

- Możesz zrobić ze mną, co zechcesz, ale nie licz na żadne pieniądze. Moi ludzie cię dopadną. Jeszcze będziesz prosiła Boga, żebyś nigdy nie słyszała o Douglasie Kincaidzie.

- Już go o to proszę. Okup mnie nie interesuje. A o interesach pomówimy później. Wyglądasz trochę blado, Douglas. Najlepiej zachołgaj się do toalety, bo jeśli tu zwymiotujesz, będziesz musiał sprzątać po sobie. O ile nie będziesz chciał mieszkać we własnym smrodzie. Ja się dostosuję.

- Tego nie zniosę!

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Douglas? Widzisz przecież, że nie masz żadnego wyboru.

Waliło mu w głowie, a zimny pot ściekał po plecach. Nie miał wątpliwości, iż mówiła serio - była opanowana. Prawie podziwiał jej odwagę. Ogarnęła go wściekłość.

Chwycił mocniej za pręty. Podniósł, odzianą w skarpetę stopę i kopnął. Stół przejechał po podłodze i uderzył w duży kamienny kominek. Jego strażniczka wydała głośny pisk, lecz był to pisk złości a nie strachu. Pochwyciła szczapę z kominka i, podskoczywszy z szybkością, na którą jego otępiałe zmysły nie zdążyły zareagować, trzepnęła go po knykciach jak rozsierdzony belfer.

Douglas cofnął poparzone ręce, by go nie mogła dosięgnąć i patrzył na nią zdumiony. Oboje stali na szeroko

rozstawionych nogach, z falującymi piersiami, z wyzwaniem w oczach. Pogroziła mu szczapą.

- Nie rób wojny, Douglas. Przegrasz.

- Nigdy nie przegrywam.

- A chociaż wiesz, gdzie jesteś?

- Musi to być Szkocja albo jakaś inna okropna senna zmore.

- Dla takich jak ty - jedno i drugie. Odwrócił się i popatrzył na mapę na ścianie.

Następnie zaklął po prostaku, jak zwykły ulicznik. Parę tysięcy akrów położone w oddalonej części szkockiego wybrzeża było zamalowane na czerwono.

- To posiadłość, którą kupuję - zauważył z niezadowoleniem.

Nie musiał się zbytnio przyglądać, żeby wiedzieć, że na ogromnym, oznaczonym na czerwono obszarze, leżało nadmorskie miasteczko Druradeen z oryginalnymi kamiennymi domkami i pocztówkowymi widokami. Wiedział przecież, że parę mil w głąb kraju stał wspaniały dwór MacRotha, dom Angusa MacRotha, niedawno zmarłego dziedzicznego właściciela tych dóbr.

MacRoth odziedziczył wszystko - miasteczko, otaczające je farmy, destylatornię whisky na północ od miasta, wszystko co warte było dziedziczenia. Miejscowi chłopci każdego roku płacili staremu dziedzicowi podatek. W ten sposób stawali się dzierżawcami. Douglas miał zamiar dać im wystarczającą ilość czasu na znalezienie sobie nowych gospodarstw.

- To posiadłość, którą miałeś kupić - poprawiła go prześladowczyni. - Do umowy nie może dojść bez twojego podpisu. A ostateczny termin upływa za miesiąc.

Douglas odwrócił się, pocierając jedną ręką bolącą głowę a drugą zrewoltowany żołądek. Zmieszany, wlepił w nią wzrok.

- Skąd o tym wiesz? Co ty do tego masz?

- Powiedzmy, że ja jedynie pilnuję, żeby termin minął i żeby ziemia przeszła na następcę rodu Angusa MacRotha.

- Co za komedia!

- Nie, Douglas, to kidnaping. Dopóki nie minie wyznaczony termin, a spadek MacRotha nie przejdzie na jego prawowitych właścicieli, będziemy tu razem mieszkać, ja i ty, w uroczym, spokojnym odosobnieniu.

- Nawąchałaś się za dużo wrzosów, laleczko. Jak tylko dojdę do siebie, porozmawiamy o moim uwolnieniu.

Jej chłodny, lekceważący wzrok przesunął się po nim.

- Pierwszy raz w życiu, Kincaid, nie możesz zagadać, przekupić czy oczarować, tak żeby dostać to, co chcesz - uśmiechnęła się słodko. - Napijesz się teraz herbatki, prawda?

Pokręcił głową, poczuł się jeszcze gorzej, po czym runął ku drzwiom znajdującym się w rogu jego celi. Wstępując do ciasnej pobielonej wapnem toalety, usłyszał jej śmiech.

Elgive siedziała przy kominku w wielkim fotelu wymoszczonym kolorowymi poduszczkami, nieruchome spojrzenie utkwiała w płonące, grube bierwiona, ręce oparła na poręczach fotela. Była smutna i wyczerpana.

Nie mogła oderwać oczu od Kincaida, który wyciągnąwszy się na łóżku, spał ze zwisającą jedną nogą, jak gdyby był kompletnie rozluźniony. Po wyjściu z łazienki, podszedł do stolika postawionego przez nią na powrót przy prętach celi i zepchnął filiżankę z herbatą na podłogę.

Uśmiechnął się zwycięsko, kiedy filiżanka z cienkiej, starej porcelany rozbiła się w drobny mak. Herbata bryznęła na wyblakły, gruby gobelin, wytarty lecz wciąż jeszcze piękny. Pokiwał z zadowoleniem głową. Następnie bez słowa wyciągnął się na łóżku i zasnął, jakby wszystko to było tylko drobną nieprzyjemnością, nie wartą dyskusji.

- Jeszcze będziesz pił moją herbatę - obiecała sobie po cichu, zagryzając wargi. - I zanim to wszystko się skończy, nauczę cię grzeczności i posłuszeństwa.

Ciągle jeszcze przypominał jej Jonathana, to zaś napawało ją smutkiem. Jonathan w takiej sytuacji byłby nie do pokonania. Rzecz jasna, jej mąż był silny, lecz znacznie mniej gwałtowny i bardzo wstydlivy wobec kobiet. Był łagodny i wesoły, przypominał słodkiego byczka, a nie dzikiego wilka jak Kincaid.

Podniosła się z uczuciem zmęczenia i przeszła do pomieszczenia chaty, gdzie nastawiła na kuchence garnek gulaszu. Tkwiąc na tym odludziu, wyposażona jedynie w prąd z gazowego generatora - tylko po to aby napędzać pompę studni - Elgive tęskniła do swego małego, skromnego lecz wygodnego apartamentu, położonego nad jej butikiem w Druradeen. Gdyby nie kuchenka, kaloryfer na gaz i wisząca pod stropem lampa naftowa, warunki tutaj byłyby bardzo prymitywne.

Pewnie, ona i Rob wyrosli w znacznie gorszych warunkach, żyjąc w szopie, odepchnięci od domowego ogniska MacRotha. Traktował ich jak obcych a nie jak sieroty po swoim bracie. Nie dbał o to, iż inni MocRothowie potępiali go za to, że odwrócił się plecami do swojej najbliższej rodziny; Angus nigdy nie zabiegał o względy i uczucia swoich krewnych czy dzierzawców.

Pies Douglasa Kincaida przywlókł się za nią i polizał po ręce. Nieoczekiwane wzruszenie nadwątlilo jej tarczę obronną i łzy zakręciły się jej w oczach. Gdy tylko puści Kincaida wolno, będzie zmuszona zejść do podziemia. Całe lata potrwa, zanim przestaną jej poszukiwać. Kincaid z pewnością był człowiekiem żądnym zemsty. Wszystko jedno. Będzie uciekać, jeśli będzie musiała, nadzór zaś nad dziedzictwem MacRotha pozostawi Robowi.

Rob byłby dobrym dziedzicem. Co prawda zamierzał napisać historyczną powieść, a nie zarządzać majątkiem ziemskim, co jako prawowity spadkobierca miał obowiązek robić. Elgive była najlepszą kandydatką do tego, by uprowadzić Kincaida. Douglas Kincaid był łasy na kobiety. I tylko użycie takiej przynęty mogło zapewnić powodzenie całej sprawie.

Na zewnątrz zawodził wiatr. Elgive spojrzała z zadumą przez małe okienko, osadzone głęboko w kamiennej ścianie. Skaliste, porośnięte wrzosem torfowisko przechodziło w dali w gęsty las, poprzecinany głębokimi strumieniami.

Wrzosowiska były tajemnicze i fantastyczne i nic dziwnego, iż starsi ludzie nadal wierzyli, że mieszkały tam piękne wróżki, nieśmiałe krasnoludki, psotne chochliki i igrające fauny. Dobry Ludek, jak ich zwano, mógł być bardzo pomocny. Kochała te wszystkie legendy i tradycję, która je zrodziła; kochała swój kraj i kochała ziemię, która należała do jej rodu od siedmiu stuleci.

Elgive spuściła żałośnie głowę, słysząc ruch w celi Kincaida. Pośpieszyła z powrotem do dużego pokoju. Więzień siedział na brzegu łóżka, wpatrując się gniewnie w podłogę. Jego pies podbiegł do celi i usiadł, jak mógł najbliżej, naciskając na pręty celi.

- Ten wielki, fajny pies uważa Kincaida za świętego - zauważyła Elgive. - Ale to wcale nie znaczy, że tak jest.

Udała się do swego wielkiego, dębowego staroświeckiego łóżka z wyrzeźbionymi na przodzie aniołami, stojącego w rogu naprzeciw kominka. Zanurzyła się powoli pod jasną kołdrą przykrywającą miękki materac. Następnie złożyła na udach dłonie i po prostu czekała na to, co będzie dalej.

Douglas Kincaid zwrócił ku niej głowę. Zlustrował ją od stóp do głów szyderczym spojrzeniem.

- Ty się jakoś nazywasz? - zapytał ostro. - Czy też może mam cię nazywać, jak mi się spodoba? Bez problemu, mogę wymyślić coś nieprzyjemnego.

- Tego jestem pewna. O ile o mnie chodzi, mogłabym cię nazwać jak mi najbardziej odpowiada: bufon, pozer, złodziej.

- Nie zapomnij dodać „niewinny”. Nie zrobiłem nic nielegalnego, ani nic, co by było niemoralne.

- Nie jest niemoralne branie cudzego?

- Chciałem mieć dom w Szkocji! Angus MacRoth ofiarował kupno domu. Nie pojmuję, dlaczego jego krewni mieliby mieć coś przeciwko temu. Po podpisaniu umowy dostaliby milion funtów. Zafundowanych przez niego.

- Nic by nie dostali. Angus zapisał wszystko Bankowi Szkocji.

- Dlaczego miałby zrobić coś tak bezsensownego?

- Ponieważ był zgryźliwym starcem, który lubił dopiekać bliźnim. Krewnym Angusa nie chodzi jednak o pieniądze. Chodzi im o ich domy i o to, by pozostawiono ich w spokoju. Ty miałeś zamiar wszystkich wyrzucić.

- Ja też chcę mieć spokój. Przecież płacę, by każdemu pomóc w przeprowadzce.

- I zlikwidować miasteczko? Co miałeś zamiar zrobić z miasteczkiem?

- Nie chcę pozbywać się miasteczka. Jest przemiłe.

- To nie jest coś przemiłego! To nasz dom!

- To niezła baza. Mógłbym zbudować hotel, założyć pole golfowe...

- My nie gramy w golfa! Łapiemy ryby, by je jeść, hodujemy owce, gospodarujemy na naszych farmach, mamy tu parę swoich sklepów, chodzimy do kościoła, dzieci posyłamy do szkoły, a...

- Turyści grają w golfa - przerwał zrozpaczony. - Turyści płacą pieniędzmi.

- Turyści ogłupiają! Robią miejscowych aktorami z lunaparku!

- Każdy kraj, mający potwora z Loch Ness, jest według mnie takim parkiem. Legendy warte są fortunę na rynku, a ten kraj aż roi się od nich.

Elgive zaintonowała starą melodię i sięgnęła po swój kołowrotek. Jednym palcem nawinęła nić ze szpuli.

- Dostałam cię z największym trudem, Douglas. Jesteś moim więźniem i zatrzymam cię tu. Puszczę cię następnego dnia po upływie terminu tej podstępnej umowy. Według prawa nie kwestionowany majątek ziemski przechodzi na jego krewnych. Dwór MacRotha jest ich prawowitym domem!

- I ja będę bardzo, bardzo o niego dbał. Dodam basen i płytę pod helikopter.

Wezbrał w niej tłumiony przez lata bunt, wraz z szaleńczą potrzebą, by opowiedzieć Douglasowi Kincaidowi te tragiczne, smutne historie, których przecież nie znał. Elgive podeszła do kominka i wzięła czarną pelerynę ze stojącego obok wieszaka.

- Idę się teraz przejść. Będę to robić każdego popołudnia - zarzuciła pelerynę i zawiązała ją sobie pod szyją. - Mam nadzieję, że lubisz gulasz, Douglas. Czujesz, jak się gotuje powoli na kuchni? Kolacja będzie, jak wrócę. Możesz rozbić swoją miskę na podłodze. Śmiechu warte! No chodź, piesku.

Kincaid podskoczył ku prętom celi i zaczął szarpać nimi zaciekle. Jego gwałtowność sprawiała nieprzyjemne wrażenie.

- Kim jesteś? - krzyknął. - Co z tym masz wspólnego?

Wychodząc majestatycznie z pokoju z podążającym za nią psem, odezwała się zimno:

- Byłam podrzutkiem u Angusa MacRotha, członkiem jego własnej rodziny. Jego twierdza powróci do jego krewnych, a ty nic na to nie poradzisz. Żaden sąd szkocki nie uzna twojego protestu.

- Będę miał tę ziemię i będę miał ciebie! Elgive zadrżała. Wiadomo było z prasy, iż Douglas

Kincaid nigdy nie rzuca słów na wiatr.

Douglas przemeblował swą celę. Przesunął stół i krzesło na bok, aby móc chodzić. Kiedy usłyszał skrzypienie otwieranych ciężkich drzwi przedsionka, podszedł do prętów i popatrzył z wyraźną niechęcią.

Porywaczka wpłynęła, z zaróżowionymi od zimna policzkami. Wspaniała czarna peleryna spływała z jej ramion. Widok był tak zachwycający, że na chwilę zaniemówił - bowiem ta przeklęta kobieta była tak niesamowicie piękna, zaś spojrzenie jej złotych oczu kusilo go, pomimo wściekłości jaka go ogarnęła. Sam z wywieszonym ozorem, przyczłapał pod celę bez najmniejszego śladu wstydu.

- Sam, ty wstrętny zdrajco - oskarżył go Douglas i pogłaskał po głowie.

- On jest Sam? - zapytała kobieta. - Cudownie! Będę go nazywała Shom. Zdrobnienie od Shomhairle. Po celtycku Samuel - zaklaskała w dłonie. - Jesteś teraz porządnym szkockim psem, Shom!

Sam zamerdał ogonem, jakby rozumiejąc, co do niego mówi. Douglas przeniósł wzrok na kobietę.

- Odeszłaś, nie dając mi szansy - zaprotestował. - Ty tchórze.

- Myślałam, że potrzebujesz trochę samotności, by się zastanowić - zrzuciła pelerynę i powiesiła na drewnianym wieszaku koło paleniska. - Poza tym potrzebuję popołudniowej przechadzki. Wrzosowiska mnie wzywają.

- Powiedziały ci zapewne: „Uciekaj, jak tylko możesz. Jesteś w okropnych tarapatach”.

Wzruszyła ramionami, ale on zaskoczony dojrzał jak jej ramiona opadły na moment.

- Niech ci będzie.

- Czy kiedykolwiek powiesz mi, jak się nazywasz?

- Nie - podciągnęła swą kraciastą spódnicę i uklękła przy kominku, by rozpaść ogień. - Nie będę ci ułatwiała zadania. Łapacze, których wynajmiesz i tak wystarczająco szybko mnie zidentyfikują.

- Dlaczego mnie po prostu nie zamordujesz? - zapytał nonszalancko. - Czy to nie byłoby prostsze, niż trzymać mnie, a raczej - usiłować mnie trzymać, na własnym utrzymaniu przez miesiąc?

- Tak. Jeśli byłabym złym człowiekiem. Nie chcę jednak zostać mordercą, nawet jeśli chodzi o tak odrażającego typa jak ty. Tak że wypoczywaj spokojnie.

- Nie chcesz też zapewne wyjaśnić, jak udało ci się zepsuć moje sylwestrowe party i wynieść mnie niepostrzeżenie.

- Mam kroplę czy dwie zaczarowanej krwi. Oczarowałam cię i uprowadziłam w dal. Nie zdziw się, jeśli świat będzie wyglądał inaczej, kiedy cię wyślę do domu z Elf - hame.

- Elf - hame?

- Dom elfów. Królestwo dobrych ludków.

Uśmiechnęła się do tańczących płomieni i Douglasowi przeszły ciarki po krzyżu. Pomyślał znowu o wrażeniu, jakie wywarła na jego zmysły jeszcze w Nowym Jorku. Popatrzył na Sama, który leżał koło niej na dywaniku przed kominkiem, wyglądał na zadowolonego.

„Oczarowany? Weź no ty się za siebie, Kincaid” - pomyślał w duchu.

- Jesteś największą czarodziejką, jaką kiedykolwiek widziałem - dodał głośno, uważając żeby nie zabrzmiało to jak komplement. - I dzięki tej wielkości radzisz sobie z nadwagą.

Wykręciła się, spojrzała na niego surowo.

- Tam na miejscu, w Nowym Jorku nie wyglądało na to, żebyś myślał, że jestem dla ciebie za duża.

- Miałem nadzieję, że na jedną noc podrosnę. Wyglądałaś na łatwą. Dużą i łatwą. Taka dwumetrowa prosta.

Nawet w półmroku, rozświetlonym zaledwie blaskiem ognia z paleniska, mógł dostrzec, jak twarz jej się ściągnęła.

- Nie jestem za duża dla prawdziwego mężczyzny - odparła. - Ani łatwa, ty nachalny kretynie. I mam wagę odpowiednią do wzrostu.

- Och! Musiałaś chyba stać na obcasach, kiedy się ważyłaś.

Uśmiechnęła się słabo i poruszyła w ogniu pogrzebaczem.

- To niezbyt rozsądne nabijać się z osoby, która ma ci przynosić jedzenie. Jedynej osoby, która ma o ciebie dbać.

- Twój współtowarzysze nie chcieliby przecież, żebym głodował, jestem tego pewien.

- Jestem sama, Douglas. To mój własny pomysł. Jestem samozwańczym reprezentantem ludzi, stojących w obliczu porażki, jeśli ty przejął byś majątek po Angusie MacRoth.

- Nie marnuj swych sił na opowiadanie tych czarujących historyjek. Jedna, samotnie działająca osoba, nie byłaby w stanie wyprowadzić w pole moich ludzi ochrony. Są najlepsi. W rzeczy samej są już prawdopodobnie w pół drogi, by znaleźć twoje małe gniazdko tortur. Nikt, poza moim osobistym sztabem, nie dowie się nawet, że mnie nie ma. Ciebie i twoich kumpli będą ganiać eksperci, wobec których rządowi wywiadowcy wyglądają jak niedzielni harcerze. Ty i każdy, kto ci pomógł, spędzi w amerykańskim więzieniu resztę swego życia. Jeśli chcesz wiedzieć, co ci się tam przydarzy, z przyjemnością przejdę do detali.

- Sza, Douglas, mówisz, jak postać z tych bzdurnych filmów gangsterskich, na które ciągle się gapisz: „Ręce do góry i wychodź, albo wyślę po ciebie komendanta Maline”. Możesz grozić, ile ci się żywnie podoba. Dla mnie to wszystko jedno. Z tym, że tylko ja jestem obiektem twojej

nienawiści. Może się zmęczysz twym napuszczonym stylem i zaczniesz się wreszcie odzywać jak gentelman.

Wstała, posłała mu mordercze spojrzenie, po czym przeciągnęła się leniwie, jakby chcąc mu dokuczyć. Pod obszernym białym swetrem zarysowały się jej wspaniałe piersi. Spódnica przywarła do ostro kończącego się podbrzusza, uwydatniając kształt bioder. Douglas wiedział, że wielu mężczyzn musiało już tej kobiecie mówić, iż ma piękne kształty, i że jego kiepskie insynuacje nie działały na nią ani trochę.

- Widzisz, laleczko, jeśli mam z tobą trochę grypsować, to kopsnij przynajmniej jakąś ksywkę. W innym wypadku będę musiał sam ci jakąś wymyśleć. A nie wydaje mi się, żebyś była z tego zadowolona.

- Dobra. Dostyc tych uprzejmości - założyła ręce do tyłu i zaczęła kiwać się w przód i w tył, jakby namyślając się. - Wasza Wysokość, to brzmiałoby ładnie - powiedziała po minucie.

Douglas zawarczał zaskoczony:

- Słoń Jumbo - powiedział, po czym pokiwał z zadowoleniem głową. - Jumbo. Perfekt. Przynies mi jakiś obiad, Jumbo. Postaraj się stąpać, jak możesz najszybciej.

Wpatrzyła się w niego przez moment, po czym westchnęła.

- Musisz umierać z głodu, biedaku?

- Mógłbym coś zjeść. O ile sobie przypominasz musiał minąć co najmniej cały dzień, odkąd ostatni raz miałem coś w ustach.

Udała się do drugiego pokoju i po minucie powróciła z dwiema miskami gulaszu, lecz tylko z jedną łyżką.

- Biedny, biedny Douglas.

Postawiła jedną z misek na podłodze dla niecierpliwie czekającego Sama. Następnie zaniósła drugą do swego fotela przy kominku i zaczęła jeść.

Douglas popatrzył na nią ponuro.

- Bardzo śmieszne. Powiedziałem, że jestem głodny.

- Rozmawiałeś z jakimś grubym facetem zwanym Jumbo, a nie ze mną.

- Nie dasz mi chyba umrzeć z głodu tylko dlatego, żeby mi zrobić na złość?

Wsunęła sobie do ust łyżkę pełną mięsa i marchewki, żuła ją dłuży czas zanim przełknęła.

- Przepraszam - rozkazała chłodno. - Lub poradź sobie bez wieczerzy.

- A idź ty w... - położył się na swym łóżku i nakrył sobie nogi kocem. - Dobranoc, Jumbo.

- Głodujesz z powodu złego humoru, Kincaid. Wraz z odgłosem swego burczącego brzucha, Douglas usłyszał jej dźwięczny, spokojny śmiech.

Elgive nie mogła sobie poradzić. Przybliżyła się na tyle, że mogła dosięgnąć Kincaida poprzez pręty, gdyby tylko chciała go dotknąć.

Przez położone przy palenisku okno wpadało poranne słońce i, biegnąc na wskroś chaty, oświetlało jego pierś i fragment twarzy. Sweter podciągnął mu się w ciągu nocy, zaś koc leżał na kolanach.

- Gorącą ma krew, jak wszyscy jego przodkowie - pomyślała Elgive.

Jak mówiła legenda, czarnowłosi i czarnoocy mężczyźni pochodzący z tego klanu byli wspaniałymi, urodziwymi wojownikami, słynącymi z tego, że rywalizującym z nimi rodom wykradali najpiękniejsze kobiety. Ona i Douglas Kincaid najprawdopodobniej wywodzili się z tego samego rodu, w jakiś daleki i pogmatwany sposób.

Przysunęła się jeszcze o centymetr. Wyzywała los w podobny sposób jak wówczas, gdy jako dziecko, podczas wycieczki nad ocean z rodzicami, badała wiatrem rzeźbione, strome nadbrzeża Arragowan. Słyszała, że tam, gdzie kończyła się biała kipiela, odważny obserwator mógł zajrzeć w głąb i zobaczyć An Uamh Ghabhach - Niebezpieczną Jaskinię.

W 1417 roku jej przodek, Malcolm MacRoth, został tu osaczony przez tuzin wojowników Kincaida. Przez wieki brzeg oceanu przesunął się bliżej jaskini i ukrywał ją. Legenda mówiła, że w dzisiejszych czasach, kto zobaczy to miejsce, zobaczy ducha Malcolma MacRotha, walczącego z watahą Kincaidów.

Tak bardzo chciała to zobaczyć. Jej przerażeni rodzice znaleźli ją na wpół wychyloną nad przepaścią, wyciągającą szyję, by dojrzeć podwodne skały.

Teraz miała żywego Kincaida do oglądania, czuła się więc tak jak wówczas, gdy miała sześć lat. Serce biło jej ze strachu i z podniecenia, ciało nie chciało ruszyć się z tego niebezpiecznego miejsca, instynkt podpowiadał, że wbrew rozsądkowi nic się jej nie stanie.

Elgive wpatrzyła się w jego odsłonięty brzuch, zauroczona powolnym podnoszeniem się i opadaniem mocnych męskich mięśni, porośniętych czarnymi włosami. Smuga srebrnych włosów zaczynająca się poniżej środka, znikająca pod szeroką tasiemką jego spodni jak strzałka prowadząca w stronę pępka i dalej. Była zdecydowanie srebrna a nie szara, i bardzo atrakcyjna.

Elgive wcisnęła twarz między pręty, wzrokiem przeszukiwała gęste włosy na jego głowie. Nie było ani jednego srebrnego, ale być może farbował sobie włosy." „Jednak nie", uznała, przypomniawszy sobie, że ma jedynie trzydzieści siedem lat. Tylko trzy lata więcej niż ona. Jeden z najmłodszych bilionerów na świecie. Zapewne jeden z

najmniej samotnych, biorąc pod uwagę to, co czytała o jego przyjaciółkach.

Prawie wszystkie były blondynkami. Małymi, delikatnymi blondynkami. To dlatego miała blond perukę na jego przyjęciu. Nie była oczywiście w stanie przekształcić się w małą, filigranową kobietkę, ale i tak zwróciła jego uwagę. Kiedy Douglas Kincaid odczuwał pożądanie, każda blondynka z dekoltem nadawała się.

Poczuła się tym bezsensownie urażona, odwróciła się. Pies wspiał się, węsząc za kawałkiem herbatnika ukrytego w kieszeni, zanurzył w niej swój pysk. Zdążyli już rozpocząć grę w chowanie i szukanie. Co za piękne, mądre zwierzę, a jaki pieśczoł! Jak ktoś taki jak Douglas Kincaid mógł na niego zasłużyć?

Elgive oparła się o pręty i niebezpiecznie zapatrzyła się, jak Shom zajadał swoją zdobycz.

W momencie, kiedy usłyszała za sobą skrzypnięcie łóżka, było już za późno na ucieczkę. Jedną ręką pochwycił ją przez pręty za szyję.

Elgive zatrzęsała się ze wściekłości i wyprężyła; drapiąc jego ramię, próbowała go uderzyć łokciem, nie udało się, trafiła w pręt. Ból przeszył jej ramię.

- Przestań, Jumbo - zarządził głośno. - Albo cię wycisnę jak cytrynę.

Pomimo groźby jego uchwyt choć ciasny, nie był jednak bolesny. Elgive uspokoiła się z trudem i zaczęła oddychać normalnie.

- Nic nie poradzisz, robiąc mi coś złego. Jeśli byś mnie udusił, pozostałbyś i tak w zamknięciu. I niewiele możesz zrobić, by zmusić mnie do otworzenia drzwi tej celi.

- O ile nie masz klucza przy sobie.

- Czy wyglądam na tak głupią?

- Porwałaś jednego z najpotężniejszych ludzi na świecie. Powiedziałbym, że załapujesz się na listę największych głupków wszechczasów.

- Bzdura! Czy ty nie za bardzo się nadymasz?

- Zobaczymy, czy zgadłem.

Jęknęła ze złością, kiedy druga ręka obszukująca ją pełzała po jej biodrze. Odkrył kieszeń, gdzie miała schowany skarb Sama.

- Kochany Sam - zamruczał. - Dzięki za twe łakomstwo - pogłaskał miękko przód jej szlafroka, tuż poniżej szerokiego paska. - Niemodny - zanucił Kincaid, muskając oddechem jej szyję - ale bardziej mi się podobał ten zielony - wodził palcami tam i z powrotem.

Brzuch Elgive zadrgał pod naciskiem jego dłoni, zaczęła szybciej oddychać.

- Proszę cię bardzo, ulżyj sobie, Douglas. To twoja ostatnia przyjemność.

- Czy zawsze tak troszczysz się o swych więźniów? - zapytał rozwiązując jej pasek i dodał: - Gdzie jest druga kieszeń?

- Nie ma drugiej. Jest tylko ta.

- Jedna porywaczka, jedna kieszeń. Zaczynam ci nie dowierzać - szarpnął i zmiął materiał szlafroka. Znalazł kieszeń, szybko wsunął rękę do środka.

Była tu jedynie mała fotografia w twardej plastikowej okładce. Popatrzył na nią.

- Wygląda jak jakiś zawodnik w szkockiej spódniczce. Ktoś powinien powiadomić miejscowych o kolorze jego włosów. To najjaśniejsza czerwień, jaką kiedykolwiek widziałem. Co to za potwór?

Elgive przymknęła oczy, poczuła się zraniona. Wsunęła sobie do kieszeni zdjęcie Jonathana, chcąc mieć jakieś oparcie, żeby się podtrzymać na duchu. Tak bardzo się starał

ukryć swe rozczarowanie życiem. Ostatnie, co mogła zrobić dla niego, to zwyciężyć tego człowieka, który miał pieniądze i władzę, czyli to o czym zawsze marzył Jonathan.

Tymczasem stała tutaj w rozpiętym szlafroku, a mocne ramię Douglasa Kincaida otaczało jej szyję. Jego gorący, przyjemny oddech czuła na karku. Prowokujący, męski zapach docierał do niej - brutalny zapach potu, z odcieniem pierwszorzędnej wody kolońskiej.

- Kto to? - Kincaid zażądał odpowiedzi, potrząsając nią z lekka.

- Mój mąż. Nie żyje od dwóch lat. Oddaj mi zdjęcie.

- Och, nie. Może mi się bardzo przydać. Dam je moim ludziom, kiedy mnie tu znajdą. To wkrótce nastąpi.

Szybkim ruchem wyrwała mu zdjęcie, zaskoczyła go, był na to nieprzygotowany, upuściła je na podłogę tuż koło siebie, w bezpiecznej odległości.

- Zastanów się, Kincaid. Douglas zagwizdał.

- Sam! Przynieś!

Wielki pies posłusznie zrobił parę kroków, podszedł do fotografii i po kilku próbach wziął ją w zęby. Elgive patrzyła z rozpaczą.

- Shom! Nie!

Pies zawahał się, przyglądając się im niespokojnie, zdjęcie wystawało z jego pyska jak plastikowy język.

- Sam! Chodź! - zawołał Kincaid. Sam ruszył do przodu.

- Shom! Stój! - zawołała Elgive. Słyszac jej głos pies zatrzymał się.

- Chodź!

- Stój, bestio, stój!

- Sam! Teraz! - Kincaid machnął ręką na zwierzę.

- Shom, bądź grzeczny, Shom.

Pies zaskomlał smutno, podszedł do celi i położył fotografię na podłodze między prętami. Polizał dłoń Elgive, po czym usiadł, trochę zły i zdezorientowany.

- No dobrze, biedny psiaku - wyszeptwała. - Twój pan to brutal, ale ja wiem, musisz go słuchać.

- Szkoda, że z tobą nie jest tak samo - odciął się Kincaid.

Wygięła się pod jego mocnym uściskiem.

- Widzisz przecież, że nie mam klucza. Puść mnie. Pamiętaj, jestem twoją jedyną szansą, jeśli idzie o jedzenie i ogień na kominku. Bądź rozsądnym więźniem, Douglas. Dostaniesz nagrodę, przyrzekam.

- Och? Mam nadzieję - jego ręka wśliznęła się pod szlafrok, przemknęła nad jej pępkiem. Elgive tak gwałtownie zaczerpnęła powietrza, że w cichej chatce aż się rozległo. Zaśmiał się triumfalnie.

- Jeśli ten zawodnik w szkockiej spódniczce jest twym byłym mężem, w co zresztą wątpię, to powiedz mi, czy spałaś z nim w tym grubym worku?

- To bardzo praktyczne ubranie, zupełnie odpowiednie na tutejsze chłody, nie dostanę przynajmniej zapalenia płuc.

- Są lepsze sposoby, by się rozgrzać, Jumbo - jego dłoń natrafiła na pępek, a palec wskazujący zaczął zataczać wokół niego kółka. - Mogłaś zyskać o wiele więcej, jeśli zastosowałaś inną taktykę w czasie ubiegłych nocy - jego głos był przytłumiony i cichy. - Kto wie? Do tej pory mogłaś mnie już nakłonić, do czego tylko byś chciała.

- Kłamiesz, Douglas. Przyjrzałam ci się wystarczająco dokładnie, by wiedzieć, iż nie jesteś w stanie się zakochać.

Zaśmiał się serdecznie, podczas gdy jego ręka wędrowała powoli w górę nad jej pępkiem.

- Myślisz, że tamtego wieczoru szukałem miłości? Do diabła, ale z ciebie sentymentalny przestępca.

Elgive schwyciła jego wolną rękę obiema dłońmi. Pomimo jej rozpaczliwego oporu, jego dłoń kontynuowała swoją wędrówkę w górę.

- Nie rób tego - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Czego? Tego? - zacisnął palce pod jej prawą piersią, napinając grubą koszulę nocną na i tak już mocno podrażnionej skórze. Powoli jego kciuk natknął się na czubek jej piersi. - Czemu, Jumbo? Czemu to cacko jest takie wystające?

Wbiła paznokcie w przegub jego ręki. Jego ramię przycisnęło jej kark, by dobrze przypomnieć, jak mocny może być jego uścisk. Elgive aż zapiała ze wściekłości.

- Zapłacisz mi za to jeszcze, obrzydliwcze.

- Będę tego wart. Mężczyzna powinien być ukarany za takie dogadzanie sobie, choć nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności.

- Pewna jestem, że wiesz, co mówisz - jej oddech się załamał, kiedy jego ręka powędrowała ku jej drugiej piersi, lekko ją ściskając. Zadygotała, kiedy ująwszy sutek między kciuk i palec wskazujący zaczął ją masować. Pod tymi zabiegami stwardniał jeszcze bardziej.

- Co się dzieje, Jumbo, czy to potwór z Loch Ness? - zapytał przekornie. - Czy też po prostu cieszysz się, że mnie widzisz?

- Nic nie wskórasz tymi grubiańskimi manierami - wyszeptała, tupiąc w podłogę w bezsilnej furii.

- Będę musiał się lepiej postarać. Och! Zobacz, co znalazłem na tym grubym worku! Guziki! - jego palce zręcznie rozpinały białe guziki biegnące rzędkiem od jej piersi aż pod szyję. - Ale porządnie. Czy jesteś pewna, że jesteś tą samą kobietą, która o mało nie rozbiła mi lustro? - wsunął rękę pod koszulę, Elgive jęczała ze wstydu.

- Nie rozumiem cię - wyszeptał gorąco. Jego ręka wędrowała z jednego sztywnego wzniesienia na drugie, poszukując z nieoczekiwanym zapalem. Była tym oszołomiona.

- Nie jest to reakcja kobiety, która nie chce, żebym jej dotykał.

Drżała cała, zawstydzona i zmieszana, ledwo mogąc powstrzymać szczekanie zębów.

- Nie mogę poradzić na to, co się ze mną dzieje, gdy mnie dotyka mężczyzna! To nie ma żadnego znaczenia w tych warunkach!

- Przestań udawać, Jumbo - rozkazał, a w jego głosie zabrzmiała nutka zdziwienia. - Powiedz, czego naprawdę chcesz ode mnie?

- Chcę, żebyś wrócił sobie do Ameryki i dał mi święty spokój!

- Ryzykujesz swoją przyszłość dla głupiego spadku? - ucisk na jej karku nieco się rozluźnił. Druga ręka Douglasa ciągle jeszcze obejmowała jej pierś, palce leżały pomiędzy piersiami. - Czy ty jesteś spadkobierczynią, która wszystko odziedziczy po MacRothcie, jeśli ja tego nie kupię? - zaczerpnął gwałtownie powietrza. - Oczywiście! Zachłanna rodzinka! Powinienem się być od razu domyślić!

- Wcale tak nie jest!

- Czy ty naprawdę wierzysz w to, że możesz mnie porwać, sterroryzować i odejść sobie wolno, jak gdyby nigdy nic? Szczęśliwa spadkobierczyni, pani na włościach?

Dotknęła ręką czoła, przymknęła oczy i zaśmiała się krótko.

- Nie jesteś w stanie tego zrozumieć. Robię to dla krewnych MacRotha, nie dla siebie samej. To, co ze mną będzie, nie gra roli..

Ku jej zdumieniu puścił ją. Jego dłoń ześlizgnęła się z jej piersi. Łagodnie ujął ją pod brodę. Elgive zadrżała, zwróciła się ku niemu i wbiła w niego spojrzenie. Jego ręka głaskała jej skórę. Jego ciemne oczy patrzyły na nią gniewnie.

- Głupie gadanie - powiedział ponuro.

- To nie słuchaj. Posłuchaj własnego serca. Może wyjdzie na to samo.

- Posłucham, jak mnie stąd wypuścisz. Zrób to zaraz, a przyrzekam, że będę rozsądny. Przyrzekam ci to.

- To znaczy - myślisz, że będziesz rozsądny według własnego mniemania? Nie, zbyt wiele od tego zależy - cofnęła się szybko o krok.

- Bez wątpienia jesteś krewną MacRotha. Jak masz na imię?

- Spryciuła. Nie próbuj już więcej, bo i ja zacznę. Uderzył pięścią w preć.

- Nie możesz trzymać mnie tu przez cały miesiąc! Mam interesy na całym świecie! Nie mogę tu tkwić w tej zakazanej dziurze!

Elgive nie czując jego dotyku, zaczęła odzyskiwać spokój. Popatrzyła na niego spokojnie.

- Twoja najważniejsza sprawa jest właśnie tu. Weź się teraz za śniadanie. Pewnie zdążyło już wystygnać.

Wskazała na stół znajdujący się pod otworem do podawania. Stały na nim dwa talerze ze smażonymi jajkami, kielbaskami, naleśnikami, bułeczkami z jagodami i świeżym chlebem. Leżały tam wyszywane ręcznie serwetki i śliczny dzbanuszek wypełniony po brzegi gorącą kawą. Podjęła widać ryzyko i podała drugą filiżankę ze starej porcelany.

- Jesteś niezwykłym porywaczem - powiedział z zakłopotaniem.

- Nie chcę ci zrobić nic złego. Ciągle ci to powtarzam.

Przyglądał się jej przez moment. Zaburczało mu głośno w brzuchu. Oboje - jak na komendę spojrzeli na leżącą u jego stóp fotografię. Elgive wstrzymała oddech, kiedy ją podnosił.

- To naprawdę mój mąż, i naprawdę nie żyje - powiedziała. - Nie był MacRothem. Nie zabieraj tego zdjęcia tylko po to, by sprawić mi przykrość.

- Proszę.

Kiedy wysunął fotografię przez pręty, zbliżyła się ostrożnie, chcąc poznać jego zamiary. Opanowała już poprzednie zakłopotanie. Wzięła zdjęcie i włożyła je z powrotem do kieszeni szlafroka. Następnie powiedziała bezwiednie coś, co ją samą zaskoczyło. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, iż odezwie się w ten sposób do Douglasa Kincaida.

- Dziękuję.

- Zostawiłaś mi w portfelu moje zdjęcia rodzinne. Dziękuję tobie.

Ta jego grzeczność, bez względu na to czy udana, czy wyrachowana, była tak ujmująca, że łzy napłynęły jej do oczu. Wzburzona spokojem z jakim panował nad swymi uczuciami, Elgive wybiegła do drugiego pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Dygocząc na całym ciele, rozebrała się do naga i, stanąwszy w małym brodziku, wzięła lodowato zimny prysznic. Było jej to bardzo potrzebne.

Rozdział 3

Douglas zbudził się. Był nadal zaprzątnięty mocno erotycznym snem o porywaczce. We śnie Elgive przyszła do niego i otworzyła cełę, podeszła naga do jego łóżka, rozgrzana, pałająca potrzebą, którą tylko on mógł zaspokoić. I pomimo otwartych drzwi mógł myśleć jedynie o tym, by się do niej zbliżyć, pogłaskać, pociągnąć na wąskie łóżko. Nie chciał stąd odejść.

Douglas odtrącił te bzdurne myśli i zapatrzył się w popołudniowe słońce. Złotookiej nie było; ogień na kominku palił się spokojnie, a Sam, głośno chrapiąc, spał na macie w pobliżu.

Nic dziwnego. Uraczyła Sama obfitym posiłkiem. Doskonale gotowała. Następnie pracowała przy swym kołowrotku, a rytmiczne klekotanie szpuli było tak hipnotyzujące jak stukanie metronomu. Douglas położył się na łóżku, na brzuchu, twarzą ku niej, zbyt naburmuszony, by rozpocząć konwersację. Po kryjomu obserwował, jak pracuje.

Posłała mu uprzejmy uśmiech, ale nie wyglądała na zainteresowaną dyskusją o ich niezręcznej sytuacji bardziej niż on sam. Ukołyszany monotonnym stukotem kołowrotka, syty, przy ogniu trzaskającym na kominku, z uczuciem bliskim stoickiej akceptacji losu - zapadł w sen.

Poklepał się z rozkoszą po brzuchu. Karmiła go, chcąc by był leniwy i zadowolony, spasiony jak lew w klatce w ogrodzie zoologicznym. Nuda i uwięzienie miały ułatwić jej przeprowadzenie planu. Douglas pokręcił głową. Będzie wyglądał jak Orson Welles, jeżeli stąd szybko nie wyjdzie. A wyjdzie stąd szybko.

Audubon! Prawdopodobnie był już bliski odnalezienia Kincaida. Audubon był nie tylko starym przyjacielem, ale również najlepszym na świecie ekspertem od spraw ochrony osobistej.

I co dalej? Douglas pytał sam siebie, pełen rozterek. Zamknąć Złotooką i jej pomagierów? Niemożliwe. Wytropić prawdziwy powód jej gierki? Jasne. Spróbować uzyskać wydalenie całej paczki do Ameryki i posadzić ich do więzienia na resztę ich szkockiego żywota? Zawahał się.

Wyskoczył z łóżka i chodząc niespokojnie po wąskiej celi, zastanawiał się, czy nie było bzdurą dać się nabrać na te historyjki o domu praojców i zrozpaczonych krewnych MacRotha. Była w niej jakaś szczerłość, jakiś idealizm, który przeszkadzał mu podjąć decyzję. Czy rzeczywiście miał zaszkodzić ludziom, kupując tę posiadłość? Czy znaczyła ona dla nich więcej, niż mu się zdawało?

Potrząsnął głową. Nie zbudował swego dolarowego imperium, będąc człowiekiem nieprzejednanym i surowym. Jego ojciec był taki, ale też wycierpiał za swoje. W interesach Douglas ustalił sobie reputację człowieka szczodrego, uczciwego, wspaniale zorganizowanego, a przy tym nie cofającego się przed niczym. Wszystko jedno, jeżeli nawet Złotooka intrygowała go niesłychanie, to i tak nie miał zamiaru dać jej tego, co chciała, ani puścić jej, ot tak, bez niczego; jak typowy szkocki skąpiec.

Douglas rozejrzył się ponuro po celi.

- Obdarzę ją „po szkocku” - mruknął pod nosem.

Wiał mroźny, styczniowy wiatr. Elgive szła ze schyloną głową. Narzuta ściśle przylegała do jej ciała. Oddaliła się o parę kilometrów od domku, przebyła wrzosowiska i przez las dotarła do nadbrzeżnych skał Loch Talrigh. Północny skrawek wielkiego jeziora otaczały strome, pokryte świerkami góry. Powietrze było chłodne, góry zatrzymywały wiatr. Woda jeziora była głęboka i ciemna, miała purpurowy odcień.

Na środku była skalista wyspa. Na wyspie zaś, pożerając niemalże każdą piędź ziemi, znajdowały się ruiny zamku Talrigh. Elgive odrzuciła kaptur na plecy i stojąc na skale

przyglądała się temu owianemu legendą, niezwykłemu miejscu. Następnie podeszła nad brzeg i przez chwilę szukała czubkiem swych czerwonych kaloszy, aż wreszcie kilkanaście centymetrów pod wodą odnalazła kamienną przeprawę.

Przejście do zamku zajęło jej dłuższą chwilę, ponieważ starodawna przeprawa biegła zygzakiem i trzeba było uważnie jej wypatrywać, by nie zboczyć z drogi. Iluż to wojowników wraz ze swymi końmi znalazło się w fiordzie, podczas gdy obrońcy zamku zasypywali ich strzałami z łuków, a w późniejszych czasach gradem kul z muszkietów! Wielu jej własnych przodków zginęło w ten właśnie sposób.

Kiedy dotarła do stóp fortecy, weszła na skalisty dziedziniec i usiadła na wielkim głazie. Zimowe słońce rzucało długie cienie. Przyszła tu, by pomyśleć o Douglasie, ale nie zostało jej wiele czasu do zmroku.

Tak. Zdecydowała w końcu, że tu właśnie, w tym miejscu rozpocznie naukę. Pokaże mu foto - grafie i spróbuje mu opowiedzieć siedemsetletnią historię rodu Kincaidów barwnie, tak by go nie znudzić. Potem, jak go już wypuści, być może wzbudzi się w nim ciekawość na tyle, by tu sam przyszedł i sam zobaczył dom swoich przodków.

Może widok majestatycznego zamczyska poruszy go bardziej niż cokolwiek innego i zrozumie wreszcie, że ona uwięziła go po to, by uchronić swój własny dom. A on, być może, zrozumiawszy, co to znaczy być członkiem klanu Kincaidów, z przyjemnością odwdzięczy się jej.

Zastanawiała się jeszcze przez chwilę, po czym powzięła decyzję. Opowie mu historię jego rodu, ale nie będzie mu wyjaśniać, dlaczego zamek Talrigh, starożytny rodowy zamek Kincaidów, został zniszczony.

A przede wszystkim nie powie mu przez kogo.

W lecie 1971 roku T.S. Audubon ukończył dwadzieścia jeden lat. Usiłował wówczas przetrwać w wietnamskiej

dżungli. Był jednym z najsprytniejszych, najbardziej zawziętych i poważanych sierżantów swego batalionu, nie przeżyłby jednak, gdyby nie brawurowy wyczyn osiemnastoletniego kaprała o nazwisku Douglas Kincaid.

Twardoszczęki chłopak z Chicago przeniósł ранego sierżanta w bezpieczne miejsce, przez piekło nieprzyjacielskiego ognia. Po twarzy Kincaida spływała krew z rany po szrapnelu. Fakt, iż Douglas nucił wówczas fałszywie pod nosem God Bless America, zawsze przydawał wspomnieniom Audubona szczególnej barwy.

Ich wojenna przyjaźń zacieśniała się przez następne dwadzieścia lat, w czasie których Douglas, dzięki swej przedsiębiorczości i ambicji, wdarł się na szczyt świata pieniędzy - świata, do którego Audubon należał od urodzenia. Dzielili zamiłowanie do uciech, ryzykownych przygód oraz naiwny idealizm.

W godzinę po zniknięciu Kincaida, Audubon, by go odnaleźć, uruchomił swój doświadczony pięćdziesięcioosobowy zespół.

Teraz zbliżali się do celu. Podając rękę chudemu, niskiemu mężczyźnie, siedzącemu przy stole w pubie w Druradeen, Audubon usłyszał swój nieomylny siódmy zmysł, który mówił mu, iż burmistrz tego miasteczka kłamie jak z nut. Był przesadnie uprzejmy.

- Proszę, niech pan powie, z czym pan przychodzi, mister Audubon - powiedział Duncan MacRoth, uśmiechając się. - Szeryf z Terkleshire telefonował, uprzedzając mnie o pańskiej wizycie. Mówił o jakiejś tutejszej kobiecie, której pan szuka.

- Tak - Audubon położył na stole kawałek papieru. - Czy widzi pan ten emblemat? Gryf i barany? Powiedziano mi, iż jest to godło rodu MacRothów.

- Zgadza się. Prawda, że piękne?

- Kobieta, której szukam, nosiła taką ozdobę na przyjęciu w ubiegłym tygodniu. W Ameryce. W Nowym Jorku, dla ścisłości.

- Tutejsi mieszkańcy nie podróżują zbyt często. Szczęśliwi są, gdy pojedą raz na rok do Edynburga. Ale do Ameryki?! Po co panu ta kobieta?

- Jestem prywatnym detektywem. Jest ona zamieszana w sprawę mojego klienta. Jest wysoka, dobrze zbudowana, jeśli pan wie, o co mi chodzi. Koło trzydziestki. Bardzo ładna. Blondynka. Przymuszczaalnie nosi perukę.

- Niemożliwe! Wiedziałbym coś, gdyby mieszkała w tym miasteczku. Nic mi nie przychodzi na myśl.

- Och? Rozumiem, że Elgive MacRoth, która prowadzi mały sklepik na tej ulicy, pasuje do mojego opisu. Prócz tego, że ma ciemne kasztanowate włosy. Jej sklep jest zamknięty. Powiedziano mi, że wyjechała na urlop. Czy mógłby mnie pan poinformować dokąd?

- Och! Elgive! No, rzeczywiście, wydaje się, że wyjechała... uhm... chwileczkę... Floryda. Tak. Może wyjechała do Ameryki. Do Disneylandu. Otóż to.

Naczelnik kiwał się na krześle. Twardy wyraz jego oczu zdradził Audubonowi, iż nie dba ani trochę o to, czy ktoś mu wierzy, czy nie. Była to jego wersja i gotów się był na nią przysiąc.

- Interesujący wybór.

MacRoth wzruszył się wspaniałomyślnie.

- Ona ma niezwykle zainteresowania, ta Elgive. Piastunka dziedzica, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Stary Angus był ekscentrykiem.

- Musi być bardzo zamożna, co? Jedna ze spadkobierczyń po dziedzicu.

- Och, wcale nie jest zamożna. Angus był niezłym draniem. Traktował ją i jej brata gorzej niż żebraków. Ale ona

i jej mąż odłożyli przez te lata sporo grosza. Nie mieli dzieci, żeby na nie wydawać, biedacy. On był rybakiem. Zabrał go sztorm...

- Ona ma brata? - niecierpliwie zapytał Audubon.

- Zgadza się. Też jest rybakiem. I pisarzem. Choć nic jeszcze nie wydał. Ale to porządny, równy chłop.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie on jest?

- W Disneylandzie - odezwał się przenikliwy głosik.

Audubon podniósł wzrok i ujrzał małą starą kobiecinę, stojącą w drzwiach pubu i przyglądającą mu się uważnie.

- W Disneylandzie - zapewniła i dla podkreślenia prawdziwości swoich słów złapała się za kłapy swego solidnego żakietu. - Pojechał zobaczyć myszki. Mickey i Minnie. Tak. Oni są, widzisz, naszymi krewnymi.

- Mickey i Minnie? - sucho zapytał Audubon.

- Elgive i Rob, i nie próbuj być wobec mnie niegrzeczny, chłopcze - odparła.

- Przepraszam.

- To mister Audubon, mamó - powiedział naczelnik. - Czy wiesz może, kiedy Elgive i Rob wrócą?

- Och, nie w ciągu najbliższych tygodni! Mieli pojechać do tego drugiego znanego miejsca w Ameryce. Hmmm... Tara. Tak! Mieli zobaczyć Tarę.

Audubon przeniósł wzrok z naczelnika na jego matkę. Oboje uśmiechali się uprzejmie. Audubon wiedział już, że jest na właściwej drodze, ale nigdy by nie przypuszczał, że trop będzie tak naszpikowany MacRothami.

- Douglas, milczysz cały wieczór jak skała. Coś jest nie tak?

Elgive przyjrzała się mu, jak spoczywał wygodnie na fotelu koło łóżka, krzyżując w kostkach swoje długie nogi. Na jego twarzy o mocnych rysach blask ognia kładł fantastyczne cienie. Mógł przecież zaświecić sobie lampę i czytać jedną z

książek, jakie mu przygotowała. Położyła na półce prawie dwa tuziny amerykańskich opowiadań z mnóstwem seksu i przemocy, które według niej powinny mu się podobać.

Mógł rozwiązywać krzyżówkę lub którąś z wielu szarad. Wyczytała, że łamigłówki są jedną z jego pasji, kiedy nie mógł odgadnąć właściwych słów, sam wymyślał lepsze. Douglas Kincaid był pełen inwencji, niezbyt stosował się do ogólnie przyjętych reguł.

Teraz patrzył tylko na nią. Elgive oderwała ręce od robionego na drutach swetra. Shom podniósł swój złoty łeb znad jej stóp i rozejrzał się sennie wokół.

- O co chodzi, Douglas? - zapytała raz jeszcze. Roześmiał się, ale jego śmiech był raczej wyrazem goryczy niż oznaką wesołości.

- Nic. Uwielbiam porwania - podniósł stopę w jasno czerwonej skarpetce i sandale z szerokich skórzanych pasków.

- Czuję się w tym jak celtycki krasnoludek.

- Nie potrzebujesz innych butów. Przecież nie wychodzisz na dwór.

Opuścił stopę i zaklął pod nosem.

- Mam nadzieję, że udowodnię ci, że się mylisz. Westchnęła. To nie była odpowiednia pora na opowiadanie o jego szkockim rodowodzie.

- W skrzynce pod łóżkiem znajdziesz magnetofon kasetowy, Douglas, i kilkadziesiąt ulubionych nagrań. Wszystkich twych ulubionych jazzmenów. Masz tam też paru najlepszych kobziarzy. Może posłuchasz jakichś starodawnych pieśni dla ukojenia nerwów?

- Moje nerwy dostatecznie są ukojone obiadem.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Lubię gotować.

- Nie było to wyrażanie wdzięczności - zamruczał coś, co ledwo mogła dosłyszeć, coś o jej mężu wyglądającym prawdopodobnie jak chudy Jaś, zanim ona zaczęła go karmić.

- Twój mąż - powtórzył trochę głośniejszym głosem, zwracając się wprost do niej.

- Hmm? - Elgive z trudem skupiła się na swych drutach, usiłując zachować obojętny wyraz twarzy.

- Czy on umarł z przejedzenia?

Elgive z niezadowoloną miną zwróciła mu uwagę:

- Nieładnie naigrywać się z czyjegoś nieszczęścia.

- Nieładnie strzelać w niewinnego nieznajomego lotką ze środkiem odurzającym.

- Już wolę, jak nic nie mówisz, Douglas.

- A ja wolę cię jako seksbombę blond.

- Co powiesz na jeszcze jeden kawałek ciasta?

- Przestań prać mi mózg jedzeniem.

- To nie pranie mózgu, to gościnność.

- Nauczyłaś się gościnności od terrorystów?

- Mógłbyś ten miesiąc spędzić przyjemnie, gdybyś chciał.

- Daj mi tę butelkę whisky, o której mi wspomniałaś.

- Nie dzisiaj. Picie mogłoby cię wpędzić w gorszy nastrój.

- To niemożliwe.

- Douglas, bądź grzecznym chłopczykiem i zasłuż sobie na prawo korzystania ze szkockich skarbów.

- Psiakrew...! - wpatrywał się w nią z cienia w swym kącie jak przyczajone, groźne zwierzę, gotowe rzucić się na ofiarę. - Ty mała, sprytna...

- Cii, cii, Douglas. Nie jestem wcale mała. Sam to powiedziałaś.

Zamilkł, chwilowo wymanewrowany. Następnie krzywy uśmiezek pojawił się na jego twarzy.

- No to powiedz mi, Jumbo, czy nie chciałabyś, żeby cię ktoś znowu popieścił? Z pewną dozą twórczego wyspecjalizowania moglibyśmy zrobić, cokolwiek byś zapragnęła, nawet i przez kraty - wyciągnął ręce i rozpostarł

zachęcająco palce. Podejź no do twego łupu, ubrana w jedynie twą kraciastą spódniczkę, słodziutka.

Ukłuła się drutem. Powiedziała przez zaciśnięte zęby:

- Bardziej bym ci dogodziła, niż na to zasługujesz.

- Dowiedz tego. Udowodnij.

- Pomarzyć dobra rzecz, Douglas. Rozbisuremaniłbyś się do końca, gdybym miała spełniać wszystkie twe zachcianki.

- Zasługuję na to. Z tym, że na prezent mniejszych rozmiarów, rzecz jasna. I z prawdziwymi włosami blond, a nie z jakąś tam tandetną podróbką.

- Biedny, nieszczęśliwy kawalerze. Jeśli nie utemperujesz swego humoru, nigdy nie znajdziesz żony, która by ogrzała twą lodowatą duszę.

- Zdradź mi zatem, Anno Antymacalska, jak długo byłaś mężatką?

- Dwanaście lat.

- Za jednym razem? Z tym samym nieszczęśliwcem?

Wzniosła oczy do góry.

- Wyobraź sobie! Wiem, że nie jesteś w stanie zrozumieć takiej lojalności.

- Powiedz mi, czy spotkałaś go w szkole po reformie?

- Nie. Zostaliśmy sobie przyrzeczeni jeszcze jako dzieci.

Kincaid zaniemówił i dopiero po chwili powiedział:

- Czy nie jest to podobne do kupowania prezentów na Gwiazdkę?

- Tutaj jest to w zwyczaju. Matki planują ożenek dla swych dzieci.

- Och, Jumbo, przestań, jesteś na to zbyt nowoczesna.

- Nie jest to zły zwyczaj. Moja matka wybrała dobrze. Mogłam zerwać zaręczyny, gdybym tego chciała. I on też mógł. Zdecydowaliśmy jednak, że wspólnie zbudujemy udaną rodzinę.

- To kochaliście się nawzajem?

- Żywiliśmy wzajemny szacunek. To znacznie ważniejsze.

Przyjął tę informację w milczeniu, spochmurniał. Kiedy ponownie przemówił, w jego głosie brzmiała zaczepka:

- Widać twoje małżeństwo było udane.
- Było całkiem dobre.
- Szczęśliwe małżeństwo? Zacisnęła pięści i wypaliła w złości:

- Co to ciebie obchodzi, Douglas?
- To znaczy, nie byłaś szczęśliwa - zakonkludował z zadowoleniem. - Wcale nie jestem tym zaskoczony. Większości mężczyzn musisz sprawiać za dużo kłopotów.

- Byliśmy udanym, dobrym małżeństwem! Przestań już to rozgrzebywać.

- Czy są jakieś małe słoniki - Jumbosiki?
- Nie!
- Dlaczego?
- Nie mogliśmy mieć dzieci!
- Kto nie mógł? Ty czy on?
- Zajmij się sobą.
- Zajmowałem się tym od paru dni. Teraz jestem zmuszony bredzić cokolwiek trzy po trzy, aby się tylko czymś zająć. A więc, czy mister Jumbo był niewypałem? Czy też po prostu bał się, że go zadusisz w łóżku? Wiem, nie chciał prowokować żadnych nawrotów z lat, kiedy pracowałaś na bramce.

Skoczyła na równe nogi, pozwalając, by druty potoczyły się na palenisko.

- Przestań! Przestań mnie dręczyć! - jej głos się załamał. - Ty wielki, wstrętny, niegodziwy diable!

On również stanął na nogi, rozwścieczony jeszcze bardziej.

- Oddaję jedynie pięknym za nadobne.

- Zamknij się! - Elgive mówiąc to trzęsła się cała ze wstydu; była bliska płaczu w obliczu tego bezdusznego Kincaida, który by się tylko z tego śmiał. Złapała pelerynę z wieszaka. Shom podbiegł do jego stóp, skomląc z cicha.

- Nie myślisz chyba serio, by wychodzić na dwór - zaprotestował Kincaid zatroskanym tonem. - Na dworze jest mróz i całkiem czarno.

- W każdym razie przyjemniej niż tutaj. Kincaid machnął na psa.

- Sam, idź.

Wielkie, złote psisko prawie stanęło jej na piętach, kiedy w pośpiechu trzasnęła drzwiami chatki. Odetchnęła głęboko świeżym, zimnym powietrzem, nie mogła jednak powstrzymać płynących po policzkach łez.

Rozumiała, dlaczego Douglas Kincaid z takim zapałem jej dopiekał. Każdy prawdziwy wojownik szuka słabych stron u swego prześladowcy. Nie rozumiała jednak, jakim cudem pozwoliła mu tak łatwo znaleźć je.

Nie było jej już od dwóch godzin, wiatr z minuty na minutę przybierał na sile. Douglas spojrzął na swój wysadzany diamentami zegarek. Robił sobie wyrzuty, obawiał się, czy się jej coś złego nie stało.

Przyszło mu do głowy, że bez trudu mogła mu zabrać zegarek, kiedy był odurzony. Musiała przecież spostrzec, że miał znaczną wartość. Zegarek jednak, tak jak i pieniądze, które miał w swym portfelu, fotografia siostry, brata i rodziców, oraz jego wykonane przez jubilera kluczyki do samochodów nie zostały skradzione. Znalazł je w małej papierowej torebce pośród ubrania, które mu zwróciła.

Nie była złodziejem.

W skromnej łazience umieściła jego ulubione mydło, krem do golenia i dezodorant, a także jego ulubioną pastę do zębów.

Nie kłamała, kiedy powiedziała, że chce zapewnić mu wszystkie domowe wygody.

Przeklęty prysznic raczył go jedynie zimną wodą, ale tak samo miała i ona. Słyszał tego ranka szum prysznica z frontowego pokoju i kiedy ukazała się ubrana jedynie w spodnie i sweter, dostrzegł sinawy odcień na jej skórze. Ona też znosiła niewygody.

Bez narzekania.

Douglas dotknął ręką piersi, po czym z przykrością spojrzął na miękki, szary sweter, który nosił wraz z szarymi, dostarczonymi przez nią spodniami. Doszedł do wniosku, że sweter ten zrobiła mu sama. „Dla ciebie, tak. I pasuje jak ulał”.

Ma się rozumieć, jej pobudki były egoistyczne. Chciała zdobyć jego sympatię. Będzie jej potrzebowała, gdy on wyjdzie na wolność.

Douglas spojrzął ponownie na swój zegarek. Co, do cholery, robiła tam, na tym pustkowiu? Czemu się martwił? Audubon znajdzie go już niedługo. Ale tymczasem gdzie ona była? Przeszukiwał pamięć w poszukiwaniu informacji o tej krainie. Czy aby nie było tu wilków?

„Nie zaszkodzi, żebym od tej pory był dla niej miły”.

Douglas podszedł do prętów i potrząsnął nimi potężnie.

- Wracaj - zawołał. - Jeśli coś cię żywcem pożre, to będzie to moja wina.

W kilka minut później posłyszał że wróciła. Podmuch wiatru, który dotarł przez pierwszy pokój do jego celi, przyniósł zapach nocy i pól. Sam wpadł do pokoju, machając ogonem, i podbiegł do prętów celi. Douglas pogłaskał go po chłodnym futrze i wbił wzrok w otwarte drzwi do frontowego pokoju, gdzie, jak mu się wydawało, była ona. Czy się rozbiera? Przez kilka minut słyszał lejącą się wodę, ale, jak osądził, nie był to prysznic lecz kran nad zlewem. Słyszał, jak żywo pluskała woda.

- Mam nadzieję, że to ty - zawołał - a nie jakiś przekorny chochlik, który wpadł, aby coś sobie przekąsić.

Zapaliła naftową lampę w pierwszym pokoju i ukazała mu się przyodziana w długi, biały, ciasno przewiązany paskiem szlafrok. Widoczna spod niego koszula nocna ściągnięta była pod brodą białą tasiemką. Na stopach miała wielkie, szare skarpety, prawdopodobnie z tego samego srebrnoszarego owczego runa, z którego zrobiony był jego sweter.

Douglas poczuł, że krew krąży szybciej w jego żyłach. Nawet przykryta toną wełny wyglądała czarująco.

Popatrzyła na niego z niechęcią. i poprawiając potargane wiatrem włosy, przyklękła przy palenisku.

- Widzę, że uwielbiasz przechadzki po wrzosowiskach - zaczął uprzejmie.

- Dobry wieczór, mister Kincaid - skończyła grzebać w przygasłym kominku i podeszła do ogrzewacza, stojącego koło jego celi. Kiedy nachyliła się ku pokrętlom, Douglas poczuł zapach jej ciała i włosów. Pachniała jak nocny wiatr, lekko przyprawiony dymem. Douglas wyobraził sobie nagle siebie samego, otoczonego przez ten pociągający zapach, zanurzonego twarzą w jej włosy, z ciałem skąpanym w jej zapachu poprzez intymny kontakt.

Wyprostowała się, nie był pewien, czy ułożenie jej ramion zdradzało znużenie czy porażkę.

- Jeśli zmarzniesz w nocy, zastukaj w pręty celi i obudź mnie - oznajmiła zwięźle, oficjalnym tonem. - Podkręcę ogrzewacz.

- Posłuchaj, Słonko.

- Słonko? - uniosła brwi.

- Tak. Do kobiety, która nie chce mi powiedzieć swego imienia...

- A co się stało z Jumbo?

- Poszła się przejść i pożały ją wilki. Albo może porwał ją jakiś duch. Nie wiem. W każdym razie Słonko bardziej mi się podoba.

Odczuła niesmak.

- Wiem, że coś się za tym kryje, jakiś psikus, ale nie jestem teraz w stanie tego odgadnąć. Dobranoc.

- Żaden psikus. To przeprosiny.

- Nie spodziewałam się przeprosin. Co mają oznaczać? - zatrzepotała ze zdziwienia powiekami.

- W Ameryce słownik określa to jako pragnienie uzyskania wybaczenia. A w Szkocji?

- Więźniowie nie przepraszają - westchnęła. - A w ogóle to we wszystkim, co wyczytałam na temat wielkiego Kincaida, nigdzie nie napotkałam najmniejszej wzmianki o tym, by za cokolwiek kiedykolwiek przepraszał.

- Do jasnej cholery, nie ułatwiasz mi życia. Mówię jedynie, że przepraszam za to, że szydziłem z ciebie oraz z twojego byłego męża. Na tym przeprosiny się kończą. Dobranoc - przerwał, po czym dodał z wahaniem: - Słonko.

Najwyraźniej nie dowierzając, przecięła na ukos pokój i nie odrywając od niego wzroku, podeszła do swego łóżka.

- Nie próbuj mnie nabrać, gangsterze.

- Nie mogę ci dawać długoterminowych przyrzeczeń, ale dziś w nocy jesteś bezpieczna.

- Ach - odkryła grubą, puszystą kołdrę.

Jej łożo było wysokie i potężne; miało dwa materace na podwójnych sprężynach, przykryte było białym prześcieradłem, na którym leżał stos poduszek i sterta pierzyn. Oceniał, że łożko było szerokie na dwoje. Obiecywało różne przyjemności, tak jak i jego właścicielka.

Zdjęła z siebie szlafrok, przerzuciła go przez oparcie łóżka. Biała, lniana koszula nocna rozpostarła się wokół niej z

elegancją, jak jakiś powiewny zwój. Kiedy wślizgując się do łóżka, zerknęła przez ramię dostrzegła, że patrzy na nią.

- Przyzwyczaj się do mnie - powiedziała naburmuszona. Szybko wsunęła się pod pierzynę i leżąc podciągnęła ją pod pachy, jej włosy spływały po poduszkach. Ostatni blask z paleniska rzucał na nią bursztynowy blask, obrzeżony głębokim cieniem.

„Och, łatwo mógłbym się do ciebie przyzwyczać” - pomyślał Douglas.

- Przyzwyczaj się do mnie - odpowiedział zręcznie. Ściągnął przez głowę sweter i rzucił go na drewniany stół w swojej celi. Przejechał powoli dłońmi po swym obnażonym torsie. Pomimo iż nie mógł dostrzec już jej twarzy, pewien był, że jej oczy spoczywają na nim. - Przygotowałaś mi jakąś pidżamę? - zapytał. - Czy też może mam spać pod elektrycznym kocem?

- Masz komplet ciepłej bielizny na spodzie, w szufladzie biurka.

- Odpowiednie miejsce - sarknął, przemierzając celę do biurka. Długie kalesony były jasnoczerwone. - Och, wspaniale. Nie będzie teraz się kłócić z kolorem skarpet.

- Wiem, że lubisz się ładnie ubierać. Przerzucił kalesony przez stolik i usiadł na stojącym obok krześle. Po zrzuceniu sandałów rozpiął spodnie. Następnie, żeby wyrzucić na Słonku większe wrażenie, wstał. Powoli zaczął zsuwać spodnie w dół bioder.

- Masz przyjemną prywatną łazienkę, żeby się przebierać - przemówiła szybko.

- Po prostu nie musisz przejmować się moim bezwstydem. Nie patrz się, jeśli ci to przeszkadza.

Zamruczała coś brzydkiego po gaelicku, zakończyła zaś po angielsku.

- Nie przeszkadzają mi tacy jak ty.

- To dobrze - spodnie opadły mu do kostek. Usłyszał, jak gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Douglas popatrzył na jej piersi. - Czy są tu jakieś krótkie kalesony? - zapytał niewinnie. - Wybacz, że nie zapytałem wcześniej. Trochę byłem nieuważny.

- Tak, są, uhmmm, gdzieś są - odchrząknęła. - W bieliźniarce. Druga szuflada od dołu.

Douglas zdjął spodnie i przeciągnął się, najbardziej nonszalancko jak mógł, zważywszy jego przyrodziewek. Nie mając na sobie nic, prócz czerwonych podkolanówek, przedelfilował do bieliźniarki i bez pośpiechu szukał majtek.

Spoczawszy nagim ciałem na postawionym koło łóżka krześle, włożył najpierw jedną, potem drugą nogę. Powolnymi ruchami, których nie powstydziliby się zawodowy tancerz, przeciągnął majtki przez uda, lekko wygiąwszy plecy. Za zmysł aktorski otrzymał kiedyś doskonałą ocenę w gimnazjum na kursie teatralnym, na który chodził dla draki.

W końcu podniósł się, przeciągnął ręką po pośladku, spróbował gumki i popatrzył na siebie krytycznie.

- No cóż, co o tym sądzisz, Słonko? Imponujące, nieprawdaż?

Z drugiej strony pokoju dobiegło głębokie, wibrujące chrapanie.

Douglas gapił się przez moment na ciemny kształt, kompletnie zaskoczony. Dobrą chwilę trwało, zanim zrozumiał, że to chrapanie było udawane. Absurd.

Zaśmiał się. Wchodząc do łóżka, śmiał się tak, że aż łzy mu stanęły w oczach. Był więźniem kobiety, która irytowała, dopiekała i znieważała go bardziej niż ktokolwiek dotychczas. Choć nie chciał, musiał jednak przyznać, że zaczynał ją lubić.

Rozdział 4

Elgive siedziała na fotelu, patrząc w książkę:

Mgły nad Talrigh ciągle jeszcze płaczą,

Ponaglone duchami Kincaida i MacRotha.

Powtarzają w kolo: wykradziona brosza,

Brzęk stali,

Upiorna krew przelana za honor rodów;

Ni bój ni czary - nic ich nie ocali;

Jedynie prawdziwa miłość ukoj ból,

Zagoi odwieczne rany,

Tak aby stare żale mogły się w końcu oddalić.

Elgive przeczytała wiersz raz jeszcze i zmarszczyła czoło.
Jedynie prawdziwa miłość ukoj ból.

Jej matka, poważna i rozsądna, zawsze mówiła, iż słowa te mówiły o miłości do Szkocji. Natomiast ojciec, marzyciel i romantyk, upierał się, że chodziło tu o miłość pomiędzy kobietą i mężczyzną. Biorąc pod uwagę ich różne charaktery, zadziwiające było to, iż tak świetnie do siebie pasowali.

Pewna Gwiazdka, sprzed dwudziestu pięciu lat, wryła się na zawsze w pamięć Elgive. Ona i Rob wymknęli się na palcach z łóżek i dygocąc z przejęcia, schowali się za ciężką draperią w komnacie myśliwskiej dworu MacRothów, chichocząc, ponieważ rodzice mieli w czubie po zbyt dużej ilości trunku.

Ona i Rob zajęci byli podglądaniem zazwyczaj wyniosłej matki i ojca, ściśniętych razem na wąskiej kanapce, podczas gdy wyleniała jelenia głowa łypała na nich swym jedynym szklanym okiem. Rob marszczył nos na całusy i uściski, natomiast Elgive była już wystarczająco duża, żeby zaakceptować taki romans.

Było to coś więcej niż romans.

- David, będziesz śmiesznym staruszkiem, typem który sam sobie podśpiewuje i który tańczy podczas pełni księżyca - powiedziała matka do ojca między pocałunkami.

- Tak, i mam zamiar żyć tysiąc lat, żeby tylko trochę cię pomęczyć - zaśmiał się.

- A ja codziennie będę ci wymyślała - odparła i ustami musnęła jego ucho. Następnie popatrzyła na niego i odezwała się tak cicho, że Elgive ledwo mogła dosłyszeć: - Kiedy odejdziesz, nie chcę być bez ciebie ani sekundy.

Matka dotrzymała słowa, z tym że życie ich nie trwało tysiąc lat. Przetykając łyzy, Elgive zamknęła książkę i wlepiła smutny wzrok w skórzaną okładkę.

- To musi być książka kucharska. Wyglądasz załamana, jakbyś zgubiła jakiś przepis.

Mocny, dźwięczny głos Douglasa Kincaida wlał się w jej żyły jak słodkie wino. Podniosła na niego oczy i zamrugowała jak sowa. Stał w rogu celi, nie mając na sobie nic prócz spodni. Jego tors błyszczał od potu po pompkach, jakie zrobił przez ostatnie dwie godziny. Mięśnie jego klatki piersiowej i brzucha napinały się przy każdym oddechu.

- Zgubiłam przepis - powtórzyła bezwiednie. Elgive zapatrzyła się na potężnego mężczyznę, znajdującego się za prętami, zaledwie kilka metrów od niej. Kto potrzebował się przed kim chronić? Zaczynała żałować tych krat.

Zabrała się za czytanie poezji szkockiej, aby nie gapić się na niego beczynn timer. Widok jego mocnego ciała, wykonującego kolejne pompki jak niezmordowana maszyna sprawił, że poczuła się słaba. Utkwiła wzrok w książce, ale to nie rozwiązywało problemu, miękkie, natrętne dźwięki jego oddechu, jeszcze bardziej rozbudzały jej wyobraźnię.

Elgive pośpiesznie odłożyła książkę na stolik pod ścianą.

- Zgubiłam przepis, można by to tak ująć. Już dawno temu. No ładnie, pora wpuścić z powrotem Shoma. Jeśli

pozostanie jeszcze trochę na słońcu, to zacznie ganiać o całe miesiące za wcześnie - Elgive, czując na sobie spojrzenie ciemnych oczu Kincaida, podeszła do ułożonych na stoliku książek. - Masz dzisiaj anielski humor, Douglas. Wszystko będzie przyjemniejsze, jeśli zachowasz ten nastrój.

- Przyzwyczajam się do życia bez telefonów, to wszystko. Czy wiesz, ile załatwiałem telefonów w ciągu jednego dnia pracy? Około setki. Oddajesz mi niedźwiedzią przysługę, zmuszając mnie do zrezygnowania z takiej przyjemności. Z tym, że jeśli nawet już wytrzeźwiałem, to i tak dobrze wiem, że ktoś lada moment wyrwie mnie z tej sielanki.

- Będiesz tu dotąd, aż spadek MacRothów będzie niepodważalny. Ale jeśli złudzenia podtrzymują cię na duchu, wierz w nie. Wolę, jak jesteś pogodny.

- Dziękuję ci - ziewnął. - Nie chciałem ci zawracać głowy moimi nieistotnymi sprawami.

Jego ironia była łagodnie uprzejma, po prostu przekomarzał się z nią w ten sposób. Skinęła lekko głową, poddając się z przyjemnością nowej atmosferze.

- A teraz pozwolisz, że cię przeproszę. Muszę powędrować do nastawionej na obiad potrawki.

Uśmiechnął się szeroko.

- Zauważyłaś oczywiście, że na każdą wepchniętą mi przez ciebie kalorię odpowiadam robieniem pompek.

- Powinieneś zatem zrobić jeszcze parę tysięcy. Wzruszył ramionami, podszedł bliżej, oparł się ramieniem o pręty i przechylił się, wygiąwszy biodro. Obejrzał ją powoli od stóp do głów.

- Mogę jedynie robić pompki. Nie mam jak inaczej rozładować napięcia.

- Biedaku - westchnęła ze współczuciem i dodała, jak gdyby mówiąc do osoby trzeciej: - I to on, który podobno tak przywykł do zdobywania kobiet. - Skarciła go wzrokiem. -

Nie znajdziesz sobie dobrej żony, jeśli będziesz dłużej czekał. Zaczynasz wygłaszać za długie teksty.

Uśmiechnął się z przekąsem:

- To nie długość moich tekstów robi na kobietach wrażenie. Nie martw się o mnie, laleczko. Ja poślubię żonę doskonałą.

- Tak? Nieczułą jak wół i dwa razy bardziej wyrozumiałą?

- Nie. Będzie wyjątkowo inteligentna i będzie się znać na interesach. Chciałbym partnera - kogoś, komu mógłbym zaufać w realizowaniu różnych projektów. Przy tym musi być specem od życia towarzyskiego. Taki typ kobiety, która może zorganizować przyjęcie dla pięćdziesięciu najlepszych akcjonariuszy jednego wieczoru oraz ugościć prezydenta wraz z jego małżonką następnego dnia w południe. Będzie wiedziała, jak wybrać najbardziej stylowy ubiór i najlepsze wino.

- Chyba będziesz musiał mieć harem. Biedaku! Zapracujesz się na śmierć.

- Och, moja żona będzie doskonałą organizatorką, zaś detalami będą się zajmowali jej ludzie. Jeśli tylko będzie chciała odpocząć, to zabiorę ją na moją wyspę na Karaiby. Albo do pałacyku pod Paryżem. Lub na ranczo w Colorado. Czy do posiadłości na Florydzie. Lub do mojej nowej posiadłości w Szkocji...

- Nie ożeń się tylko z domatorką. Dostanie zawrotu głowy, usiłując się domyśleć, który z nich ma być jej prawdziwym domem.

- Chciałbym, żeby kochała dzieci i psy.

- Słusznie, zawsze będziesz jej mógł coś kupić.

- Oczywiście będzie piękna.

- Oczywiście.

- Blondynka. Niebieskooka.

- I nieduża. Zapomniałeś, że ma być filigranową laleczką.
Westchnął rozanielony, widząc jak gdyby przyszlą Mrs. Kincaid.

- Tak, filigranowa. Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś.

- Z tym, że nie powinieneś poślubić niedużej kobiety, Douglas. Zadusiłbyś ją swym ego. Lalkowata, niebieskooka blondynka. Uff. Potrzebujesz wielkiej, czarnej kobiety, która będzie ci przypominać o twoim neandertalskim pochodzeniu.

- Laleczko, mam jedną z najlepszych na świecie kolekcji szafirów. Skupuję je już od lat. Mają odpowiedni kolor, by ozdabiać niebieskooką blondynkę. Co miałbym zrobić z szafirami wartymi dziesięć milionów dolarów, gdybym miał zmienić gust?

- Nie chcesz chyba, żebym ci powiedziała, co masz zrobić z twoimi szafirami?

- Nie. Myślę, że mogę zgadnąć - uniósł czarne brwi i posłał jej zachęcające spojrzenie. - Dlaczego nie wyszłaś powtórnie za męża? - zachichotał ironicznie.

- W Druradeen nie ma zbyt wielu mężczyzn. To mała miejscowość.

- Co takiego? To ty nie znasz żadnego kawalera do wzięcia z branży porywaczy?

Elgive westchnęła, miała ochotę trochę się z nim podroczyć.

- Plus to, że nie mam żadnej wyprawy ślubnej do ofiarowania - posłała mu zabójcze spojrzenie. - Na razie.

- Pomarzyć dobra rzecz, laleczko - przyjrzał się jej uważnie i z zainteresowaniem. - Do czego potrzebna ci wyprawa?

- Małżeństwa opierają się na sprawach praktycznych. Ziemi, pieniądzech, dzieciach. Nie mam niczego.

Jego wzrok pomknął w dół jej swetra.

- Och, nie powiedziałbym tego. W tamtej zielonej sukni wieczorowej mogłabyś każdego mężczyznę doprowadzić do tego, by zapomniał o morgach, mamonie i rodowodzie - głos jego zrobił się nieśmiały. - Tak a propos, nie chciałbym być natrętny, ale czy masz tutaj ten zielony ubiór? Załóż go, gdy będziesz tkąć.

- Co za przyjemność widzieć taką do przesady rozpieszczoną bestię, jak uczy się cierpliwości.

- Cierpliwości? To znaczy, że zrobisz to, co powiedziałem?

Elgive wzdrygnęła się niespodzianie. Dlaczego jej usta przyrzekają coś, czego honor nie pozwoli jej dotrzymać?

- Nie zawsze można mieć to, co by się chciało, Douglas. Ale może tym razem dostaniesz to, czego potrzebujesz.

Wyglądał na zdumionego.

- Czy nie napisałaś przypadkiem słów piosenki dla Rolling Stonesów?

- Hmmm. Grupa rockandrollowa. Mic Jagger. Znam ich. Ich płyty są sprzedawane w sklepach Edynburga.

- Nie mogłaś mnie porwać ze środka Manhattanu, nie znając miasta. Jak długo byłaś w Stanach?

- Nie wydobędziesz ze mnie żadnych poufnych informacji. Ale próba była ładna.

Przejechał ręką po spoconym brzuchu, muskając pasemko srebrnych włosów pośrodku, patrząc na nią w zamyśleniu. Jego ręka poruszała się z nieświadomą zmysłowością mężczyzny, który lubi swe ciało. Elgive obserwowała tę całą akcję bez zmrużenia oka.

- Wydobędę z ciebie całe mnóstwo, zanim będę gotowy - wymruczał, uśmiechając się, pewny siebie.

Parsknęła i klasnęła językiem.

- Jeśli mnie złapiesz, będę twoja.

- Zapamiętam to sobie.

- Hola, mój panie! Żałowałbyś, że nie zostałeś w zamian wtrącony do dołu z dziesięcioma lwami.

- Jesteś zawsze taka pomysłowa, jeśli idzie o groźby? Czym się zajmujesz, kiedy nie porywasz ludzi? Wiem! Jesteś komornikiem.

Skierowała się ku drugiemu pomieszczeniu, w którym była kuchnia.

- Być może jestem szefem - Elgive wskazała na górę włóczki, leżącą w wiklinowym koszyku. - A może zarabiam na życie robotą na drutach - pokazała na książki. - Może jestem nauczycielką. Albo pisarką.

- Nie. Hmm, daj mi zgadnąć.

Zahaczył kciuk za pasek, a palcami zabębnił po ciemnym wełnianym materiale niedaleko od wybrzuszenia między nogami. Żołądek podszedł Elgive do gardła. Czy jego posunięcia były zamierzone i czy w ogóle jego gesty były celowe? Przesadna fantazja była ceną, jaką trzeba było zapłacić za lata samotności.

- Rabujesz banki - powiedział, obserwując ją spod oka. - Ponieważ dobrze wiadomo, że nie ma innej możliwości dobrego zarobku w okolicy Druradeen. Potrzebowałaś przecież sporo pieniędzy, żeby sfinansować porwanie. Oczywiście, reszta fanatyków z twego gangu też musiała dorzucić trochę forsy.

- Mojego gangu? Za chwilę zaczniesz mnie nazywać bajzelmamą. Powtarzam ci, że nie ma żadnego gangu, Douglas. Sprzedałam trochę biżuterii po matce, aby pokryć koszt porwania.

- Przy okazji. Czy mogłabyś wymawiać moje imię tak jak należy? To jest Dug - less, jak wyrwany z korzeniami.

- Nie w twoim kraju ojczystym. Tutaj jesteś Dooglas. - Zaczerpnęła głęboko powietrza i pochyliła się do przodu, mając nadzieję, że jego dobry nastrój uczyni go bardziej

przystępnym. - Jesteś Douglas Kincaid, ostatni Kincaid na Talrigh, potomek jednego z najznakomitszych rodów szkockich.

Wlepił w nią oczy, bez słowa, zdumiony i trochę zły.

- Powiedziałaś już kiedyś coś o moim rodzie. Kincaid może być szkockim nazwiskiem, ale to nie jest wcale potwierdzone. Zapłaciłem ekspertom, żeby sprawdzili.

- Nie musiałeś im płacić. Wystarczyłoby, żebyś sam znalazł właściwych ludzi. Nie przejmujemy się obcymi, wysyłającymi błaznów, by odwalili za nich ich szkocką powinność.

Wyprostował się groźnie.

- Czy starasz się wmówić mi jakiś szacunek do własnego nazwiska w związku z moim pochodzeniem? Myślisz, że na mnie takie bzdury robią wrażenie? - i dodał parę przykrych i prostackich określeń.

Elgive zmusiła się, by mu odpowiedzieć. Jeszcze nie był gotów, by poznać prawdę.

- Nie wymyślam tego, Douglas. Nie staram się zyskać twojej przyjaźni kłamstwem.

- Słusznie. W to też ci uwierzę - zamrugał oczami z niesmakiem. - Gdybym miał w sobie szkocką krew, moi ludzie na pewno by to odkryli.

- Gdybyś pochodził z jakiegokolwiek innego rodu niż z klanu Kincaidów. Nie ma o nich wiele zapisków. Większość z tego, co wiem, to historie opowiedane przez członków innych klanów. Kilka ballad i wierszy wspomina Kincaidów. To wszystko.

- Ja nie jestem szkockiego pochodzenia! - pogroził jej przez pręty palcem. - Nikt nie wie, jak pierwszy Kincaid przybył do Ameryki. Ani dlaczego, ani kiedy. Nie próbuj mi wciskać sentymentalnych kitów, kobieto!

Eligve podniosła głowę i zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Korona ogłosiła Tammasa Kincaida banitą i zesłała go na resztę jego życia do kolonii amerykańskich. Był to rok 1722. Ród Tammasa na rozkaz Korony został zniszczony, zaś wszystkie wzmianki odnośnie ich historii usunięto z dokumentów. Ich starodawny rodowód przestał istnieć. Kincaidowie przestali po prostu istnieć, tak jakby ich nigdy nie było - położyła dłonie na biodrach. - W ten sposób, Douglas, twój przodek wylądował w Ameryce.

- Jeśli chciałaś wzbudzić moje zainteresowanie, mogłaś sklecić bardziej sympatyczną i ciekawszą historyjkę.

- Pewnie, mogłabym wymyśleć wiele ładnych historyjek o Kincaidach. Ale nie zrobię tego. Powiedziałam ci tylko prawdę - rozłożyła ręce, była wyraźnie zawiedziona. - Twój przodek ma historię, z której możesz być dumny. Również i ich upadek był pełen chwały. I jeśli tylko posłuchasz...

- Uwaga, uwaga, nadchodzi - powiedział z sarkazmem. - Haczyk. Zapomnij o tym, moja droga. Zostaw swoje legendy dla turystów. Po wyjściu z więzienia, ma się rozumieć. Opowiadaczka starych legend. Ja cię z tego wyleczę.

- Dlaczego chcesz coś odrzucić, nie próbując tego nawet zrozumieć? - zacisnęła pięści.

- Nie odrzucam niczego! Kiedy Douglas Kincaid już coś robi, to robi to wyśmienicie! Najlepsi ogrodnicy, najlepsi dekoratorzy, najlepsza aranżacja. Zamienię krainę MacRotha w jeden wielki cyrk.

- Będziesz jedynie obcym właścicielem, nie uznawanym przez wszystkich drogich mi ludzi, których wysiedlisz z ich ziemi, jedynie po to, aby mieć trochę odosobnienia.

- Mogą przecież przenieść się gdzie indziej, płacąc gotówką! Czy nigdy nie słyszałaś o przeprowadzce? Czy w twoim kraju jest to zupełnie nieznanne?

- Oni mieszkali w okolicach i w samym Druradeen od pokoleń! - wzniosła ręce w geście rozpaczony. - Jesteś głupcem! Skończysz tak samo, jak i reszta twego rodu, z dumą skąpaną we krwi!

- Pochodzę z Ameryki i mojej dumie nic nie zagraża, dziękuję.

- Och, prędzej bym się dogadała ze ścianą! Elgive odwróciła się i pomaszerowała do drugiego pomieszczenia, trzasnąwszy za sobą drzwiami. Zła, z hukiem przestawiała garnki i talerze w kuchni.

- Zapomnij o potrawce - powiedziała sobie.

Przyrumieniła na tłuszczu parę kawałków jagnięcego mięsa, po czym wystawiła je na dwór, żeby ostygło i stwardniało. Niech dumny Kincaid pomęczy się z nim!

Zapaliła palnik, postawiła na sąsiednią fajerkę ciężką patelnię, następnie zanurzyła palce w pojemniku z ociekającym tłuszczem kielbaskami, naląła na patelnię sporo oleju. Nie wcelowała, trafiając palnik. Odskoczyła w chwili, gdy wystrzeliły płomienie, objęły jej wyciągniętą rękę i przeskoczyły na czubki palców. Pojawiły się tam, jak w jakiejś okropnej sztuczce magicznej. Przytknęła rękę do spódnicy, dusząc płomienie w jej obszernych, kraciastych fałdach. Fala bólu przepłynęła w górę ręki. Żołądek skurczył się gwałtownie i nogi się pod nią ugięły.

Przykryła ogień patelnią i wyłączyła palnik. Chwiejąc się podeszła do zlewu i zlała palce wodą. Opuszki palców były czerwone, a końce paznokci wyglądały, tak jakby je nadtopiono. Elgive prawie zwymiotowała od tego wstrętnego odoru.

Drżała z bólu i zagryzała wargi, ale po kilku minutach lodowata woda przywróciła jej przytomność. Ciężko oddychając, owinęła rękę w ręcznik i powróciła do pokoju, gdzie pod łóżkiem trzymała podręczną apteczkę.

Douglas Kincaid wyszedł ze swojej łazienki, ubrany w gruby niebieski szlafrok, który mu przygotowała. Wykąpał się właśnie i energicznie wycierał mokre włosy. Kiedy zauważył, że idzie w stronę łóżka, zarżał:

- Musisz się zdrzemnąć? Pewnie jesteś wykończona obnoszeniem wszędzie niewzruszonych przekonań.

Elgive zignorowała go i uklękła. Zdrową ręką przyciągnęła ciężką drewnianą skrzynię i otworzyła wieko. Kiedy szukała pomiędzy buteleczkami, tubkami i opatrunkami, posłyszała, jak Kincaid podszedł do krat celi.

- Czy to twoja czarodziejska walizeczka? - zanucił. - Dosypiesz trochę „suszonych ocząt MacDzieciąt” do potrawki? Czy może nieco trochę pietrasznika?

Mdłości nasiliły się. Oparła się o podstawę łóżka i zamknęła oczy, czekając aż miną. Po drugiej stronie pokoju Kincaid zamarł; ani tego, ani jego ruchu nie była w stanie zauważyć, szumiało jej w głowie. W końcu szum ustał. Elgive usłyszała, że Kincaid coś do niej mówi.

- Weź skrzynkę i chodź tutaj - powtórzył. - Chodź, to ci pomogę, jeśli potrafię.

Zdumiewające. Jego głos brzmiał poważnie i spokojnie, była w nim jakby troska.

Elgive otarła pot z czoła i popatrzyła na niego, głowę nadal miała opartą o materac.

- Po co?

Uśmiechnął się połową ust:

- Ponieważ umrę z głodu, jeśli ty tu skonasz.

- Nie martw się, Douglas. Będę gotować, jak tylko założę opatrunek.

- Co ci się stało?

Uniosła zawiniętą dłoń, starając się nie krzyknąć, po czym opuściła ją z powrotem na swe łono:

- Oparzyłam sobie palce za karę. Za to, że pozwoliłam się Kincaidowi rozzłościć i zirytować.

- Chodź no tutaj. Podejź tu tylko i usiądź sobie na stoliku. Pozwól zobaczyć, co mogę zrobić dla twych pieczonych pazurków.

W głowie łupało ją z bólu. Zignorowała ostrzeżenie, że Douglas Kincaid prawdopodobnie będzie usiłował zrobić jej coś niedobrego, Elgive wstała, zawahała się przez moment, po czym wzięwszy głęboki oddech, chwyciła rączkę kufra. Przeciągnęła ciężką skrzynię przez pokój do stolika przy celi i wywindowała ją na górę. Następnie osunęła się na krzesło i zwiesiła głowę. Wyciągnęła oparzoną rękę ku szparze między prętami celi.

Kincaid zawiązał swój szlafrok trochę ciaśniej i podstawił krzesło pod kratę po swojej stronie. Usiadł i wyciągnął obie ręce, utkwivszy w niej wzrok.

- Nie widziałem kłowna, który byłby tak biały na twarzy jak ty.

- Oparzenie nie jest tak straszne - powiedziała lekko dysząc. Podniosła głowę i popatrzyła na niego spokojnie. - To raczej sama myśl o nich. Palenie. Moi rodzice tak zginęli.

Ujął jej rękę w swoje dłonie, zaś ona czekała z niepokojem, czy jej obawy okażą się słuszne. Był jednak bardzo ostrożny, by jej nie urazić przy odwijaniu ręcznika, a kiedy już jej obnażona dłoń spoczęła w jego ręku, trzymał ją z najwyższą delikatnością. Zmieszana ostrzegła go łagodnie:

- Nie mogę cię uwolnić, bez względu na to, jak bardzo mnie zadziwiasz.

Otworzył apteczkę, przeglądając jej zawartość, jak gdyby jej nie dosłyszał.

- Moja siostra raz została mocno poparzona. Miała wtedy sześć czy siedem lat. Mieliśmy kiepskie mieszkanie, niemożliwe do ogrzania zimą - miało stare kaloryfery na parę. W jednym zrobiła się dziura. Ona nie słyszała syku, a stała blisko. Poparzyła sobie plecy. Oparzenie drugiego stopnia. Przez sześć tygodni wszyscy w rodzinie zmienialiśmy jej opatrunki. Bolało ją to tak bardzo, że za każdym razem, i ona i ja, płakaliśmy.

- Jak mogła nie usłyszeć syku pary? Podniósł tubkę z jakąś maścią i przyglądał się etykietce.

- Może być?

- Tak.

Kincaid otworzył tubkę palcami jednej ręki, podczas gdy druga ręka ciągle podtrzymywała jej dłoń.

- Ona jest głucha. Będąc niemowlęciem ciągle chorowała i straciła słuch.

- Przepraszam - Elgive była zdumiona jego zręcznością, kiedy nakładał maść na jej palce, ledwo je muskając. Te wielkie ręce były wspaniałe do małych, ludzkich rzeczy. Wyobraziła sobie Kincaida jak jeszcze nigdy przedtem, jako zatroskanego chłopca delikatnie nakładającego maść na plecy małej siostrzyczki.

- Jest świetną modelką, na przekór swojemu kalectwu - zaczęła Elgive w obawie, by nie usłyszeć więcej. - Czytałam o niej. Ozdabia swe piękne ręce i stopy przeróżnymi dodatkami. Królowa Oszczędności - jak ktoś ją nazwał.

- Studiowałaś moją rodzinę?

- Właśnie. Wiem, że kupiłeś mamie budynek w Chicago i że jej hobby to prowadzenie bokserów średniej wagi. Wiem, że twój brat jest profesorem archeologii.

Zachichotał.

- Postarałaś się. Dlaczego interesowałaś się moją rodziną?

- Żeby wiedzieć, co jest ci drogie.

Nagle jego palce zacisnęły się wokół jej ręki, uścisk prawie zranił jej poparzone palce. Jego wzrok wwiercił się w nią.

- Czy moja rodzina jest w niebezpieczeństwie?

- Nie! Przysięgam ci! - Elgive popatrzyła na niego z takim strachem, że rozluźnił swój chwyt. - Ty też nie jesteś! Przysięgam ci, Douglas!

- Powinnaś wiedzieć, że porwanie mojej rodziny dałoby ci większą przewagę.

- Tak, ale mogę jedynie poradzić jednemu Kincaidowi na raz. Poza tym to nie jest okay, żeby straszyć niewinnych ludzi.

- Och, ale przestępcę takiego jak ja, to można, co?

- Nie wyglądasz na przestraszonego.

- To co wywnioskowałaś, studiując moją rodzinę?

- Że masz po swych przodkach głęboką potrzebę przyjaźni. Dobry znak.

- Do diabła, nie zaczynaj od nowa lekcji historii. To strata czasu, Słonko - skończył rozprowadzać maść po opuszkach jej palców. Głos jego miał teraz niezwykle brzmienie. - Małe dziewczynki, zmyślające ogniste legendy, muszą pilnować się, by nie oparzyć sobie swym kłamstwem... buzi.

- To olej się zapalił. Moje kłamstwa nie są nawet w przybliżeniu takie bolesne. Zaś co do twego szkockiego pochodzenia - to mówię ci prawdę.

- Powiedziałem, żebyś przestała - jego twarz wyrażała wrogość i niesłychany sprzeciw. - Jeśli chcesz, żeby twój więzień zachowywał się jak należy, to nie poruszaj nigdy więcej tego tematu.

- W takim razie nigdy nie mów o twych planach odnośnie posiadłości MacRothów. Jeśli spróbujesz, to otworzę okna i drzwi i wyłączę ci ogrzewanie, tak że będziesz się trząść z zimna!

- Zgoda.

Elgive przygryzła wargę i popatrzyła na niego zmartwiona. Tyle miała do powiedzenia na ten temat. Żeby go przekabacić, musiała użyć innej taktyki.

Skromnie spuściła wzrok i powiedziała cichym, przepraszającym tonem:

- Nie chcę, żebyś się więcej na mnie gniewał. Smutne jest to, bo pomimo wszystko moglibyśmy przecież być wspaniałymi przyjaciółmi. Naprawdę zwrócę to, czego nas pozbawiłam.

Rozzłościła się, widząc, jak opadł w tył i złapawszy się za brzuch, ryknął potężnym śmiechem. Elgive zachnęła się.

Kiedy w końcu się uspokoił, przetarł oczy i popatrzył na nią z uznaniem.

- A niech to. Co za wykonanie! Do opery ją zapisać: „Jak Przeobrażają się Larwy”.

Opanowała się, popatrzyła przed siebie i zamruczała na wpół serdecznie:

- Nawet jeśli nie możemy sobie nawzajem wierzyć, możemy znaleźć jakiś wspólny neutralny grunt, na którym możemy zachować pokój?

- Dopóki mnie nie uratują - odparował.

- Dopóki cię nie wypuszczę - poprawiła. Ujął ponownie jej oparzoną rękę:

- No dobra. Umowa stoi. Może chcesz ją przybić?

Elgive popatrzyła na niego mocno niezadowolona:

- Chcesz móc teraz bardziej zadzierać nosa?

- Obejdę się. No to zgoda.

- No to zgoda.

Tym zawieszeniem broni Douglas Kincaid i Elgive MacRoth dokonali czegoś, co złamało siedemsetletnią tradycję. Zaczęli być zadowoleni ze swego towarzystwa.

Elgive stała na porośniętym trawą wzgórzu, jedną ręką oparta o kopiec stary jak Szkocja. Był to pomnik. Rycerze,

przejeżdżający tędy na pole bitwy, zabierali kamień, który mieli wyrzucić po drodze. Każdy powracający umieszczał na kopcu nowy kamień, jako wyraz wdzięczności.

Wiek rycerzy przeminął, pozostał jednak rytuał. Czy w drodze, by zgładzić rywalizujący ród, czy idąc na Anglików - wojownicy ze szkockich gór zabierali i przywozili kamienie. Elgive zabrała jeden, zanim pojechała do Ameryki.

Walka, którą prowadziła, jeszcze nie była skończona. Niecierpliwie wpatrywała się w szary, zimowy krajobraz. Na koniec zobaczyła w dali dwóch mężczyzn przechodzących przez grzbiet wzgórza. Pośpieszyła ku nim radośnie. Kiedy dotarła do nich - uścisnęła Roba, Duncanowi skinęła głową.

Rob powrócił do swego ulubionego ubrania - czarnych spodni i jasnożółtego swetra. Wielki wełniany szal w żółto - czarną kratę MacRothów zwisał na mosiężnych sprzączkach z jego ramion. Na kasztanowych włosach miał założony na skos żółty beret z pomponem. Duncan, stojący obok, krzywił się na wiatr, wyglądając przy nim szaro i nijako.

- Jak się ma dzisiaj ten diabeł Kincaid? - zapytał Rob.

- Ciągle tak samo szczęśliwy, jak ci to powiedziałam przez radio dwa dni temu. Nie przestaje ani przez chwilę oczekiwać, że lada moment nadejdzie odsiecz, ale się już nie stawia. Pograliśmy sobie w karty i w szachy... Niezły jest, ale i ja przecież też nie jestem najgorsza! I opowiada mi o swojej rodzinie...

- Czy jest to twój więzień, czy gość na herbatce? - głośno przerwał Duncan. - Nie podoba mi się takie zbratanie.

- Ty go chyba nie podrywasz, Ellie? - Rob także nachmurzył się nieco z powodu jej entuzjazmu.

Różne skrupuły, które miała, spowodowały falę dociekań.

- Jeśli on mnie polubi, czy nie będzie to dobre dla naszej sprawy? Chcę jedynie wykorzystać jego zmianę stosunku do mnie, tak żeby nie mścił się na mnie za bardzo, kiedy straci

swą umowę o ziemię. Jakby nie było, to ja jestem tym kimś, kto ma resztę życia spędzić w ukryciu, jeśli on mi nie zechce przebaczyć!

- Douglas Kincaid nie zapomina i nie wybacza - kwaśno powiedział Duncan. - Dlatego marnujesz swój czas, próbując go zrobić swym ulubieńcem. Powinnaś wpajać mu strach przed tobą, a nie to, by cię całował po rękach.

Rob popatrzył z ledwo ukrywanym niesmakiem na kuzyna.

- Moja siostra wie co robi, Duncan. Lepiej się nie wtrącajmy.

- Tak właśnie będzie znacznie lepiej - dumnie potwierdziła Elgive. - Nie ma obawy, iż stracimy naszą zdobycz...

- Chciałem ci właśnie powiedzieć, Ellie - oczy Roba ściemniały - że jakiś dobry detektyw pracuje nad sprawą Kincaida. Nazywa się Audubon.

- Przyszedł do miasteczka, pytając o ciebie i Roba - wtrącił Duncan. - Spławiłem go, ale on coś podejrzewa. Rob ukrywa się w starej chacie Lockharta, na wszelki wypadek. Ten Audubon coś zwęszył, ale jeszcze nie wie nic konkretnego.

Nic nie mogło jej bardziej zaalarmować. Elgive spostrzegła, że jej ręce powędrowały do gardła, w geście samoobrony. Powoli opuściła je w dół.

- Może mnie znaleźć, ale nikogo więcej nie będzie łączył z porwaniem. Żeby nie wiem co podejrzewał. Tak jak to sobie zaplanowaliśmy.

- Nie jest to żaden wynajęty lokaj Kincaida - powiedział do niej Duncan. - To stary przyjaciel. Byli razem w Wietnamie. Kincaid uratował mu życie. To właśnie stąd Kincaid ma szramę na twarzy. Trafił go odłamek, kiedy niósł

tamtego w bezpieczne miejsce. Ten Audubon ma wobec niego dług honorowy.

Elgive przymknęła oczy i wykrzywiła się w udanym grymasie. Pomimo wszystko zwróciła uwagę na fakt, że Douglas otrzymał ranę z powodu brawury i ucieszyła się. Popatrzyła na Roba i Duncana zafrasowana.

- Nie możemy nic więcej zrobić niż to, co już zrobiliśmy. Jeśli dowiecie się czegoś nowego, powiedzcie mi po prostu.

- W porządku. Kontaktuj się tylko o ustalonej porze.

Elgive skinęła.

- Będę teraz siedziała jak mysz pod miotłą. Rob zdjął plecak wypchany prowiantem. Pomagając jej założyć, zapytał:

- A tak poza tym czy wielki Kincaid żyje bez wszystkich swych podlizuchów i podcieraczy tyłka jak świniak?

Elgive zaśmiała się.

- Och, nie. Jest bardzo czysty. Kiedy pierze swoje majtki, wiesz je na pręcie celi porządnie, równo, w rzędku, w jednakowych odstępach, wszystkie odwrócone krocem w tę samą stronę - zatrzymała się, widząc, iż Rob patrzy na nią osłupiały.

- Sukinkot, wiesz swoje rzeczy osobiste tam, gdzie ty je możesz zobaczyć? Nawet Jonathan nie zrobiłby tego, a był przecież twoim mężem. Pozwalasz Kincaidowi na rzeczy, które mogłyby przynieść ujmę pamięci męża?

Elgive wybuchnęła złością. Była porządną żoną, wszyscy o tym wiedzieli.

- Nie mówmy o Jonathanie. Nie powinieneś mnie pouczać, Robbie MacRoth. Nie masz nic do tego. Nie masz też pojęcia, co to znaczy wyjść za mąż, kiedy jest się młodą dziewczyną, zupełnie nieświadomą różnych rzeczy.

- Tylko dlatego, że pani matka odeszła, zanim mogła postanowić o moim ślubie - ...

- Miałaś możliwość wyboru, której ja nigdy nie miałam!

- Ellie, nigdy przedtem nie narzekałaś z tego powodu.

- Teraz też nie narzekam. Przestań mnie po prostu pouczać, jeśli idzie o Douglasa.

- Powiedziałaś Douglasa? - pośpieszył się Duncan. - Mam nadzieję, że nie mówisz do tego trutnia po imieniu.

- Pewnie, że mówię, a on nazywa mnie Słonkiem - odpaliła Elgive. Patrzyła na obu z wielkim wyrzutem. - I kiedy jest pełnia, wypuszczam go, by się spotkał z Królową Elfów i wszyscy razem tańczymy na wrzosowisku!

Cmoknęła Roba gniewnie i pomaszzerowała w dal, tak zaperzona, że nie była w stanie dostrzec śmieszności własnych protestów.

Douglas był bliski tego, żeby się przyznać, że nie chciał, aby Złotowłosa wychodziła do drugiego pokoju ani tym bardziej nie życzył sobie, by chodziła na swoje długie codzienne przechadzki, zostawiając go samego. Wmawiał sobie, że był po prostu tak cholernie znudzony, że czyjekolwiek towarzystwo było wspaniałe.

Nie należał przecież do ludzi, którzy potrzebują towarzystwa. Nie dochodzi się na szczyt imperium w biznesie, szukając towarzystwa innych, raczej postępuje się tak, żeby inni szukali kontaktu. Przy Złotowłosej budził się w środku nocy jedynie po to, by popatrzeć, jak śpi. Było w niej coś niezwykłego.

Teraz leżał na brzuchu, oparty na poduszce. Sam leżał tuż przy prętach, z pyskiem na łapach. Od czasu do czasu warczał. Nie tylko został okradziony z resztek po baraninie z rusztu i herbatników, przepadła mu też przechadzka ze Złotooką.

Douglas leniwie wyciągnął swój skórzany sandał spod łóżka. Rzucił nim poza celę. Upadł daleko w kąt za kominkiem. Wskazał ręką w tamtą stronę.

- Przynieś, Sam.

Sam zerwał się, ziewnął, zaaportował sandał, upuściwszy go wewnątrz tuż obok prętów. Usiadł, przyglądając się swemu panu, czy będzie się jeszcze bawił.

Douglasowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Wstał i rozglądał się po wnętrzu, po czym pokazał na małą, równą kupkę ubrań, ułożonych w nogach łóżka Złotookiej.

- Przynieś.

Sam przyniósł. Douglas rozwiązał miękką bawełnianą podkoszulkę. Wewnątrz było parę mile pachnących ubrań, świeżo upranych i wysuszonych. Podniósł stanik zrobiony jedynie z samej białej koronki. Wyobrażenie jędrnego, obfitego ciała Złotookiej, prześwitującego przez te koronki spowodowało, iż zamknął oczy i oddał się marzeniom.

Marzenie było połączone z napięciem, które go rozsadzało. Jak nigdy dotąd pragnął usłyszeć ją, jak szepcze jego imię, i chciał zobaczyć jej bursztynowe oczy, patrzące na niego z oddaniem.

Sam zaszczekał niecierpliwie, przerywając grę. Douglas odłożył na bok stanik i podniósł parę rękawiczek. Wewnątrz jednej z nich przyszyta była etykieta. Zagwizdał ze zdziwienia. „Wyroby wełniane, Elgive MacRoth, Druradeen, Terkleshire”.

Elgive. Powtórzył to liryczne imię kilkakrotnie, myśląc przy tym, że pasowało do niej świetnie. Było gaelickie i staroświeckie. Elgive MacRoth. Jakie było nazwisko jej męża? Dlaczego go nie używała?

Przesunął palcami po rękawiczkach, zdumiony robótką. Elgive MacRoth, tkaczka. Zgadzało się wyśmienicie. Baśniowa prządka. Tkaczka - czarodziejka. Czując, że dowiedział się o wiele więcej niż samo nazwisko, odłożył rękawiczki i odsunął je na bok. Pokazał na stolik przy łóżku.

- Przynieś.

Sam miał tym razem więcej możliwości wyboru, ponieważ na stoliku leżały różne rzeczy. Powrócił, niosąc wąską książkę z pozłaczanymi brzegami. Douglas otworzył ją i zdumiał się. Był to jakiś pamiętnik. Rozpoczął się w dniu jego porwania. Notatki były zwięzłe, pochłaniał je z przejęciem, a jeden fragment przeczytał wielokrotnie. Był wyjątkowo interesujący.

„Lot z powrotem. Kincaid śpi mocno. D. postraszył, że chce go bić jedynie na złość. Co za cham! R. i ja nie pozwolimy na to. Widzieć jak D. policzkował takiego potężnego mężczyznę jak Kincaid, kiedy ten był zupełnie bezsilny - było ponad moje siły.

Pierwsza noc. Śpi w ubraniu, zmęczony i zły. Ja stoję w ciemności i patrzę na niego, myśląc, że nigdy jeszcze nie czułam takiego pożądania. Jak wyglądałoby dwanaście lat małżeństwa z Kincaidem? Chciałabym, żeby mi było brak Jonathana. Chciałabym pamiętać ten ostatni raz, kiedy mnie dotknął. Było to sześć miesięcy przed jego śmiercią, a może więcej? Nie mogę w ten sposób patrzeć na Kincaida. To szkodliwe.

Pierwszy uśmiech. Kincaid pokazał zęby, lecz nie zawarczał na mnie! Co za niebezpieczny, wspaniały mężczyzna!

Piorunujący Jack. Dziś wieczór opowiedział mi o swym ojcu, który był sparaliżowany, po urazie, jakiego doznał na meczu bokserskim. Kincaid był zaledwie pięcioletnim chłopcem, kiedy to się stało. Element kryminalny - „uzbroił” P. Jacka, by „zrobił” mecz, po czym go „wpuścili w bagno”. Cierpiał latami, zanim umarł. Boli to Kincaida do dzisiaj. Widziałam to w jego oczach. Nie mogę mu opowiedzieć o moich rodzicach i pożarze w dworze MacRothów. Zbyt wiele informacji. Ale pewna jestem, że też by mi współczuł. Kincaid

ma bardzo dobre serce. Gdyby je tylko zechciał otworzyć dla mnie."

Douglas powoli zamknął książkę. Palce jego bawiły się nią, głaskały. W jego myślach i uczuciach panował straszliwy zamęt. Nie nawykł do braku swobody, teraz schwytyany był nie tylko w sidła z żelaza, lecz także w pułapkę gwałtownych doznań.

Jeśli zaś Elgive MacRoth kiedykolwiek zorientuje się, że przeczytał jej pamiętnik, wojna będzie łagodnym określeniem w porównaniu z tym, co potem nastąpi. Wziąwszy jej ubranie i pamiętnik, Douglas podniósł się i podszedł do prętów. Nie mógł dostatecznie pewnie wycelować, tak aby trafić pamiętnikiem na stolik.

Zrobił więc, co mógł najlepszego - pięknym rzutem z nadgarstka posłał pamiętnik na łóżko, za nim zaś poleciał węzełek z odzieżą. Może ona pomyśli, że to krasnoludki.

Sam pogalopował, by przynieść wszystko z powrotem.

- Nie! - krzyknął Douglas.

Psisko zastopowało niedaleko łóżka, patrząc z zaciekawieniem na Douglasa, oczekiwało nowych rozkazów. W natchnieniu Douglas wskazał na otwarte drzwi frontowego pokoju.

- Przynieś!

Sam zniknął w drugim pokoju. Douglas słyszał odgłosy drapania i łomotania. Następnie Sam powrócił, dumnie machając ogonem. Podbiegł prosto do celi i przekazał swój dar prosto w wyciągnięte ręce Douglasa. Długi przewód ciągnął się po podłodze.

- No, no. Utrzymywała to w tajemnicy - powiedział Douglas z zadowoleniem. Położył się z powrotem, uśmiechając się niby współczująco, przykrył mikrofon poduszką. Miał teraz fant. Będzie musiała drogo zapłacić, żeby go odzyskać.

Rozdział 5

Elgive i Rob ustalili, że miała go wzywać przez radio trzy razy w tygodniu między północą i wpół do pierwszej. Jeśli by się nie odezwała, w ciągu godziny miał być w chatce.

Dwa dni po ich spotkaniu przy kopcu zasiadła przy stoliczku w pokoju frontowym i włączyła radio. Następnie sięgnęła po mikrofon. Po chwili zdumienia podniosła się i obejrzała radio. Nie było mikrofonu. Przejrzała powierzchnię stołu, jak gdyby mikrofon mógł ukryć się gdzieś tutaj. Przeszukała drewnianą podłogę pod stołem. Z uporem szukała wszędzie - pod kuchenką i pod zlewem, wewnątrz prysznic, nawet na półkach wiszących na ścianach.

Mikrofon powinien być w tym pokoju. Elgive zamruczała głośno: „Dobra, moje miłe krasnoludki, wiem żeście tu rozrabiały, tak samo jak wiem, że nie zostawiłam poprzedniego dnia mojego pamiętnika na łóżku.” Twarz jej się wydłużyła, gdy obie tajemnice połączyły się w jedną odpowiedź. Douglas! Ale jak? „Przynieś, Sam!”

Wściekła Elgive trzasnęła drzwiami od głównego pokoju, otwierając je z impetem, i poszła ku celi powiewając szlafrokiem jak drapieżny ptak skrzydłami. Pokój był ciemny, paliła się tylko elektryczna lampka na stole Douglasa. Siedział samotnie w kałuży światła, pokrywał swoim pięknym pismem kartkę papieru, którą mu podała. Poprosił ją, by wysłała jego notatki dotyczące spraw organizacyjnych - oczywiście anonimowo - do jego asystenta w Nowym Jorku.

Elgive nie miała zamiaru zrobić czegoś tak głupiego, ale powiedziała, że się zastanowi, jedynie żeby go ucieszyć. Ostatnio robiła wiele rzeczy, żeby był zadowolony.

- Gdzie to jest, ty podstępny wężu? - Elgive zażądała odpowiedzi. Chwyliła za pręty, wlepiając w niego wzrok. - Myślałam, że mamy zawieszenie broni!

Popatrzył na nią spokojnie, wytarł rękę o przód białego swetra, który robiła własnymi rękoma - niech go szlag! - i zapytał niewinnie:

- Czym mogę służyć?

- Oddaj mi z powrotem mikrofon! Na nic ci się przecież nie przyda!

- Ach, ten. Nie mam go po co trzymać, tak? Ale jeśli go nie oddam, to czy przypadkiem nie przybiegną twoi koledzy, by zobaczyć dlaczego Słonko przestało się odzywać? Naprawdę chciałbym się spotkać z twymi przyjaciółmi.

- Nie masz kogo spotykać!

- Skądś masz przecież świeże jedzenie, a nie sądzę, żebyśmy byli w odległości małego spacerku od jakiegoś tutejszego supermarketu.

- Zgoda. Dostawy są, ale dostawcy nie wiedzą, że jestem porywaczką.

- Mógłbym w takim razie zamówić pizzę? Albo chińskie jedzenie? Troszeczkę MacCiak Pciuk Krak Zraz?

- Dopóki mi nie oddasz mikrofonu, będziesz miał tylko kłopoty. Nie dam ci jeść!

- Dobra. Uzbierałem wystarczająco dużo tłuszczu, by przetrzymać w razie czego zimę - poklepał się po brzuchu, który na przekór jego słowom wyglądał tak samo płasko jak zawsze, dzięki godzinom codziennych ćwiczeń, jakie wykonywał.

Elgive wzięła kilka oddechów, by się uspokoić, po czym powiedziała cierpliwie:

- Douglas, nigdzie nie zajdziesz tymi blefami. Nie osiągniesz niczego.

- Hmmm - podniósł się, podszedł do łóżka i spod poduszki wyjął mikrofon. - Zgoda. Dam ci szansę. Przez ostatnie dziesięć dni cierpiałem katusze - poklepał się po piersi jedną ręką - ponieważ pozbawiony byłem tego, po co żyję.

- Można żyć bez specjalnie szytej bielizny - stwierdziła. -
Wierz mi.

- Moich umów! Moich emocji! Dreszczyków negocjacji!
Zobaczysz, że umrę, jeśli mi nie dasz zaznać odrobiny potęgi!

- Co takiego byś chciał? Posłał jej płomienne spojrzenie.

- Pięć minut.

Elgive poczuła gwałtowne pulsowanie w gardle.

- Czego?

- Ciebie.

Odstąpiła o krok, otwierając szeroko usta pod wpływem szoku:

- Do czego?

- Po prostu spokojnie stojącej. I nie protestującej.

- Stojącej gdzie?

Oparł wielką, mocną rękę na pręcie. Powoli jego palec wskazujący przywołał ją.

- Właśnie tutaj.

Wpatrzyła się w niego z niedowierzaniem, cmoknął językiem, jakby była nienormalna.

- Nie zrobię ci krzywdy. Ale może po pięciu minutach nie będziesz chciała odejść.

Elgive zrozumiała teraz doskonale i nogi się pod nią ugięły. Zdradziecki głosik piał z zachwytem gdzieś w zakamarkach jej świadomości. Połączenie złości i podniecenia spowodowało, iż zrobiło się jej zbyt gorąco w szlafroku i koszuli nocnej.

- Po prostu zamorzę cię głodem - wyszeptała.

- Nie, nie zrobiłabyś tego - jego głos był cichy, gardłowy.

- A ja nic złego ci nie zrobię. Myślę, że to wiesz.

- Daj mi mikrofon, Douglas. Chciałam powiedzieć Dug - less. Widzisz? Mogę cię nazywać, tak jak chciałeś. Mogę się dostosować. Mogę...

Elgive zatrzęsała się, opór jej słabł.

- P - pięć minut. Przysięgnij - rozkazała. Skrzyżował ręce na piersiach i powiedział prawie uroczyście:

- Żeby mi zamarło serce i żeby spółka japońskich biznesmenów zaczęła natychmiast kontrolować Kincaid Hotels Worldwide, jeśli kłamię - położył mikrofon na swoim stole, po czym coś pomajstrował przy nastawianiu swego nakręcanego zegarka. - Przez pięć minut posłuchamy wstępnych tonów Bobbie Royała, „Blues na noc”. Następnie oddam ci mikrofon. Gotowa?

Przesunęła ręką po czole.

- Nie. Ale zaczynaj, wstrętne potworze.

- Ale nastrój! - strzelił palcami i wskazał na pręty. - Tutaj. Tak blisko jak możesz. Ręce na prętach.

Kiedy wykonała jego polecenie, pokiwał z satysfakcją głową. Następnie postąpił ku prętom i nagle jego twarz znalazła się zaledwie na szerokość dłoni jej twarzy. Ciepło i zapach jego świeżo wyszorowanego ciała runął na nią; jego oddech, pomieszany z wonią szkockiej, którą pił po obiedzie, owionął jej policzki.

- Nastawiać? - zapytał miękko. Ledwo mogła myśleć, a jeszcze mniej mówić. Skinęła głową. Podniósł mankiet i przycisnął maleńki guzik. - Start.

Jego ręka powędrowała między prętami i wślizgnęła się pod jej rozpuszczone włosy. Powoli objął dłonią jej głowę.

- Przechylił trochę twarz - zamruczał. - I wsadź ją pomiędzy pręty, proszę.

Drząc, Elgive zrobiła to, o co prosił. Serce jej tłukło jak szalone, kiedy przechylił jej głowę i przykrył powoli jej usta swoimi. Wydawało się jej, że wieki całe minęły, zanim jego nieruchome, nasuwające się wargi w pełni przytknęły do jej ust.

Naciskał i przygryzał jej usta, używając nieskończonej wariacji zręcznych, małych poruszeń, aż nagle spostrzegła, że odpowiada na nie. Podawała usta ku jego wargom, bezradna z rozkoszy. Przerwawszy kontakt jedynie po to, by się odezwać, wyszeptał:

- Otwórz usta. Proszę.

Elgive jęknęła cicho i upewniła się, że nie ma żadnego wyboru. Jego oczy, ciężkie od pożądania, spoczęły na jej rozwartych ustach z wyraźną pochwałą, zanim pocałował ją znowu. Tym razem wślizgnął się językiem do wnętrza jej ust, więc przywarła do prętów, chwytając się ich dla wsparcia.

Jonathan nigdy jej tak nie całował. Latami marzyła o tym, by mieć mężczyznę, z którym dzieliłaby taką intymność, ale Douglas Kincaid przerażał ją namiętnością.

Rozproszył jej umysł i opór, pozwalając jej myśleć, że powinna wszystko dla niego zrobić, dać mu wszystko, co zechce, aby tylko zadośćuczynić tym subtelnym mękom, jakie od paru dni przeżywała. Nie mogła go przestać całować, a kiedy zaczął ją pieścić, stęknąwszy głucho dla nabrania odwagi, zaczęła zachłannie smakować jego usta, podczas gdy on poznawał jej pocałunki.

Zabrakło jej tchu, kiedy obydwoma rękoma powędrował do przodu jej koszuli nocnej. Jego palce zakopały się pod guziki. Odsunąwszy swe usta od jej warg, obsypał pocałunkami jej oczy i policzki. Zapytał ochryplym głosem.

- Ile masz nocnych koszul?

Uwaga Elgive skupiona była na przyciskaniu ust do jego szyi.

- Chyba dwie - mruknęła oszołomiona. Zachichotał, dźwięk jego głosu stwardniał.

- Dobrze. Nie chcę, żebyś potem nie miała. Gwałtownie, bez ostrzeżenia rozerwał koszulę do pasa. Elgive krzyknęła, ale napłynęła na nią jeszcze większa fala podniecenia.

Odczuła je, ponieważ jego ręce powędrowały szybko do jej obnażonych piersi i chwyciły je z wyrachowaną szorstkością, jego kciuki pocierały jej sutki.

Elgive poszukała znowu jego ust i przywarła do ich zawrotnego, obiecującego centrum. Niejasno zauważyła, że ona łka i skręca się, zaś jego ręce wędrują po jej ciele, drżą, głaszcząc jej kark i ramiona, wracają na piersi, po czym dotykają gęsiej skórki na jej brzuchu.

Nagle złapał ją w pól, przeginając lekko i przytykając rozpaloną skórę jej piersi i brzucha do zimnych, śliskich prętów. Elgive była w potrzasku i mogła tylko zaprotestować głuchym jęknięciem dopiero wtedy, kiedy przestał ją całować. Po czym westchnęła z rozkoszą, kiedy jego wargi zaczęły się zsuwać w dół z jej szyi i piersi.

Najdzikszy halny wiatr nie był tak niebezpieczny jak uczucie, które owładnęło nią, gdy delikatnie przygryzł jej piersi zębami. Elgive zaplotła ręce wokół prętów celi i oparła twarz o nie dającą się usunąć zaporę, chcąc ją obalić.

Niemożliwe, mogło być coś więcej! Owiewając jej skórę gorącym i gwałtownym oddechem, Douglas zszedł pocałunkami w dół, na brzuch. Zanim się zorientowała, do czego on zmierza, on klęczał już przed nią, niepowstrzymany, z gorącymi ustami. Jego dłonie wślizgnęły się za jej pośladki i podsunęły je do przodu. Szybko znalazł najczulszy punkt. Elgive wyszeptała z niedowierzaniem jego imię.

To co robił, dla dwojga ludzi znajdujących się w ich sytuacji, nie należało do rzeczy łatwych czy naturalnych. Kiedy jednak rozkosz zalała ją gorącą falą, straciła panowanie nad sobą. Czowała, jak wibrowała pomiędzy jego szorstko trzymającymi ją rękami i jego ustami. Wszystkie emocje, które wspólnie przeszli przez ostatnie dziesięć dni kulminowały w tym momencie.

Była oceanem rozbijającym się o skaliste szkockie wybrzeże, tak samo, raz po raz napływając, rozbijała się o siłę tak mocną jak jej własna. Elgive opuściła się na pręty i tylko jego uścisk nie pozwolił jej upaść.

Powoli dał jej się obsunąć, wędrując ustami w górę, zmysłowo powtarzając wcześniejszą drogę. Lekko ugryzł ją w brzuch, polizał dolinkę między piersiami, po czym wydawszy dźwięk kapitulacji skierował usta ku jej sutkom. Ona siedziała przed nim jak omdlała, z potarganymi, spadającymi na twarz włosami. Ciało jej i uczucia nie stanowiły już żadnego oporu.

Wsunął ręce pod zasłonę włosów i ujął jej twarz. Kiedy obrócił ją, by w nią spojrzeć, otworzyła szeroko czy i jęknęła na widok widocznego w jego oczach pożądania. Na pewno kryło się tam uczucie. Nie wyobrażała sobie, aby mogło być inaczej.

Jego kolana były szeroko oparte na podłodze - postawa jego wyrażała załamanie mężczyzny przepelnionego desperacko powstrzymywaną energią i frustracją. Pierś jego poruszała się krótkimi, płytkimi oddechami.

- Otwórz celę - powiedział gorącym szeptem. - Albo ja wyjdę, albo ty wejdiesz. Nie chodzi mi o to, by uciec. Po prostu nie chcę tych prętów pomiędzy nami.

Elgive popatrzyła na niego zmartwiała i pobladła. Nigdy nie dowie się, czy uwiódł ją po prostu, aby spróbować odzyskać wolność. Nieważne. I tak nie mogła zdradzić swojej rodziny i bliskich.

Do głowy przyszła jej jeszcze bardziej bolesna myśl - chciała z tym mężczyzną dzielić wszystko w swoim życiu. Chciała z nim dzielić wszystko w jego życiu. Ale było to niemożliwe. Elgive wybuchnęła płaczem, odsunęła się od niego i zakryła rękami twarz.

Zapanowała cisza pełna napięcia. Słyszała, jak walczy o zachowanie spokoju, następnie klnie. Słaby? Smutny?

Słyszała jego oddech. Inne dźwięki powiedziały jej, że wstał i krążył po celi.

Elgive podniosła głowę, kiedy ponownie koło niej uklęknął. Popatrzyła bez dumy na mikrofon, który umieścił za nią na podłodze. Z ironią, na jaką mógł się zdobyć ten kunsztowny aparacik, jego zegarek, zaintonował wstęp z „Blues na noc”.

Pięć minut. Bieg jej życia zmienił się całkowicie, wszystko w niecałe pięć minut. Położyła drżącą rękę na mikrofonie i pociągnęła go sobie na łono.

- Dziękuję - wymamrotała. Zważywszy, co z nią przed chwilą zrobił, słowa te były zarówno kłamstwem, jak i nieodpowiednim okazaniem wdzięczności.

- Świat jest pełen niespodzianek, Słoneczko - powiedział czule. - Zaslugujesz na nie wszystkie - sięgnął przez pręty i pogłaskał ją po głowie. - Mogłabyś być taka szczęśliwa ze mną. Chodźmy stąd, Słonko. Zapomnij o wszystkim. Pozwól mi zabrać cię tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłaś.

- Już mnie zabrałeś - powiedziała, a głos się jej załamał. - Ale ja nie mogę tam zostać. Muszę wrócić teraz do prawdziwego świata. Przepraszam cię.

- Nie odchodź - zawołał, ale ona była już na nogach, zmierzając szybko do drugiego pokoju.

Już zamknęła drzwi i zablokowała je swym ciałem, jak gdyby on mógł się wydostać. Płacząc, Elgive popatrzyła na swą podartą koszulę i zaczerwienioną skórę. Gdyby się tak nie pośpieszył!

Przez następne trzy dni Elgive ledwo odzywała się do Douglasa, on zaś bardzo się cieszył. Tamto zdarzenie pomiędzy nimi rozwiało do cna jego wątpliwości. Jak miałyby skrzywdzić tę kobietę lub cokolwiek, co kochała? Doprowadzało go do szału, iż musi być na łasce domysłów. Projekt kupienia posiadłości MacRotha był dobry, wręcz

wyśmienity, zarówno dla ludzi jak i dla kontynuatorów jego rodu.

Gdy tylko pokazano mu zdjęcia ziemi MacRotha i głównego zabytkowego domu, był wniebowzięty. Nigdzie nie było bardziej swojsko niż tam. Zdecydował się dołączyć ten dom do swojej kolekcji. Nie zamierzał wyrąbywać lasów ani stawiać hoteli na majestatycznym, zielonym wzgórzu. Dziewicza atmosfera krajobrazu była jego siłą - chciał dla siebie zachować z tego jak najwięcej, a miasteczko przeobrazić w kurort.

Nie dbał nawet o to, czy na tym zarobi. Sprawdzenie siebie było ważniejsze; wszystko, żeby tylko zabić nudę i niezadowolenie, które tak zaczęły mu dokuczać ostatniego roku.

Wszystko, czego chciał w życiu, to być kimś. Wcześniej myślał, że zdobędzie sławę jako bokser, tak jak usiłował to zrobić jego ojciec. Ale wojsko osadziło go na parę lat, zaś potem jego matka, która znała się na boksie lepiej niż większość profesjonalnych menażerów sportowych, powiedziała mu otwarcie, iż nie jest wystarczająco dobry, aby zostać mistrzem, a on zaufał jej opinii.

Jego areną stał się biznes. Tu udowodnił, że jest jednym z najlepszych na świecie. Lata całe - interes za interesem, miliony dolarów zalewały miliony, luksus przewyższał luksus. Myślał, że nigdy mu się to nie znudzi.

Niestety. I to go przerażało. Czego jeszcze mógł dokonać? Ofiarował miliony na cele dobroczynne; użyczył swego nazwiska i stosunków dziesiątkom dobrych spraw; budował kluby nastolatkom w gettach i fundował szpitale w krajach Trzeciego Świata. Oczywiście ciągle było mnóstwo takich prac, ale miał cały sztab ludzi, by się tym zajmowali. Nie było dla Kincaida nic ponad inne projekty Kincaida. Popieranie

spraw stało się po prostu jeszcze jedną formą utrzymania, tak to widział i czuł się winny.

Teraz czuł się świeży i zaintrygowany, a ponieważ nie był ślepy co do swych własnych uczuć, przyznawał, że Elgive MacRoth była przyczyną.

Potrzebował tego projektu, a jej potrzebował jeszcze więcej. To, co musiał zrobić, to odzyskać kontrolę nad sytuacją, po czym udowodnić, że jego plan był najlepszy dla niej.

Kiedy udała się na przechadzkę, Douglas zlustrował celę i popatrzył na swe świeżo uprane długie kalesony powieszony przez niego, by wyschły na krzesle bez zmarszczek. Równy rząd białych majtek dekorował pręt celi, a skarpety wisiały wzdłuż krawędzi stołu. Mama Kincaid dała swym trojgu dzieciom zamiłowanie do dyscypliny w sprawach ich zwyczajów i dążeń. Przyjemnie by jej było, gdyby mogła zobaczyć, że lata ogłupiającej pracy nie zniwelowały jej wysiłków.

Douglas usiadł na łóżku i zaśmiał się gorzko. Jeśli będzie chciał kontrolować Elgive tak bardzo, jak ona kontrolowała jego, będzie musiał zmienić taktykę. Gapił się na uprane rzeczy z niesmakiem. Jedyne, co kontrolował w tej chwili, to była jego bielizna.

W tydzień po wstrząsającym epizodzie z mikrofonem, Elgive spotkała swego brata i Duncana na zwykłym miejscu spotkań i uroczyście zapewniła ich, że Douglas Kincaid był porządnym człowiekiem, który mógł pójść na kompromis, jeśliby go puścili.

Rob słuchał w ponurym milczeniu, gdy mówiła jaki miły i pełen skruchy stał się ostatnio Kincaid; jak dzieli się z nią swą wiedzą o jazzie, jak opisuje swoje interesy, opowiada o swoich domach i wiążących się z nimi anegdotami o sławnych ludziach, których zna - wszystko bez przechwałek!

Opowiedział również o swojej pracy na cele dobroczynne, a szczególnie o fundacji do badań nad wadami słuchu, co miało związek z ułomnością jego siostry. A co najciekawsze, chciał słuchać jej opowiadań o Druradeen jako miejscu nie tylko do mieszkania. Wyjaśniła mu, że wszyscy dzierżawcy MacRotha byli związani więzami krwi; że ich domy przekazywane były z pokolenia na pokolenie.

Rob zaczął potrząsać z niesmakiem swą piękną głową, Duncan o mało co nie pękł z oburzenia.

- Za chwilę będziesz go całowała po nogach! - zawołał. - Twoi bliscy nigdy ci tego nie przebaczą, jeśli pofolgujesz uczuciom i zrobisz się nieostrożna!

- Nie zrobi tego - wtrącił Rob, ale jego twarz miała posępny wyraz. Ujął dłonie Elgive. - Siostro, czy nie widzisz, co ten człowiek robi? Jest mistrzem w czarowaniu ludzi. Po prostu na chwilę się zmienił. Elgive pokręciła głową.

- Wiem, że część jego mózgu kalkuluje. Wierzcie mi, to naprawdę wspaniały aktor, to jedno. Ale, Rob, to nie jest zły facet. Może myśmy go źle ocenili.

- No to koniec - uciał Duncan. - Wycofuję się z projektu. Sam cię zastąpię. I przyrzekam, że do końca tygodnia sukinkot będzie żałował, że nie wybito jego rodu pod Talrigh, tak żeby jego samego tu nie było.

Elgive postąpiła ku burmistrzowi i rzuciła mu prosto w jego wykrzywioną ze złości twarz:

- Nic mu nie zrobisz!

- Jesteś z nim w zмовie! Jesteś zdrajcą własnej rodziny!

Rob wsunął się pomiędzy nich i rozkazująco podniósł rękę.

- Ellie, czy nie zapomniałaś, że mówisz do naczelnika miasta? - przeniósł wzrok na Duncana. - A ty nie zapominaj, że mówisz do następczyni MacRotha. Nie rzucaj głupich i brudnych oskarżeń!

Elgive położyła rękę na ramieniu Roba, na wpół przepraszając, na wpół uspokajając go. Duncan zachnął się niezadowolony, ale nic nie powiedział. Nie mógł się przyznać do omyłki. Popatrzył na nią z troską.

- Nie daj się omamić Kincaidowi, Ellie. Nie jest nikim innym jak zbrojnym.

Odstąpiła o krok, wściekła.

- Udowodnię ci, że jego stosunek do was się zmienił. Zapoznam go i dam mu do zaakceptowania jego szkockie pochodzenie. Będzie nosił rodową kratę Kincaidów przez dwa dni. Zdobę oświadczenie podpisane przez niego i mówiące, że zrzeka się kupna posiadłości. Wówczas możemy go puścić?

- Dam ci jeden dzień na dokonanie tego cudu - odparł Duncan. - Kiedy jutro o północy będziesz w kontakcie radiowym z Robem, będę oczekiwał na wyniki, inaczej twoja szansa przepadnie. Oświadczenie Kincaida z podpisem.

Elgive skinęła Duncanowi, cmoknęła brata w policzek.

- On nas nie zawiedzie, Robbie - wyszeptała, wierząc we własne słowa całą duszą.

Douglas właśnie skończył ćwiczyć, kiedy powróciła ze spotkania. Shom zerwał się z maty i pognął, by ją powitać, złoty ogon fruwał w powietrzu. Widok na wpół rozebranego Douglasa, uśmiechającego się, zadowolonego, że ją widzi, wywołał u niej jakby wahanie. Jeśli udałoby się zmienić jego poglądy, byłby bardzo szybko wolny. Byłby szczęśliwy - tak, szczęśliwy. Nie sądziła, żeby chciał ją skarżyć o porwanie.

Powróciłby do swego pozłacanego świata, a ona widywałaby go jedynie na zdjęciach lub w telewizyjnych wywiadach. Pewnego dnia zobaczy go z jego niebieskooką blondynką, obwieszoną szafirami, inteligentną żoną mającą głowę do interesów.

Jeśli się nie uda, on pozostanie więźniem, na pewno coraz bardziej zgorzkniałym w miarę zbliżania się terminu

ostatecznego kupna ziemi. Na nowo zacznie jej nienawidzić i będzie pragnął zemsty. Jakby nie było, straci go. Ale to pierwsze wyjście byłoby lepsze dla MacRothów.

- Co się stało? - zapytał, kiedy wieszala swój płaszcz. - Wyglądasz na zdenerwowaną.

- Och, pogoda jest dzisiaj jeszcze gorsza niż angielski humor. Poszłam za daleko i to wszystko.

- Czemu nie zrobisz po prostu kanapek na obiad? - posłał jej promienny uśmiech. - Potem przybliżyłabyś się do mego salonu, a ja pomasaowałbym twoje zmęczone stópki.

Elgive popatrzyła na niego z namysłem, jakby tu najlepiej go podejść. Pomyślała również o erotycznym sposobie, w jaki masowałby jej nagie stopy.

- Zgoda, Kincaid. Dostałeś właśnie klientkę. No to kanapki. A co byś powiedział na kropelkę whisky?

- Świetnie, szprotko, łyka bym nie odmówił. Po lekkim obiedzie podsunęła swój wielki fotel do kraty. On przysunął swój. Shom położył się między nimi. Jak zauważyła, nie lubił wybierać. Ostry, dziki wiatr wył za oknem, Elgive i Douglas stuknęli się kieliszkami.

Wypił do dna, odstawił kieliszek i poklepał się zachęcająco po udzie.

- Połóż tutaj swoje wykończone stópki. Elgive patrzyła na niego z rozmarzeniem. W świetle pobliskiej lampy był tak piękny. Miał srebrnoszary sweter, ciemne tło podkreślało szerokość barków. Światło lampy błyszczało na czarnych włosach. Jego twarz była studium kontrastów - mocy i łagodności, pożądania i zadowolenia. Dla Elgive szrama wysoko na policzku była czymś w rodzaju pięknego symbolu męskości. Jego oczy były ozdobione długimi rzęsami.

- Zagapiłaś się na mnie, Słonko - zaprotestował miękko. - Twoje stopy, pamiętasz?

- Och, czy zrobiłbyś dziś wieczór coś dla mnie, Douglas?

Zatoczył ręką krąg wokół swojej celi.

- Moje królestwo jest twoje.

- Czy posłuchałbyś, gdybym ci poczytała na głos? Jest wspaniała noc na słuchanie baśni i chciałabym poczytać trochę starych szkockich legend - złożyła dłonie w proszącym geście. - Może czegoś obawiasz się w tej lekturze. Ale te stare historie są doprawdy niezwykle.

Jego ciemne, ogniste oczy przyglądały się jej bez mrugnienia. Wstrzymała oddech. W końcu uśmiechnął się lekko i skinął głową.

- Daj mi swe stopy, a ja dam ci uszy. Kiedy jej nagie stopy leżały na jego podbrzuszu,

zaś księga ze starożytnymi baśniami na jej łonie, trudno jej było skoncentrować się na balladach a nie na swych palcach stóp. Objął je dłońmi i głaskał je miękkimi, prowokującymi ruchami. Zdumiewające było, to że palce stóp mogły odczuwać taką gamę erotycznych doznań.

Elgive oparła się w swym fotelu rozluźniona, jej nerwy drgały z rozkoszy. Otworzyła starą księgę ruchem lunatyka i patrzyła na nią, niczego nie widząc.

- Czytaj mi - upomniał się przytłumionym głosem, jakby żądanie zawierało o wiele więcej osobistego zaangażowania.

Elgive przełknęła i zmusiła się, by zacząć. Miękkim, melodyjnym głosem wyrecytowała poemat epicki „Starcie Tyrdoune”. Czytała powoli, nie tylko dlatego, że troskliwe dłonie Douglasa mąciły jej w głowie, ale też i dlatego, że musiała tłumaczyć z gaelickiego na angielski.

Włożyła w swój głos tyle dramatyzmu, ile mogła, wiedząc, iż jego znajomość sztuki aktorskiej wynagrodzi jej wysiłki. Miała rację. Kiedy Elgive szeptała o śmierci Sir Drury w bitwie, a potem z wyczuciem zaintonowała pieśń czarów Halifaxa zauważyła, że ruchy rąk Douglasa stały się

powolne. Pochwyciwszy jej stopy, jedynie kciukiem robił małe kółeczka pod kostkami.

Podniosła wzrok i spostrzegła, iż słucha jej z przekrzywioną głową, przechyliwszy ciało lekko do przodu, tak że jej stopy naciskały jego twarde brzuch.

- Kontynuuj - odezwał się od razu, gdy tylko rozsunęła palce stóp, tracąc wątek. - Czytaj - rozkazał, po czym spojrział w dół na jej stopy z uśmiechem znawcy. - Nie poddawaj się.

Elgive żałośnie westchnęła i powróciła do swej historii. Jej głos brzmiał donośnie, gdy mówiła o wojnach i łagodniał przy romansach, stawał się rozgniewany przy zdradach, lekki przy psotach. Płakała prawie, mówiąc o rozbiciu szkockich klanów, raz na zawsze, w bitwie pod Culloden.

Elgive drżała, gdy dotarła do finału poematu, mówiącego o zwycięskiej Szkocji, dumnej pomimo wszystkich przeciwności losu. Ogień wygasł, zostało jedynie kilka żarzących się jeszcze punkcików. Zegar na kominku wybił pierwszą po północy.

Elgive zamknęła książkę, niespokojnie popatrzyła na Douglasa. Poważny i zamyślony wyraz jego twarzy wzbudził w niej nadzieję.

- I co myślisz, Douglas? Czy nie jest to cudowna historia? Przytaknął, podnosząc jedną brew.

- Jak to? Żadnych Kincaidów? Myślałem, że ich przemycisz?

- Powiedziała ci już, że wykreślono ich z historii - przekartkowała pośpiesznie książkę. - Ale mam coś o nich w jednej starej pieśni...

- Zatrzymaj się tu, gdzie jesteś, Słonko - powiedział krótko, ale jednocześnie jego ręce przepraszały, głaszcząc jej kostki. Elgive popatrzyła na niego z nadzieją, ale on pokręcił głową. - Nigdy nie było żadnego rodu Kincaidów. Dlatego nic

o nich nie ma w twojej książce. Mimo wszystko, dzięki za odpoczynek. Był cudowny.

Wyprostowała się i podciągnęła nogi, zanim zaskoczony Douglas zdążył ją przytrzymać.

- Czy moja lekcja historii nie spodobała ci się? Przyjrzał się jej uważnie, wyczuwając zmianę nastroju. Ostrożnie, strapionym głosem zapytał:

- Co byś powiedziała, gdybym zbudował muzeum i dom kultury w centrum miasteczka?

Nadzieje Elgive rozprysły się.

- Nie to było moim zamiarem.

- Ach, czyli to była propaganda. Słonko, nie musisz mnie uszlachetniać, czytając mi historię Szkocji. Nie uwierzysz, ale to co tu zrobię, ma jedynie ukazać światu urok, jaki mają te strony.

- Ukazywanie uroku tego kraju, to nie brzmi zachęcająco
- Elgive zacisnęła pięści na swym łonie. - Czy nie chcesz się zastanowić nad kompromisem, Douglas? I zostawić wszystko tak jak jest?

Na jego surowej twarzy zdumienie powoli przeszło w gniew.

- Chcesz, żebym się poddał i poszedł do domu, i to nazywasz kompromisem? Powiem ci. Kupię obszar, ale zagwarantuję dzierżawcom pięć lat na znalezienie nowych domów i każdemu dam szczerą zapomogę na przeprowadzkę. Ponadto ty możesz zostać na stałe. Nie płacąc czynszu.

Elgive wybuchła.

- Oszukiwałeś mnie przez ten cały tydzień! Myślałam, że nabrałeś rozumu!

- Żeby przystać na to, co ty chcesz, laleczko, musiałbym dostać sklerozy!

- Nie zmiękłeś ani trochę!

- Mógłbym zmięknąć, gdybyś otworzyła te przekłete drzwi. Mógłbym zapomnieć o roli, jaką grałaś w tej głupiej próbie naprawiania innych.

- Nie prosiłam cię o żadną łaskę. Nie chcę od ciebie nic, czemu twoja brudna duma Kincaidów nie jest w stanie sprostać.

Podniósł się, był zdezorientowany.

- Zawsze ceniłem ludzi, którzy ryzykowali wszystko dla swego osobistego kodeksu honorowego. Chciałbym móc o sobie tak myśleć. Ale jeśli mnie stąd wkrótce nie wypuścisz, nie wyjdiesz z tego bez szwanku.

Zimna groźba zabrzmiała w jego głosie, dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Mówisz jak wściekły pies, Kincaid - odparła Elgive. - Zasługujesz na to, byś nosił swe rodowe barwy.

Pobiegła do skrzyni w rogu, otworzyła ciężkie, wypukłe wieko. Ze środka wyciągnęła wspaniałą szkocką kratę. Materiał miał kolory: ciemnoniebieski, szary i biały. Jego swetry miały te same kolory! Elgive podeszła do celi i pokazała materiał. Wziął go do ręki i patrzył na nią w najwyższym zdumieniu.

- To jest coś, z czego powinieneś być dumny, Douglas! To rodowa krata Kincaidów. Sama ci ją zrobiłam. To wielki honor dla ciebie, zważywszy na uczucia jakie żywię wobec twojego rodu! Nosiliście ją przez te wszystkie wieki, kiedy broniliście swojej ojczyzny. O nas, Szkotach, można powiedzieć, że nawet jeśli mieliśmy ze sobą różne spory, to zawsze trzymaliśmy razem przeciwko najeźdźcom.

I walcząc ze sobą, by się nie rozpląkać, zawołała:

- Noś ten tartan, kiedy zniszczysz to, czego nie ważyły się zniszczyć pokolenia Kincaidów! - odwróciła się i podeszła do kominka. Shom podążył za nią z opuszczonym ogonem. Schwyciła swój płaszcz z wieszaka.

- Kiedy nie możesz się przyznać do porażki, uciekasz - zaprotestował Douglas. - Wolisz zdeptać wrzosowisko, niż tu zostać i stawić mi czoła.

Stojąc w drzwiach, zwróciła się do niego:

- Uciekam przed własnym smutkiem - powiedziała, a głos jej drżał. - Ponieważ chciałabym myśleć o tobie jak najlepiej.

Popatrzył przez okno. Śnieg i deszcz zacinał o szyby.

- Jeśli zdecydowałaś się zamarznąć na śmierć, nie zabieraj ze sobą Sama.

Elgive starała się zignorować te przykre słowa. Nie liczyła już na współpracę, sympatię czy uznanie Kincaida. Owinęła się płaszczem.

- Shom, zostań.

Wielkie psisko zawahało się, ale usiadło. Kincaid rzucił materiał na łóżko.

- Elgive, zostań! Wróc i walcz, tchórze. Wpatrzyła się w niego zdumiona.

- Skąd znasz moje imię?

- Sam podał mi twoje rzeczy! Przyniósł mi też twój pamiętnik. Musiałaś podejrzewać, że go czytałem, ale nic nie powiedziałaś. Byłaś zadowolona, że dowiedziałem się, co do mnie czujesz! Przyznaj. Chcesz ze mną być, do diabła więc z resztą MacRothów!

- Prędzej umrę! Możesz zatańczyć na moim grobie!

Wyszła z domku, zanurzając się w straszliwą noc. Zastanawiała się z goryczą nad tym, że ludzie nieszczęśliwie zakochani woleli raczej stawiać czoła ciemnościom zewnętrznym, niżli przyglądać się czerni swych wnętrz.

Rozdział 6

Elgive nie zostawiłaby go na pastwę losu. Mógł liczyć na jej honor. W rzeczywistości, od niej zależało teraz jego życie.

Po trochu gniew Douglasa ustępował miejsca niedowierzaniu, a potem niepokoju. Albo chciała go ukarać i przyjść parę godzin później, kiedy zacznie marznąć i trochę zgłodnieje, albo coś się jej stało. Spostrzegł, że bardziej się martwi o nią niż o siebie.

Sam czekał cierpliwie tak długo, jak mógł; teraz zdesperowany chciał wyjść na dwór z powodów, które nie miały nic wspólnego z nieporozumieniami między Douglasem i Elgive. Siedział koło celi, patrząc wyczekująco na Douglasa i machał ogonem. Douglas potrząsnął głową.

- Jesteś teraz na swoim terenie, chłopie. Pozwalam ci udekorować frontowy pokój z całego serca - Douglas machnął ręką. - Idź!

Sam pobiegł do drugiego pokoju, ale lata treningu nie pozwoliły mu na niewłaściwe zachowanie. Douglas usłyszał, jak pies drapie w drzwi frontowe. Niespodziewanie drzwi otworzyły się. Douglas chwycił za pręty myśląc, że Elgive wróciła. Ale choć tupot galopującego Sama ucichł w szarówce nadchodzącego dnia, Douglas nadal słyszał, jak nie domknięte drzwi skrzypią na wietrze.

Gdzie jest Elgive? Popatrzył przez okno. Pogoda była wstrętna. Prawdopodobnie popija sobie herbatkę w jakimś schronisku i śmieje się z jego niedoli. Przestał się o nią martwić i owinął się trochę ciaśniej tartanem. W chatce panował teraz lodowaty chłód. Nie zapomni jej tej małej torturki.

Douglas podniósł koniec materiału i popatrzył w gorzkiej konsternacji. Oczywiście kłamała o istnieniu klanu Kincaidów. Przyjrzał się bliżej materiałowi, podziwiając

zręczność tkaczki i doskonałe wykończenie. Ogarnęły go wątpliwości. Zadała sobie wiele trudu, by go przekonać.

A jeśli nowobogacki Douglas Kincaid, biedne dziecko ulic Chicago, faktycznie jest potomkiem rodu, mogącego rywalizować z najdumniejszymi i najstarszymi rodami w świecie anglosaskim?

Odrzucił tę sentymentalną myśl i zaczął spacerować po celi. W godzinę później przybiegł Sam i z rozpędu uderzył w kratę. Odrzucił w tył łeb i zaczął szczekać jak zwariowany.

- Cicho - rozkazał Douglas.

Szczekanie zastąpił słaby skowyt. Sam podniósł się, oparł łapy na poprzecznych prętach. Całe jego ciało skręcało się z niecierpliwości, a oczy zwierzęcia błagały o coś Douglasa.

Douglas przyglądał mu się zaniepokojony.

- Znalazłeś ją? Czy coś się stało Elgive?

Pies zawył. Douglas nie miał pewności, czy dziwne zachowanie Sama miało związek ze zniknięciem Elgive, ale na to wyglądało. Rozejrzał się zrozpaczony, następnie wskazał ręką na pogrzebacza.

- Przynieś!

W kamiennej ścianie jego celi widniał prostokąt, gdzie świeża zaprawa związała kamienie w miejscu zamurowanego okna. Może uda mu się tamtędy przebić. Sam rzucił się do pogrzebacza, uderzając stojący koło kominka taboret. Taboret przewrócił się na bok. Mała blaszka wysunęła się, otwierając skrytkę w siedzeniu.

Wypadło z niej kółko z kluczem.

Po chwili osłupienia, Douglas wskazał na błyszczący przedmiot.

- Przynieś! Weź klucz, Sam! Weź klucz!

Sam przyniósł taboret, chwyciwszy zębami za jedną nogę.

Douglas zaczerpnął powietrza i pokazał na palenisko.

- Przynieś!

Sam przyniósł kawałek drewna na opał. Po pięciu próbach przyniósł klucz. Douglas wziął go, dociągnął z zewnątrz do zamka celi i wsunął klucz do dziurki: obrócił się z cichym, dobrze naoliwionym pyknięciem. Douglas naparł na drzwi barkiem. Otworzyły się.

Po raz pierwszy od prawie dwustu siedemdziesięciu lat na wrzosowiskach Talrigh pojawił się wolny Kincaid. I zgodnie z najlepszą tradycją przodków, natychmiast przystąpił do polowania na MacRotha.

Elgive, na wpół przytomna ze zmęczenia i wycieńczenia, zaledwie wiedziała, że Sam powrócił. Niejasno przypomniała sobie, że był tu już raz. Podnosząc głowę z podmokłej ziemi uderzyła o konar drzewa, zabolalo. Przemoczony kaptur płaszcza przywierał do jej twarzy, zakrywając oczy. Czoło napotkało chłodny, wilgotny nos Sama i jego gorący ozór.

- Shom - wyjęczała, zastanawiając się, jak wy dostał się z chatki, lecz była zbyt osłabiona, by się tym przejmować. Położyła z powrotem głowę na zimnej, mokrej trawie.

Nagle węszący nos Sama zastąpiła czyjaś ręka, która ściągnęła w tył kaptur i sprawdziła puls na szyi. Elgive poczuła zakłopotanie.

Ręka uniosła się. Ktoś zaczął łamać gałęzie drzewa, które ją przywalało. Czy ten ktoś nie zdawał sobie sprawy z tego, że było to spore drzewo i do usunięcia jego potrzebna była nadzwyczajna siła? Czy nie próbowała już od wielu godzin wyczołgać się spod niego?

Ten ktoś był najwyraźniej nadzwyczaj silny, drzewo zaczęło się ruszać. Elgive szarpnęła się słabo, usiłując poruszyć swe odrętwiałe, leżące w wodzie ciało. Przemoczony deszczem, wełniany płaszcz przylegał ściśle jak pancerz z ołowiu.

Ręka powróciła, potem poczuła drugą. Obie wyciągnęły ją spod konarów, odwróciły na plecy. Zamknęła oczy w obronie

przed padającym śniegiem. Długie, mocne ramię wślizgnęło się pod jej barki i podniosło ją, po czym oparło jej głowę o szeroką pierś. Dłoń odsunęła jej potargane włosy i łagodnie pogłaskała jej twarz.

Elgive zmrużyła oczy, by zobaczyć, czy zna tego prawego Szkota, który przyszedł jej z pomocą. I zobaczyła zaśnieżonego Douglasa Kincaida.

Z jej nieskładnej opowieści Douglas zrozumiał ostatecznie, że gdy ubiegłej nocy szła wąskim podmokłym jarem, zważyło się na nią drzewo. Kiedy wyjaśnił, jak udało mu się wydostać, patrzyła na niego wyczerpana i przegrana.

Niósł ją, kierując się w stronę chatki. Douglas nie przestawał się jej przyglądać. Miał takie uczucie, jakby na jego sercu leżał wielki głaz. Cała jej skóra była prawie popielata, a wargi niebieskie. Jej ręce dygotały, a zęby szczykały, pomimo iż owinał ją w swój tartan.

Byli oddaleni o ponad trzy kilometry od chatki. Douglas musiał przystanąć i odpocząć minutę po drodze do domku. Siedząc na wystającym głazie, owinał ją dokładniej tartanem. Jego ciężki oddech zdradzał nie tylko zmęczenie. A jeśli coś jej się stało? Padający bez przerwy śnieg z deszczem uczynił z jego swetra i spodni lodowate więzienie, drżał, myśląc o tym, co musiała przecierpieć przez ostatnie sześć godzin. Podniósł ją i poszedł dalej, Sam biegł przy jego boku.

- Wważę prawie dwadzieścia kamieni - wyszeptała. - Tty nnie możesz mnie nieść całą drogę.

- Jako że nie wiem, ile to jest dwadzieścia kamieni. Masz szczęście.

- Nnie szczęście - jej głos był omdlewający, słaby. - Pprzepadło. Wszystko sstracone.

- No nie, to jest podziękowanie! Czy ja wyglądam na takiego, co uciekł? Nie sądzisz chyba, że uciekłbym zostawiwszy cię, żebyś zamarzła, nieprawdaż?

- Nnie pprzydam ci się zzmarznięta. Nnic za tto nie dostaniesz.

- Otóż to. Chcę, żebyś żyła i martwiła się, co się teraz z tobą stanie. A teraz, ptaszyno, schowaj się.

Przytulił ją mocniej do piersi, pochyliwszy głowę nad jej twarzą, by ochronić ją przed mokrym śniegiem. Była to niezwykła i troskliwa forma zemsty. Oboje o tym wiedzieli.

Uczucie porażki kryło się w głębi jej myśli jak sęp czyhający na swą ofiarę. Elgive była jednak zbyt nieprzytomna, by się nad tym zastanawiać. Każda jej kosteczka drżała z zimna, w głowie tłukła się jedna myśl: musi się jakoś ogrzać.

Gdy tylko znaleźli się w środku, Douglas ułożył ją przy kominku i szybko rozpalił ogień. Kiedy pobiegł, by zapalić piecyk gazowy, spróbowała wyciągnąć swe ręce do płomieni, wstała, ale siły ją opuściły i upadła po kilku krokach. Sam, przemoczony, ociekający wodą, przybiegł do niej i zaczął ją lizać po twarzy.

Douglas wrócił, odepchnął psa i pomógł jej usiąść. Zdjął jej okrycie, popatrzył na przemoczony sweter i spódnicę. Elgive usłyszała, jak coś mruczy złym, smutnym głosem. „Boi się”, pomyślała zdumiona.

Nigdy nie wyobrażała sobie, żeby mógł się o nią troszczyć.

Uśmiechnęła się do niego półprzytomna, podczas gdy on ją rozbierał. Po chwili siedziała już przy palenisku, zawinięta w mokry zwój lodowato zimnej wełny. Kilka sekund później leżała przy kominku zupełnie naga, a Douglas nacierał ją ręcznikiem. Zaniósł ją do łóżka i wsadził pod pierzynę, była mu niesłychanie wdzięczna. Wydawała z siebie coś jakby słabe skomlenie, chciała wyrazić uznanie. Zagrzebała się w kokon puchowych pierzyn i muślinowej pościeli.

Niebawem do jej kokonu wtargnął jakiś jedwabnik.

Elgive zawahała się, po czym poddała się i przytuliła do Douglasa. Objął ją ramionami. Nie miała nic przeciw temu, on też był nagi. Był cudownie ciepły i miły, i to było wszystko, co liczyło się teraz, gdy jej zęby szczękały jak kastaniety.

Przełożył nogę, przyciągnął Elgive do brzucha i ud. Ciepło stopniowo zaczęło wnikać w jej skórę, w miarę jak mocno nacierał jej plecy i pośladki. Chwyciwszy jej dłonie, które wsparła na jego piersi, chuchał na lodowate palce, potem niecierpliwie wsadził je do ust, ssał je przez minutę. Potem wziął jej drugą rękę i Elgive musiała bezstronnie przyznać, że teraz jej palce mają się wspaniale.

- Wskocz pod swój namiot - rozkazał jej szorstko i skądś wyczarował jej nocną koszulę. Elgive nie chciała oderwać rąk od jego buchającego gorącym ciała, tak że w końcu nasunął jej koszulę na głowę i obciągnął ją w dół, pozostawiając ramiona w środku.

Nagle zanurkował pod stosem pierzyn. Elgive leżała z podkurczonymi nogami. Wygiął się wokół nich i położył jej lodowate stopy na swoim brzuchu. Jej drżące palce podkurczyły się, więc szarpnął je z powrotem. Dosłyszała pomruk protestu, coś o jakiejś manii.

W miarę jak przywracał czucie jej stopom, zagryzała wargi, by nie płakać z bólu. Na koniec nasunął jej parę grubych, wełnianych skarpet, a ona odetchnęła jak nowo narodzona.

Wyciągnął się z powrotem obok niej. Czowała jego palce głaszczące jej twarz, czowała jego oddech na skórze. Kiedy ogrzewał w swych ustach czubek jej nosa, otworzyła oczy i utkwiała w nim senne spojrzenie. Zgodnie z naturą Douglasa Kincaida jego techniki w zakresie udzielania pierwszej pomocy były zaborcze i niecenzurowane, były też nie do odparcia.

Natarł jej włosy ręcznikiem, następnie zawiązał go wokół jej wilgotnych włosów. Poczwała jego język, przykrywający po kolei każdą powiekę rozkosznym ciepłem. Elgive westchnęła, kiedy ponownie ją objął i wsunął nogę pomiędzy jej kolana. Jego usta dotknęły jej ust; pocałował ją leciutko i przyciągnął jej głowę do piersi.

- Teraz ja rządę, a ty jesteś w okropnych tarapatach - wyszeptał.

- Wiem - wymamrotała i spokojnie zasnęła.

Rozmiary jej nieszczęścia dotarły do niej później, kiedy się obudziła. Niejasne przeczucie ogarnęło ją gdy tylko odzyskała siły. Douglas na pewno uciekł. Mógł teraz zrobić, co mu się żywnie podobało z nią i ze spadkiem. Elgive otworzyła oczy i rozejrzała się nieprzytomnie wśród pościeli. Była w łóżku sama.

Spała cały dzień. Za oknem rozpostarła się czarna noc, a po ścianach tańczyły cienie od ognia na kominku. Sam leżał zwinięty na macie przed kominkiem. Z kuchni postyszała dźwięki i dobiegł ją wspaniały zapach gorącego jedzenia.

Douglas wszedł do pokoju wnosząc wielką miskę i łyżkę. Miał na sobie czerwone kalesony. Poczwała się winna. Przypomniała sobie, że wybrała ten kolor, by go poniżyć i ośmieszyć. Jednakże w sposobie, w jaki Douglas Kincaid nosił ów skąpy przyodziewek, nie było nic śmiesznego ani poniżającego.

Przebiegły ją dreszcze, gdy pomyślała o jego nagości i lubieżnych metodach rozgrzewania. Zobaczył, że ona mu się przygląda i przysiadł blisko na łóżku, z wyrazem zakłopotania w oczach.

Postawił miskę na kolanie i troskliwie podtrzymywał jej głowę.

- Jak się czujesz? Czy odtajałaś?

- Ano nieźle - pytania cisnęły się jej na usta, usiłowała o coś zapytać, ale nie mogła.

- Zjedz coś - widząc jej usiłowania, pokręcił tylko głową.
- Specjalność Kincaida. Zupa konserwowa z konserwy. Podgrzana do perfekcji na palniku.

Elgive usiadła na łóżku i ułożyła za sobą poduszki. Ze sterczącymi jak miotła i opadającymi na ramiona włosami musiała wyglądać jak czarownica. Dlaczego więc Douglas patrzył na nią, jakby była najpiękniejszą kobietą na świecie? Przechyliła się do tyłu i zjadła łyżkę pysznej wołowiny z warzywami, którą wsunął jej do ust. Zgiętym palcem obtarł jej brodę, po czym go oblizał.

- Hmm. Zupa a la Elgive.

Złapała go za rękę i popatrzyła mu prosto w oczy, dręczona niepewnością.

- Co teraz, Douglas?

- Teraz? Co powiesz na kubek herbaty? Mamy też trochę wczorajszych herbatników.

Z uczuciem buntu potrząsnęła jego ramieniem. Powtórzyła ponuro:

- Co teraz?

Odstawił na bok miskę z zupą i ujął w obie dłonie jej twarz.

- Jakoś z tego wybrniemy. Znajdziemy jakieś wyjście. Ale nie dzisiaj. Oboje jesteśmy w tej chwili zbyt podekscytowani. Nie chcę dziś dyskutować o przyszłości, szprotko. Zaufaj mi po prostu - przyszłość istnieje i to piękna.

Zatkało ją. Oniemiała przyjrzała się jego oczom i zobaczyła w nich tylko szczerą troskę. Tak bardzo chciała wierzyć w to, że może istnieć jakaś wspólna przyszłość przed nimi. Jeśli się o nią martwił, to zrobi na pewno to co słuszne dla jej domu i jej krewnych.

Jeśli zależy mu na niej chociaż troszkę, tak bardzo jak jej na nim, nigdy nie pożałuje swej decyzji.

Elgive rzuciła mu się na szyję i pocałowała go, skrępowana ciągle koszulą. Douglas zareagował, jakby zrobiła najbardziej kuszącą rzecz pod słońcem. Wyszeptał jej imię i przytulił do siebie w dzikim uścisku.

Bezmiernie pożądanie przepełniło Elgive; chciała go wszędzie dotykać, chciała uczynić szczęśliwym, chciała się śmiać i płakać, i ścisnąć go aż do bólu; chciała czuć jego ręce na swej skórze i widzieć jego oczy, kiedy tracił kontrolę nad sobą. Pochłonęły ich pieszczoty i pocałunki.

- El, El, mój Boże - powiedział lekko zaskoczony, wydawało się jej, że był zadowolony.

Następnie spróbował jej ust językiem, pokazując, jak pocałunek mógł zastąpić najintymniejsze gry, jak mógł napęlić całe jej ciało cudownym ciepłem, a nogi uczynić miękkimi.

Całe potoki pożądania przelewały się przez jej ciało za każdym razem, gdy poruszał swymi ustami w nowy sposób lub głaskał ją poprzez koszulę. Jego ręka ślizgała się po jej łydce, następnie po udzie. Dotykał, by sprawić jej przyjemność, a wiedział, gdzie będzie ona największa.

Zanim go spotkała, Elgive wyobrażała sobie wielkiego Douglasa Kincaida jako egoistycznego kochanka, uważała go za mężczyznę, który najpierw zadowala siebie, tak jak to robił w świecie interesów. Teraz wiedziała, że wcale taki nie był, co, tak jak i wiele innych jego cech, zarówno ją radowało jak i przerażało. Jak będzie mogła go kiedykolwiek kontrolować, jeśli ciągle będzie ją zaskakiwał?

Elgive przywarła ustami do jego twarzy, badając policzki i brodę powolnymi pocałunkami. Przechylił głowę i złapał zębami koniuszek jej ucha, nie zadając jej bólu. Powoli jego

zęby i wargi powędrowały w dół, osiągnąwszy w końcu pulsujący punkt na szyi.

Kiedy zakładał jej koszulę, nie zapiął guzików. Teraz zanurzył twarz między otwarty kołnierz i przyssał się lekko do jej szyi, zakłócając jej tętno. Wywołało to w niej falę odurzenia. Przymknęła oczy, wiedziała niejasno, że tarła swą szyją o jego głowę w ekstazie jak oszalała kotka.

Elgive próbowała wysunąć ramiona przez rękawy koszuli; jego ręce powędrowały w górę i wemknęły się pod koszulę, rozchyliły ją, obnażając piersi. Podniósł głowę i poczęstował ją spojrzeniem będącym mieszanką śmietanki i octu.

Elgive bezwiednie nabrała powietrza pod wpływem jego siły. Czy kiedykolwiek miała nad tym mężczyzną kontrolę, nawet wówczas, kiedy był uwięziony za prętami celi? W tej chwili sprawa kontroli wydawała się nieważna.

- Och, pomóż mi zdjąć tę koszulę - poprosiła, niemal płacząc. - Ty też się rozbierz. Sam powiedziałeś kiedyś, że są lepsze sposoby rozgrzania. Udowodnij to, Douglas. Udowodnij.

Rozkosz zajaśniała w jego oczach. Z głuchym pomrukiem aprobaty ściągnął jej koszulę przez głowę. Elgive położyła swe drżące ręce na niewielkim rządku guzików poniżej jego pasa.

Rzucił koszulę na podłogę, po czym złapał jej ręce i przyjrzał się z wyraźnym uznaniem, jego usta rozchyliły się w wąskim uśmiechu. Podniósłszy jedną rękę przejechał wierzchem palców po jej piersiach i brzuchu, potem musnął uda. Zakręcił palec w miękkie, kasztanowe włosy pomiędzy nimi.

- To nie wystarczy, żeby cię powstrzymać od przeziębienia, duża dziewczynko - w jego głosie brzmiała tajona pasja, która pobudziła jej zmysły.

- Zobaczmy czy twoje futro grzeje, tak jak należy - wyszeptała Elgive, rozpięła guziki, widząc, że jego pierś porusza się coraz szybciej, coraz szybciej, gdy rozpiniała kolejny guzik rozporka. Guziczki sięgały do końca jego brzucha.

Elgive też.

Ciemno owłosiona skóra i potężne mięśnie drżały, kiedy przebiegała po nich koniuszkami palców. Powoli, ostrożnie rozchyliła miękki czerwony materiał i przyglądała się. Wyciągnęła palce i głaskała pasemko srebrnych włosów, zaczynające się na piersi, aż do miejsca, gdzie się kończyło, tworząc srebrne tło dla jeszcze bardziej fascynującej atrakcji.

Elgive zawahała się, przez chwilę miała wrażenie, iż robi coś nad wyraz zenującego. Jonathan nigdy nie chciał być tak pieszczony.

Douglas podniósł swą dłoń do jej twarzy.

- Spójrz się na mnie, Elgive.

Podniosła wzrok i zobaczyła w jego oczach pytanie. Powiódł palcem po linii jej warg i odezwał się miękko:

- Jest to dzieło sztuki, wiem, ale niektórzy mężczyźni chcą, aby ich kobiety robiły coś więcej, niż tylko je podziwiały. Ja przypadkowo do nich należę. Cokolwiek będzie robione łagodnie, przyjmę z aprobatą.

Odprężyła się i uśmiechnęła do niego. Wydawało się, że rozumie.

- Na przykład to?

Kiedy jej palce wsunęły się pod jego ubranie, zadygotał i pocałował ją głęboko, przyciskając swój język do jej języka i pomrukując lekko, kiedy odpowiedziała mu taką samą reakcją.

- Hmm, a - tak mógł jedynie zareagować, ale to dodało jej odwagi.

Elgive pieściła go obydwoma dłońmi, przebierając w zdumiewającej wariacji dotyków. Zdjęła mu z ramion szelki i

pomknęła palcami po zwojach mięśni i ścięgien. Ledwo mogła się skoncentrować, ponieważ jego ręce wykonywały na jej ciele podobne czary, odnajdując każdą ukrytą drózkę, wiodącą do ostatecznego celu.

Przerwał, jego dłonie złapały ją pod pośladki. Zamknęła oczy, czując na sobie jego spojrzenie. Gdy je otworzyła, napotkała jego badawczy wzrok.

- Ty się mnie chyba nie boisz? - wymruczał. - Nie robisz tego tylko dlatego, że uciekłem?

Jej oddech wydawał szorstki dźwięk przy wdechu.

- Boję się ciebie. Ale myślę, że ty też się mnie trochę boisz. Może przestaniemy się straszyć, jeśli to zrobimy... to... Nie wiem jak ty to nazywasz, ale ja mogę to tylko nazwać kochaniem.

Jego miękki śmiech kontrastował z poważnym kiwnięciem głowy.

- Nic i nikt nie może mnie powstrzymać od zrobienia czegoś, co wydaje się słuszne. Tak, ja także chcę to nazywać kochaniem.

Elgive zaśmiała się urywanie.

- No to spróbujmy tego.

Ruszając się z niewysłowioną gracją, położyła się na plecach, podczas gdy on skończył się rozbierać. Elgive podziwiała mocne plecy, szerokie i płaskie pośladki. Jego uda były jak rzeźbione; mocne, ale przy połączeniu z resztą ciała smukłe i zgrabne. Jego płeć była naprawdę dziełem sztuki: ręce jej drżały na wspomnienie miękkości i ciepła skóry, a także ukrytej tam twardości.

Wyciągnął się tuż przy niej i podtrzymał jej głowę. Kiedy się zaśmiała, pociągnęła go do swoich zachłannych ust i uczyniła ich wcześniejsze pocałunki niewinnymi w porównaniu z tym, co teraz nastąpiło. Elgive wygięła się pod

jego powolnym głaskaniem, jej ciało otworzyło się w pełni jak dojrzały kwiat, pierwszy raz w jej życiu.

Dygocząc, krzyknęła z rozkoszy. „To tak mężczyzna dotyka kobietę” , pomyślała z przelotnym żalem. Straciła przez te lata więcej, niż mogła przypuszczać.

- Co się stało, kotuś mój mały? - ochryple zapytał Douglas, poruszając wargami po jej wargach. - Czemu masz łzy w oczach?

Zaciekawiło ją, dlaczego właściwie go pociągała.

- Długo czekałam, to wszystko - powiedziała niezdecydowanie. Kiedy zmarszczył z niedowierzaniem brwi, Elgive uśmiechnęła się z trudem. - Prawie dwa tygodnie.

Pokręcił głową, wiedziała, iż dostrzegł, że było to coś więcej.

- Ja też czekałem. Co tak naprawdę jest nie tak?

- Nic. Po prostu... nie chcę już dłużej czekać. Proszę cię, Douglas. Teraz.

- Cii. No dobrze. Co tylko zechcesz, El - przyciągnął ją do siebie i ostrożnie się na nią nasunął. - Co tylko potrzebujesz.

Uśmiechnęła się przez łzy.

- Kochany mężczyzno, takie gadanie przysporzy ci takich kłopotów, że żadne negocjacje cię z nich nie wyciągną.

- Lubię takie kłopoty. Lubię być z tobą. Pocałowali się namiętnie, przyjmując pozycję ciała,

tak starą jak pierwsze, wspólne przez kobietę i mężczyznę dzielone sny. Zmysły Elgive napełniły się milionami gwiazd; pożądanie uspokoiło ją, uwolniło, spowodowało, że nic już nie było ważniejsze niż ta sekunda, w której się wzniosła i spotkała go, przyjmując go tak jedwabście, że jednocześnie stękał i śmiał się. Wygiął się ku niej, dopełniając chwilę. Drżeli, dzieląc się energią i emocjami. On poruszył swoją większą, cięższą formę ku jej mniejszej z precyzją, która wciskała ją głęboko w łóżko, nie miażdżąc; ona dawała mu

swoje najdelikatniejsze, najczulsze ja, zachęcając go, żeby szedł na całego.

Kalejdoskop emocji zmieniał się przy najmniejszym sygnale; nowy wzór wykwitał ze zmieniającego się wyrazu jego oczu i każdego nowego wyrazu jego ust. Prowadziła go westchnieniami i chwytem nóg; rękoma, gdy przyciągała go do siebie lub głaskała drgające mięśnie jego bioder.

Przebiegała mu po twarzy opuszkami palców, prosząc o chwilę takiej samej bliskości. Zrozumiał natychmiast i zwolnił rytm, przyglądając się jej spod ociężałych powiek z pragnieniem i przywiązaniem. Jej żądza stała się oszalałym dyszeniem i wszystko, co mogła zrobić, to było nucić jego imię, potem uśmiechnąć się, a potem zaśmiać się głośno.

Pokrył jej twarz pocałunkami i natarł na nią szybciej. Ona ocknęła się i zdumiała na nowo narastającą w jej wnętrzu rozkoszą. On wyrażał sobą intensywne uczucia. Jego usta były zaciśnięte z pasją i z zadowoleniem. Nagle mrugnął do niej, tak jakby chciał powiedzieć: „Tylko my wiemy, jak jest cudownie”.

„Kocham cię tak bardzo”, pomyślała Elgive rozpierana uczuciem. Zagłuszało ono głos rozsądku i obawę, jednak nie dbała już o to. Ukryła twarz na jego ramieniu i ujmując go ciasno pod barki, wyszeptała mu do ucha swe wyznanie.

Elgive jęcząc sapała, on zaś pozbył się ostatnich hamulców i straciwszy panowanie wpadł w ferwor, zakończony miękkim krzykiem, za którym podążyło jej imię. Nic nigdy nie brzmiało dla niej równie słodko.

Trzymali się potem ciasno podczas rozdygotanej nieruchomości, pieszcząc się nawzajem, ustami szukając szybkich pocałunków pomiędzy urywanymi oddechami. Elgive z namaszczeniem adorowała bijący w jej wnętrzu jego gorący puls, pełna czci dla doskonałego poczucia bliskości i jedności.

Wydała dźwięk protestu, kiedy uniósł na łokciach swój tors. Jednakże on jedynie poprawił się tak, żeby móc przyglądać się jej twarzy.

- Jesteś najbardziej niesamowitą kobietą na świecie - powiedział obcesowo.

Jej oczy zapełniły się łzami radości.

- Czy wiesz, że jak raz zobaczysz chochlika, to nigdy więcej nie uda ci się powrócić do rzeczywistości?

Zaśmiał się dźwięcznie.

- Pewnego dnia musimy przedyskutować sobie pojęcie chochlika i co ono znaczyło, kiedy dorastałem.

Kiedy spojrzała na niego zdziwiona, potrząsnął głową.

- Ja stawiam na Czarodziejską Różdżkę. Hmmm - jego głos zamienił się w gardłowe zaproszenie. - Mogę też zaprosić chochlika, żeby poszedł ze mną do rzeczywistości.

- Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe - Elgive podciągnęła swe palce u stóp i opuszczała je wzdłuż jego nóg, po czym zdecydowała się, że go zatrzyma i oplotła go nogami, zawiązując je w kostkach. Jakoś go wygra. Jakoś go zachowa.

- Znowu jestem więźniem - wymruczał, poważnie unosząc brew.

- Tak. Zrób, co możesz najlepszego.

Opuścił się i zaczął ją całować. Równocześnie westchnęli i popatrzyli się na siebie z cichym uwielbieniem.

- Postaram się - przyrzekł i zrobił to jeszcze raz.

Douglas obudził się po północy, przestraszony nieobecnością Elgive w łóżku. Usiadł szybko i przetarł oczy, po czym odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył ją klęczącą przy palenisku. Ubrana w swoją niezgrabną koszulę i szlafrok dokładała do ognia bierwion. Sam, ziewając, leżał tuż przy niej.

Emocje, które mu zawirowały w piersi, zamieniły się w końcu w składną myśl. „Zakutana w te wszystkie fatalachy,

jest najszczodrzejszą, najbardziej zmysłową kobietą na świecie". Zrozumiał nagle, dlaczego wprost uwielbiał na nią patrzeć, nawet wtedy, kiedy robiła coś tak prozaicznego jak rozpalanie ognia czy czytanie którejs z tych swoich zakurzonych książek. Przepęłniała ją głęboka pasja, bezwstydną radość jedzenia i kochania, i prosta radość życia. Uwielbiał jej zadowolenie.

Kiedy się jej przyglądał, zaczął snuć ekscytujące plany. Wspaniale byłoby obdarować ją prezentami, przekraczającymi granice najśmielszych jej fantazji. Kupi posiadłość MacRothów i da jej pieniądze, niezbędne by odrestaurować podupadły główny dwór. Byłaby wniebowzięta. Byłaby wzięta przez niego.

- Znam lepszy sposób, żeby nie marznąć - zawołał cicho Douglas.

Odwróciła się od paleniska szybko, prawie jakby coś chciała ukryć. Douglas zaśmiał się z jej zaskoczenia.

- Elgive?

Wstała i pospieszyła do niego, odpowiadając na jego zainteresowanie promiennym uśmiechem. Ujęła jego wyciągniętą rękę i usiadła blisko, podkurczając pod siebie nogi. Jej dłonie były jednak chłodne i nieruchome. Obserwował ją z zainteresowaniem.

- Dobrze się czujesz?

Chciała coś powiedzieć, ale zawahała się, popatrzyła w bok, jakby nasłuchując. Potrząsnęła głową i westchnęła. Kiedy jej oczy z powrotem napotkały jego spojrzenie, były zatroskane, a po uśmiechu nie został nawet ślad.

- Musimy porozmawiać, kochany mężczyzno. Douglas podniósł jej dłonie do ust i pocałował.

- Myślę, że to może poczekać. Przyrzekam ci, że wszystko będzie dobrze - przyłożył sobie do ust jej palce i

zamknął oczy. Ona pogłaskała jego szczękę, a on pokiwał głową uszczęśliwiony.

- Proszę, musimy porozmawiać - powtórzyła. - Czy miałbyś coś przeciwko temu, żeby się ubrać? - wskazała na sweter i spodnie, które przewiesiła w nogach łóżka. - Chciałabym, żebyś wstał i usiadł przy ogniu.

Zdumiony bardziej niż kiedykolwiek, Douglas spróbował trochę ją odprężyć.

- El - zamruczał z lekkim wyrzutem. Podniósł zapraszająco kołdrę i przyglądał się, jak patrzyła, zafascynowana widokiem jego nagiego ciała. - Rozbierz się i wróc do łóżka, El - nastawał. - Możemy rozmawiać całą noc.

Zaśmiała się, ale jej głos był zatroskany.

- Przecież nie zajmowaliśmy się rozmową.

- El, czy musimy dyskutować o przyszłości posiadłości w tej chwili?

- Nie, nie, to coś innego. Czy mógłbyś być tak miły i ubrać się?

Dostrzegł jej napięcie po sposobie, w jaki wznosiła ramiona i po poważnym wyrazie twarzy. Elgive MacRoth nie była postrzelona. Douglas miał zamiar nauczyć ją przyjemności, płynącej z tego, że się nie jest praktyczną. Ale miał cierpliwość.

Douglas usiadł i wyciągnął ramiona.

- Co powiesz na to, żeby przytulić się i ogrzać mnie, zanim wyjdę z łóżka?

Wydawała się czymś przejęta, ale przypadła do jego piersi, kładąc mu na ramieniu głowę. Pogłaskał ją po włosach.

- Powiedz coś, co byś naprawdę chciała mieć, El. Coś, co nie jest ani trochę praktyczne. Coś, o czym nigdy byś nie pomyślała. Coś, co byś chciała mieć po prostu, żebyś była szczęśliwsza.

- Dzieci - powiedziała głosem pełnym bólu. Był wstrząśnięty. Żałował, że nie powiedział czegoś bardziej konkretnego i nie zaoszczędził jej tego smutku. „Ech, Kincaid”, powiedział sobie. „Wyjaśnij, że miałeś na myśli to, co jest ważne. Bizuterię. Autko. Forsę.” Douglas przymrużył oczy i popatrzył na czubek jej głowy.

- Czy jesteś pewna, że nie możesz mieć dzieci?

- Nie, ale na to wygląda. Jonathan był zdrow jak koń. I wszyscy jego bracia mieli dzieci.

- Czy ty i Jonathan kiedykolwiek udaliście się z tym problemem do lekarza?

- Nie. Jonathan by nie poszedł. Mówił, że to wstyd. Jeśli nie dane nam było mieć dzieci, to nie. Jaki miało więc sens dowiadywanie się, czyja to wina?

Douglas zagryzł wargi, słysząc takie wypaczenie.

- Nie zastanawiał się, czy problem nie był do usunięcia przy pomocy medycyny?

- Nie. On był zbyt dumny. I zbyt wstydlivy. I, jak ci powiedziałam, problem był jakby u mnie. Poza tym ja też nie chciałam wiedzieć prawdy. Pobraliśmy się na całe życie, bez względu na dzieci. Dlaczego się poniżać, jeśli to i tak niczego by nie zmieniło? - jej ręce klasnęły jego dłonie i przytrzymały ciasno. - Myślę, że nie masz się o co martwić, Douglas. Nie musisz się martwić o to, że zostaniesz ojcem po tych nocnych zabawach, jeśli o to ci chodzi.

Douglas odsunął się. Popatrzyła na niego uważnie. Wbił w nią wzrok.

- No nie, ty naprawdę myślisz, że ja dlatego pytam?

Twarz jej zbladła.

- Nie wiem! Przepraszam. Jestem w tej chwili trochę nieprzytomna. Proszę cię, ubierz się. Wówczas porozmawiamy trochę... dokładniej.

Potrząsnął ją lekko.

- Co ci jest? Dlaczego jesteś zdenerwowana?

- Ponieważ nie chcesz zrobić mi tej małej przyjemności, by zakryć czymś swój piękny tyłek i usiąść koło kominka! Czy to tak dużo?

Drżała teraz. Wbił twardy wzrok w jej złote oczy i naszło go straszne przeczucie.

- Elgive? - powiedział z wolna, żądając wyjaśnienia.

- Och, Douglas, mój najdroższy - głos jej się załamał. Potrząsając głową, podniosła obie ręce i łagodnie pogłaskała go po twarzy. - Byłeś dziś w nocy taki cudowny. Chciałabym, żeby to nigdy się nie skończyło.

- Nie musi, El, nie musi.

Sam podskoczył i pognął do drugiego pokoju, warcząc. Elgive zerwała się i zaczęła ciągnąć Douglasa za rękę.

- Ubierz się! Och, proszę cię, ubierz się! Douglas wytrzeszczył na nią oczy w zdumieniu,

przestraszony. Zaczynał rozumieć, co się stało.

- Ktoś tu jest - oskarżył ją zdrętwiały. - Zastawiłaś na mnie pułapkę.

- Nie! Przysięgam, nie chciałam, żeby tak się stało! Zapomniałam użyć radia - oboje byliśmy zajęci, pamiętasz? A potem zasnęliśmy! Kiedy się obudziłam, przypomniałam sobie i próbowałam skontaktować się z moimi ludźmi, ale było za późno! Oni myślą, że coś się stało!

Sam czekał zajądło. Rozgoryczony, zawiedziony Douglas odepchnął Elgive na bok i chwycił ubranie.

- Wyjdę stąd, a ciebie zabiorę ze sobą, laleczko, i sprawię, że jeszcze pożałujesz, że zrobiłaś ze mnie głupka.

- Nie planowałam, żeby cię znowu złapać!

- Zachowaj lepiej fantazję na te wspaniałe opowiadania.

Z trzaskiem otworzyły się drzwi w drugim pokoju. Elgive wyskoczyła z łóżka. Douglas przygarnął ją do siebie, po czym

owinał ramię wokół jej talii. Sam wycofał się do pokoju, warcząc.

Sześciu mężczyzn wtargnęło ze strzelbami i kijami. Mieli czarne ubrania i narciarskie gogle, ale różnorodna, stara broń i ich niezbyt atletyczne postacie wskazywały, że nie byli zawodowcami.

- Nie, nie, nie! - zaczęła krzyczeć Elgive, podczas gdy oni otaczali łóżko, mierząc w głowę Douglasa. - Uspokójcie się!

Wysoki, muskularny mężczyzna, najwyraźniej przywódca i chyba jedyny, który wyglądał groźnie, wydał gardłowy dźwięk wściekłości.

- Puść ją - huknął na Douglasa.

Douglas zważył, że siedzi nagi w łóżku Elgive, i że ów wysoki mężczyzna, może być, z dużym prawdopodobieństwem, jakimś bliskim krewnym Elgive.

- Zdaje mi się, że ona jest wszystkim, co stoi pomiędzy mną, a pewną śmiercią - stwierdził Douglas, zacisnąwszy ramię wokół talii Elgive. - Nic jej nie zrobię. Cofnijcie się.

- Proszę - błagalnie powiedziała Elgive. - On nic nie kombinuje. - Nie bijcie się z nim. Zamknijcie go jedynie z powrotem w celi.

- Co on ci zrobił? - zapytał przywódca mocnym szkockim akcentem. - Jeśli w jakikolwiek sposób zrobił ci krzywdę, powiedz mi.

- Nie, nie, nie zrobił nic innego ponadto, że uciekł.

Mężczyzna wyglądający jak beczka z kapturem na głowie machnął starą strzelbą.

- Uciekł prosto do twego łóżka, jak widzę! I wygląda na zadowolonego w nim jak należy!

- Czy to jest prawda? - wysoki mężczyzna zapytał Elgive, z zawodem w głosie. - Nie wypuściłaś chyba sukinkota specjalnie?

- Nie!

- Wypuściła, wypuściła! - nastawał niższy z mężczyzn. -
Widzę wypisaną w jej oczach winę! Zdradziła nas wszystkich!

- Nie bądź głupcem! - odparł drugi. - Została zmuszona do czegoś, nie widzisz? I wiedziała, że przyjdziemy, jeśli nie użyje radia!

- Udało mu się uciec, ale został ze względu na mnie! - krzyknęła Elgive. - Mogłam powiedzieć mu, by uciekł, skoro wiedziałam, że przyjdziecie, ale nie zrobiłam tego!

Poczuł rozczarowanie, jakby pchnięto go w pierś twardą pięścią. Lojalność i uczciwość były dwiema najbardziej cenionymi przez niego wartościami, jeśli szło o jego rodzinę lub każdego kto stał się mu bliski. W tym świecie pełnym zawiści musiał komuś wierzyć, jeśli nawet było to zaledwie parę osób. W głębi duszy respektował motywy postępowania Elgive, ale jej zdrada bolała go.

- To ty mnie faktycznie złapałaś - wycedził przez zaciśnięte zęby Douglas.

Poczuł, że Elgive drży jak osika w uścisku jego ramion. Odwróciła ku niemu twarz i jedna jedyna łza spłynęła jej po policzku.

- Troszeczkę - przyznała. - Ale jedynie... później. To, co zaszło między nami, nie było wcale wykalkulowane. Przysięgam ci.

Douglas popatrzył ponuro na mężczyzn.

- Psiakrew, podpuściła mnie - powiedział. - Zorientowała się, jak bezsensowna jest wasza umowa, zmieniła więc stronę. Ostatnie parę godzin spędziliśmy tańcząc razem w łóżku stary szkocki taniec. Tak że jeśli chcesz mnie znowu zamknąć, to lepiej wsadź tę Matę MacHari razem ze mną do pierdła.

Elgive trzęsa się ze zdenerwowania.

- On przekręca prawdę! On jedynie chce nam utrudnić!

Wysoki mężczyzna podał swą strzelbę kompanowi. Przybliżył się do łóżka, podnosząc w górę masywne pięści.

- Zakładaj gacie, Kincaid, i wyłaź z łóżka. Dołożę ci tak, że się nie pozbierasz.

Douglas uśmiechnął się powoli. Elgive rzuciła na niego spojrzenie pełne rozpacz.

- Nie! Nie chcę, żebyście się nawzajem pozabijali! Proszę cię, Douglas, wejdź z powrotem do celi! Ja wejdę tam z tobą! Tylko przestań! Przestań!

- Przestań. Dokładnie to samo chciałem powiedzieć - rozległ się obcy głos, pewny i zimny. Wszyscy podskoczyli. Douglas spojrział ku otwartym drzwiom. Stał tam Audubon, ubrany jak komandos w kiepskim filmie. Audubona miał pociąg do aktorstwa i teraz - wolne pole do popisu. Z wielce wzburzoną miną pomachał krótką automatyczną bronią, wobec której wszystkie te szkockie pukawki były warte funta kłaków.

Okno koło paleniska prysnęło, gdy dwaj towarzysze Audubona wetknęli przez nie lufy swoich karabinów.

- Panowie, jeśli wszyscy odłożycie swą broń i udacie się grzecznie do celi, będę bardzo zadowolony - rozkazał Audubon. - Doprawdy, nie macie innego wyboru.

- Pojawiasz się jak na zawołanie - skomentował Douglas.

- Dziękuję za komplement. Miałeś tu ładną gospodynię.

- Może ją puszczę, jeśli namówi swych kumpli do współpracy. Jestem pewien, że nie chciałyby mieć na sumieniu ani kropli ich szkockokrasiastej krwi.

- Szczególnie, że jeden z nich jest jej bratem - dodał Audubon.

Douglas poczuł, jak Elgive zeszywniała.

- Ustąpcie, proszę - zwróciła się do swych współników, patrząc wprost na ich wysokiego przywódcę. - Nie chcę, żeby komukolwiek miało się coś stać z powodu mojego błędu.

Jej głos, w którym czuć było porażkę, zabolął Douglasa. Męczyło go to, nie powinien czuć do niej żadnej sympatii. Na

pewno specjalnie zatrzymała go w łóżku, wiedząc, że tamci przybędą, by go z powrotem złapać. Nie powinien o tym zapominać.

- Nie mogę uwierzyć, że nas zdradziłaś - brat Elgive oskarżał ją gorzko. Zdjął maskę, pokazując taką samą jak u siostry czerwono - brązową, gęstą czuprynę i nie mniej dumną twarz.

- Nie zrobiłam tego - szeptała załamującym się głosem. - Ale pewnie raz czy dwa pomyliłam się w moich sądach.

- Załatwić kogoś, kto chciał cię traktować fair, to cholernie duża pomyłka - odezwał się Douglas.

- To jest fair? - popatrzyła na jego ramię. - Nie zawahałeś się, żeby pomyśleć o mnie jak najgorzej i usiłowałeś obrócić przeciwko mnie mych bliskich.

- To trochę dziwny rodzaj bycia fair! - wykrzyknął jej brat. - Myślę, że moja siostra nie jest winna niczemu, jak tylko temu, że zaufała komuś, kto wie, jak czarować ludzi, wysyłając ich do piekła!

- Jest to na pewno bardzo dobre miejsce - zręcznie odparował Douglas. - Dlaczego się tam nie wybierzesz i ich nie odeślesz?

Napięcie wzrosło. Brat Elgive pochylił się do przodu, ale jego towarzysze chwycili go za ramiona. Krótki, baryłkowaty mężczyzna też zerwał swą maskę, ukazując kalafiorową twarz, czerwone włosy i sztuczny uśmiech.

- Chłopaki, nie chcemy, żeby komukolwiek tutaj stała się krzywda - w kilka sekund z podżegacza stał się dyplomata. - Róbcie, jak Audubon mówi. Połóżmy nasze karabiny na podłodze i cofnijmy się.

- Ładna zmiana nastroju, naczelniku MacRoth - zauważył Audubon.

- Proszę cię, Rob - błagalnie powiedziała Elgive, wpatrując się w brata. - Zrób to, o co proszą.

Rob wściekły ustąpił, a reszta poszła za nim. Pokój wypełnił się ludźmi Audubona, którzy otoczyli porywaczy.

Audubon odetchnął i zsunął sobie z głowy ciemną, podobną do skarpety czapkę, potem przesunął ręką po białych, sięgających mu do ramion włosach. Podeszedł do łóżka Elgive.

Douglas był zbyt wściekły i rozgoryczony, żeby zauważyć szczególny uśmiech przyjaciela, gdy zawierano to porozumienie.

- No ładnie, Douglas, nie wydaje mi się, żebyś w ogóle potrzebował ratunku - mimochodem zauważył Audubon.

Douglas wyczuł sztywny opór w uwięzionym ciele Elgive.

- Potrzebowałem każdej pomocy, jaka była możliwa - odpowiedział.

Ale to był dopiero początek.

Rozdział 7

Elgive siedziała w swym fotelu przy kominku, uparcie wpatrując się w pustą przestrzeń. Żal i niezadowolenie z siebie zaciskały się w jej brzuchu w zimny splot. Douglas i jego podwładni pozwolili jej ubrać się w brązowe spodnie. Musiała upchać w nich jakoś nocną koszulę; nie pozwolili jej na przebranie się bez świadków, wyglądała śmiesznie. Szlafrok odłożyła na podłogę, a na niezgrabną, workowatą koszulę naciągnęła czarny sweter.

Douglas, który był już ubrany w szary sweter i spodnie, rzucił jej buty koło paleniska.

- Załóż - powiedział krótko.

Shom podszedł do butów, wziął je w pysk i przyniósł. Poczowała skurcz w gardle. Poglaskała łeb Shoma, myśląc, jakby to było wspaniale, gdyby ludzie sobie byli tak wierni jak zwierzęta.

Elgive czuła, że wszyscy przyglądają się, jak zakłada buty. Rob, Duncan, Andrew i miasteczkowy lekarz, dr Graham, zamknięci byli w celi Douglasa razem z tymi, których ze sobą wzięli. John Callum i Richard Maxwell byli rolnikami - ich rodziny żyły na ziemi MacRotha od setek lat, przekazując sobie gospodarstwa z pokolenia na pokolenie. John, Richard i reszta rolników stali więc w obliczu podobnej straty jak MacRothowie, jeśli Douglas nie zechciałby zmienić swych planów.

Audubon i jego ludzie rozlokowali się w chatce, zadowoleni, że nie muszą spędzać zimnej, górskiej nocy na zewnątrz. Douglas jednak nie wyglądał na zadowolonego. Stał na środku pokoju z rozstawionymi nogami i skrzyżowanymi na piersiach rękami. Obserwował Elgive, nie ukrywając niesmaku. Spojrzała na niego również ponuro:

- Pójdę teraz do celi z moimi bliskimi i sąsiadami. Chciałabym być zamknięta razem z nimi, jeśli to nie za wiele.

- Najpierw parę pytań - zaproponował Douglas. - Kto zaplanował porwanie?

- Ja - jednocześnie odezwali się Rob i Elgive. Elgive przycisnęła dłonie do gardła.

- Nie pozbawiaj mnie mojej kary, Robbie! To był tylko i wyłącznie mój pomysł i ty dobrze o tym wiesz!

- Nie - odezwał się sztywno dr Graham, potrząsając powoli swą lekko posiwiąłą głową. - Planowaliśmy wszyscy razem. I jeszcze dziesiątki innych. Wy, zbóje, musicie oskarżyć całe społeczeństwo albo nikogo!

- Tak - powiedział Andrew. Był szczupłym, umięśnionym mężczyzną, który nigdy nie stracił wojskowej sylwetki, będącej śladem jego kariery w brytyjskich siłach powietrznych. Teraz wyprostował się z dumą, jakby miał zostać rozstrzelany: - Ja przewiozłem wszystkich do Ameryki, tam i z powrotem, ja pilotowałem helikopter, który cię zabrał z dachu, Kincaid.

- A ja przygotowałem celę, żeby cię zamknąć - odezwał się Duncan.

- A ja pomogłem! - dodał John Callum.

- I ja też! - odezwał się Richard Maxwell.

- A ja dowiedziałem się wszystkiego o tobie - powiedział z odcieniem triumfu do Douglasa Rob. - O tobie i o twoim wstrętnym, próżniaczym życiu.

Elgive złapała się za głowę.

- Przyrzekliście mi, że nie tak to będzie, chłopcy! Postanowiliśmy, że ja wezmę na siebie całą winę! Nie mam dzieci, które bym musiała opuścić! Ani starej matki! Czy nie widzicie teraz, jak raniacie swoje rodziny, dumni głupcy?

- Ellie, ja też nie mam dzieci ani starej matki - upomniał ją Rob. Usłyszała przepraszający ton w jego głosie, domyśliła się, że chciał ją przeprosić za to, że wcześniej podejrzewał ją o zdradę.

- Ale ty mógłbyś je mieć - powiedziała, podnosząc głowę, by mu posłać udręczone, pełne miłości spojrzenie. - Ty masz w przyszłości więcej do stracenia niż ja. Ja miałam tylko sklep...

- Dość! - głośno rozkazał Douglas. Elgive popatrzyła na niego i zauważyła, że jest bardziej ponury niż kiedykolwiek. Czy był też może nieco zaskoczony, niespokojny? Może miał wyrzuty sumienia? Była zbyt zraniona, by zaufać teraz budzącym się nadziejom.

Jedną ręką odgarnął powietrze.

- Chcę prawdy. Co chcieliście uzyskać? Dlaczego nie próbowaliście się ze mną dogadać?

- Z człowiekiem, który nigdy nie zgadza się na nic, co by mu nie odpowiadało? Człowiekiem, który usiłuje mieć prawo autorskie do swojego własnego nazwiska, tak żeby nikt inny go nie używał w interesach? Człowiekiem, który wyrzucił na bruk wszystkich starców z ich domu, by móc postawić w to miejsce parking dla swych biurowców?

Douglas pokręcił przecząco głową.

- Nie znasz prawdy.

Elgive zerwała się nagle, opierając się dłońmi o poręcz fotela.

- Dostyc mamy umów, Douglas! Chodzi o nasze tradycje! O nasze legendy! Dość mamy twojej miłości do naszych domów! Co to może znaczyć dla człowieka takiego jak ty, który sądzi wszystko na podstawie ceny?

- Tak, niemiła to prawda, nawet i dla Kincaida - zawtórował Rob.

Pozostali zaczęli mówić, równocześnie potrząsając głowami.

- Tak. Kincaid! Nawet i dla Kincaida! Trzeba pamiętać, że on musi mieć przecież nieco lojalności wobec swych

przodków i krewnych, i rodziny! Nie chcemy mieć Kincaida za dziedzica, ale lojalny Kincaid byłby...

- O co chodzi? - zawołał Douglas. - Wszyscy macie zamiar wciskać mi te zmyślane opowieści o rodzie Kincaidów, żeby uratować swą skórę? Jeśli tak, to darujcie to sobie!

Elgive wstała, rozpostarła ręce, i zdecydowanie oznajmiła swym kumplom - porywaczom:

- On nie wierzy. Nie ma co z nim dyskutować na te tematy, on jest głuchy. A jeśli nawet i usłyszałby coś, co przemawia za tym, żeby zmienił zdanie na temat zachowania własności... Porozmawiajmy z nim, tak jak on by tego chciał. Zrobmy, jak tego chce.

- To może być interesujące - wtrącił Audubon. Elgive napotkała surowy wzrok Douglasa.

- Mój brat i ja jesteśmy potomkami MacRothów, ale ja jestem starsza, ja też jestem tą, która cię więziła. Czy nie możesz mnie zaaresztować i pozwolić reszcie iść wolno?

Głośne protesty podniosły się z celi, wybijał się niezadowolony głos Roba. Douglas zaklaskał w dłonie i czekał sztywny i powściągliwy, dopóki wszyscy się nie uspokoili.

- Nie mam ochoty cię aresztować, a w każdym razie nie tak, jak byś sobie tego życzyła - cmoknął z lekka. - Zamiast tego, zabiorę cię ze sobą.

- Nie zrobisz tego! - zawołał Rob. Elgive odczuła ulgę zmieszaną ze strachem.

- Dokąd? - zapytała zdrętwiała.

- Dokąd mi się tylko spodoba - odparł.

- Po co?

- Po co mi się tylko spodoba. Rob zatrzęsł prętami celi.

- Mówię nie! Nie!

Z bijącym sercem Elgive przyglądała się Douglasowi. Wskazała na brata i resztę.

- Oni pójdą wolni? Przyrzekasz, że nie będziesz podejmować przeciw nim żadnych akcji? Ani przeciwko komukolwiek innemu niż ja?

Kiwnął głową.

- Przyrzekam.

- Zatem niech tak będzie. Będę robić, cokolwiek mi każesz.

- Elgive - zaprotestował Rob w bezsilnej wściekłości.

Ona schwyciła za poręcz fotela, by się podtrzymać, ale nie spuszczała oczu z mężczyzny, który trzymał w mocarnym uchwycie jej przyszłość.

- On nie jest zły, Rob - powiedziała, nie odrywając oczu od Douglasa. - On pożąda jedynie tego, czego nie może dostać za darmo. Teraz, kiedy mnie już dostał, wkrótce puści mnie wolno. Zobaczysz.

- Puszczę cię, kiedy będę chciał - powiedział spokojnie Douglas z dwuznacznym, spokojnym uśmiechem. - A to będzie nie wcześniej niż wówczas, gdy kupię posiadłość MacRothów.

Zmusiła się, żeby zachować spokój. Wzruszyła ramionami.

- Dotrzymaj słowa, że nikogo nie wyślesz do więzienia.

- Och, dotrzymam. - Władczo i szorstko zwrócił się do Audubona: - Jesteś świadkiem. Elgive MacRoth i ja zawarliśmy umowę.

Tajemniczy Audubon ledwo przytaknął.

- To najdziwniejsza rzecz, jaką widziałem w ostatnich latach, ale owszem, możesz uważać mnie za oficjalnego świadka umowy.

- Chodźmy stąd.

- Chcę, żebyś wpierw uwolnił moich ludzi! - zdenerwowała się Elgive.

- Teraz nie ty wydajesz rozkazy - poinformował ją Douglas.

- Kiedy dotrzemy do Druradeen, wyślemy kogoś, by otworzył drzwi celi - powiedział Audubon i odwrócił się, by popatrzeć wyłącznie na Duncana. - Porozmawiam o tym z matką naczelnika. Jestem pewien, że będzie wiedziała, kogo wysłać. Jestem ciekaw, burmistrzu, jaką rolę odegrała w porwaniu twoja matka? Czy grała w Nowym Jorku rolę przynęty?

- Wyobraź sobie. Tak zajęła ludzi z ochrony Kincaida, że Elgive mogła nie zauważona wślizgnąć się na jego noworoczne party - wyjaśnił Duncan z satysfakcją. - Udała, że zemdląca w windzie jego drapacza. Nawet zatrudniani przez pozbawionego serca Kincaida ludzie nie mogli się oprzeć starszej damie z niewyraźnym akcentem.

Elgive znowu spotkała oczy Douglasa i dostrzegła w nich lekkie rozbawienie. Ale uśmiech szybko zamarł na jego ustach, teraz był stanowczy.

- Winszuję ci przebiegłości - powiedział. - Teraz mi za to zapłacisz.

- Przestań straszyć, Douglas, i zacznij działać. Chodźmy, jeśli mamy iść.

- Ellie - zawołał Rob.

Ona pośpieszyła do celi, ze łzami w oczach. Ujął jej dłonie i długo patrzyli sobie w oczy. Ich głowy zetknęły się. Mówiła do niego po gaelicku.

- To dobry człowiek, Robbie. Będę z nim bezpieczna.

- Jak możesz coś takiego powiedzieć, siostrzyczko?

Wpatrzyła się w Roba z niezachwianą pewnością.

- Ponieważ go kocham i wiem, co on do mnie czuje.

Oczy Roba rozszerzyły się w zdumieniu.

- Czy on ciebie kocha?

Zaprzeczyła, myśląc o drobnych blondynkach, posiadających wszelkie możliwe umiejętności; blondynkach, których niebieskie oczy pasowałyby do szafirów; blondynkach, które mogły rodzić dzieci. Następnie, przeciągnawszy dłonie Roba przez pręty, pocałowała każdą z osobna.

Spojrzała na niego spokojnie.

- Ale nie skrzywdzi mnie. Douglas mógłby mnie skrzywdzić tylko wtedy, gdyby mi powiedział, że mnie też kocha, gdyby mnie okłamał. Jestem pewna, że wkrótce mnie puści na wolność. Może będę mogła jakoś łagodzić jego stanowisko wobec naszego spadku. Kto wie? Ale na pewno nie musisz się martwić o moje bezpieczeństwo. Zadzwoń do ciebie, jeśli mi na to pozwoli. Uważaj na siebie. Kocham cię, bracie. Przyciągnął jej rękę i ucałował je.

- Zrobię wszystko, żeby cię wyciągnąć z jego mocy, Ellie.

- Koniec konspiracji. Mów po angielsku - rozkazał Douglas. Zarzucił Elgive koc na ramiona i ujął jej rękę. Jego oczy były przymknięte, wyrażały smutek, który stał się bardziej widoczny wówczas, gdy żalony jęk wyrwał się bezwiednie z ust Elgive. Pochyliła głowę, chcąc się opanować za wszelką cenę.

- Ty sukinkocie - ubliżył mu Rob. - Łamiesz jej serce i nic cię to nie obchodzi.

Douglas zignorował go.

- Elgive, zgodziłaś się pójść ze mną. Dotrzymaj słowa.

- Żegnajcie wszyscy - powiedziała odważnie.

- Żegnaj, Wasza Miłość - wyszeptał John Callum.

- Bóg z Wami, lady Elgive - pobłogosławił ją Richard Maxwell.

- Oby ci się powiodło, kuzynko - szorstko rzekł Andrew.

- Przepraszam, że zwątpiłem w ciebie - zaburczał Duncan.

- Ellie - podniosłym tonem wyszeptał Rob. - Pamiętaj, to tylko Kincaid. MacRoth nigdy nie przegra z Kincaidem.

Elgive odwróciła się i prowadzona pewną i bezlitosną ręką Douglasa opuściła chatkę.

- Zauważyłeś? - zapytał Audubon, paląc grube, zagraniczne cygaro. - Dałeś Elgive MacRoth mnóstwo powodów, by cię nie chciała. Ciekaw jestem, jak zamierzasz naprawić te zniszczenia.

- Część zniszczyła sama - Douglas podniósł rękę i potarł sobie skroń. Widok cierpiącej Elgive przyprawił go o ostry ból głowy. - Nie zawahała się, by wykorzystać mnie w sposób, o którym nie mam ochoty dyskutować - dodał w samoobronie.

Douglas obrócił się, marszcząc brew i spojrzał nad czarnymi pluszowymi fotelami i tekowymi blatami jego własnego odrzutowca - do tyłu kabiny prowadziły podwójne drzwi. Elgive spała - a może udawała, że śpi - w sypialni. Sam leżał pod drzwiami, wyglądał na przygnębitego.

- Wydaje się, że Sam jest po jej stronie - zauważył Audubon.

- Wyprała mu mózg jedzeniem. Łatwo jest ją polubić - Douglas odwrócił się i wyjrzał przez okno ku nocnemu niebu, prawie tak czarnemu jak jego humor. - Ale jak się ją rozzłości, to robi się z niej piekło na kółkach.

- Ładny masz sweter - zauważył Audubon. - Ona ci go zrobiła? W Druradeen jej prace mają reputację nadzwyczajnych. Cóż za wspaniały dar.

- Należał mi się.

- Co zamierzasz z nią zrobić?

- Przytłoczyć ją. Skłonić, by przyznała, że przyjemnie jest mieć to, co mogą jej dać moje pieniądze. Może zaproponuję jej rozproszanie swetrów po całym świecie. Hmmm. Taak. To niezły pomysł.

- Dziwna zemsta. A potem?

- Przyzna się, że się myliła co do mnie.
- Och? To nie kupisz posiadłości MacRothów?
- Oczywiście, że tak. Ale chcę, żeby przyznała, że jestem w stanie dobrze pokierować jego rozwojem.
- Czy przyzna to zanim czy już po tym, jak wysiedlisz wszystkich jej krewnych i przyjaciół?

Douglas poczerwieniał.

- Nie wysiedlę żadnych chłopów. Mój Boże, byłoby to tak, jakbym wyrzucił głównych bohaterów ze szkockiej wersji „Chłopów”. Nie miałem pojęcia, co to miejsce dla nich znaczy.

- Zmieniłeś zdanie? Ciekawe.

- Ale to tajemnica. Elgive musi wpierw zobaczyć rzeczy po mojemu.

- Aha, i wtedy możesz być szarmancki, gdy już ją poniżysz?

- Cholera, Audubon! Nie próbuję jej poniżyć. Po prostu - Douglas przeczesał palcami włosy - nie wiem, jak oddać terytorium bez walki. Uwielbiam negocjacje, ale muszę być zwycięzcą - taką mam obsesję. Przypuszczam, że rozwinęła się, kiedy byłem dzieckiem. Obsesja, by na stole było co zjeść. Obsesja, by zapłacić szpitalne rachunki ojca. I siostry.

- Rozumiem. Ale myślę, że powinieneś przewyciężyć tę niemodną obsesję, zanim stracisz kogoś, na kim ci naprawdę zależy.

- Chcę jej jedynie dowieść, że kocha mnie bez względu na wszystko.

- Czy nie wydaje ci się, że ona może cię kochać teraz?

- Nie po tym, co mi parę godzin temu zrobiła - Douglas umieścił słuchawkę telefonu na konsoli za fotelem. - Gerta? Tak, tu twój szef. Tak, mam się dobrze... Hmm. To udało ci się utrzymać moją rodzinę w niewiedzy? Nie wiedzą, gdzie jestem?... Myślą, że byłem w Paryżu?... Dobra robota... Tak,

podam ci później wszystkie szczegóły. Gerto, jestem w drodze na wyspę... Weź moje rzeczy i przyjedź tam w ciągu dwudziestu czterech godzin. I, Gerto, mam osobisty projekt, który wymaga twojej uwagi. Po pierwsze, potrzebuję kompletu garderoby dla kobiety, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, waży około dwunastu kamieni. Ile to jest normalnie?... Aha... Aż tyle?... Nie, każdy kamień jest na właściwym miejscu. Hmm. Tak. Zielona suknia. Ona jest tą kobietą. A teraz, potrzebuję jeszcze...

Dwadzieścia minut później skończył podawać swojej sekretarce wskazówki dotyczące przybycia Elgive na Wyspę Kincaida. Audubon powoli puszczał kółka dymu ze swego cygara i uśmiechał się, obserwując go w zamyśleniu spod na pół przymkniętych powiek swymi zielonkawymi, wyblakłymi oczyma.

- Jeśli chcesz zatrzymać Elgive MacRoth, musisz ofiarować jej o wiele więcej niż drogie zabawki - przemówił wreszcie.

Douglas zaśmiał się gorzko.

- Mam nadzieję, że jestem w stanie wyczarować troszeczkę osobistego magnetyzmu.

- Świetnie - Audubon sięgnął do leżącej na drugim fotelu skórzanej teczki i wyciągnął z niej notes, który wręczył Douglasowi. Zawierał informacje o Elgive.

- Przyjacielu - płynnie powiedział Audubon - Elgive MacRoth jest zrobiona z najszlachetniejszego kruszcu. Mam nadzieję, że twój magnes jest wyjątkowy.

Satyna. Niebieskie satynowe prześcieradła na królewskiej wielkości łożu. Ogrzewanym, przepyszным wielkim łóżku. W sypialni rozmiarów całego jej apartamentu nad sklepikiem w Druradeen. A była to jedynie sypialnia w prywatnym samolocie Douglasa. Ze smutkiem przysłuchiwała się

miękkemu mruczeniu turbin. Nie wiedziała nawet, dokąd Douglas ją wiozł.

Elgive leżała na boku, całkowicie ubrana, z rękami podłożonymi pod piersi, zalewała łzami satynową poszewkę, podziwiając wielkie na całą ścianę stereo. Za sobą usłyszała miękkie trzaśnięcie podwójnych drzwi. Pośpiesznie zamknęła oczy i przytuliła swój mokry policzek do poduszki, udając, że śpi.

Douglas usiadł na łóżku, tuż za nią. Poczowała znajomy zapach jego wełnianego swetra - zapach, który jedynie rozpoznać mógł znawca wełny - co więcej, poznała zapach jego skóry i włosów. Ciągle jeszcze czuła ten zapach na swym ciele, ciągle jeszcze miała w sercu uczucie bliskości.

Jego nogi oparły się o nią, gdy pochylił się do przodu. Elgive nie mogła udawać, że śpi, opuszką palca dotknął łez na jej twarzy. Przybrawszy wyraz ostrożnego oporu, Elgive obróciła się na plecy i popatrzyła na niego. Wyglądał na rozgorączkowanego i zmęczonego, z niedźwiedzią szczecinią na policzkach. Jego ciemne włosy były zmierzwione, a jego ciemne oczy ciemniały jeszcze bardziej, w miarę jak się jej przyglądał.

- Wyglądasz jak tylna część diabła - zauważyła głosem, który zabrzmiał bardziej dramatycznie, niż sobie to zaplanowała.

- Ty też - wymamrotał zmęczonym głosem i dodał: - Audubon ma pełny zestaw informacji. Właśnie skończyłem czytać.

- Och? Oceniasz swego najgorszego wroga? Może mi powiesz, czego takiego się dowiedziałeś, bo wyglądasz jak burza gradowa.

- W czasie wojny twoi dziadkowie otworzyli dwór MacRothów dla sił alianckich, oddając go na szpital dla rekonwalescentów. Oddali większość swych osobistych

oszczędności na rzecz szpitala, nigdy nie dostali za to odszkodowania. Kiedy twój ojciec przejął z powrotem to miejsce, było zupełnie zrujnowane. Twój ojciec był walczącym poetą; twoja matka szwaczką. Pieniądzy, by utrzymać jakąkolwiek posiadłość, a zwłaszcza tak wielką jak wasza, nie było.

- Jak na razie zgadza się. Co by to nie miało znaczyć. Dom to dom, nieważne jak podupadły, myśmy uważali go za wspaniałą pałac - jej głos wyrażał zdumienie.

- Wtedy niespodziewanie pojawił się mężczyzna, wuj Angus, który dawno opuścił rodzinne strony i dorobił się fortuny na wątpliwych inwestycjach. Chciał mieć posiadłość; ojciec nie chciał sprzedać. Wybuchł tajemniczy pożar na górnych piętrach mieszkalnych. Ty miałaś dziewięć lat, Rob miał siedem. Twoi rodzice związali prześcieradła i spuścili was na dół. Ale zrobiło się zbyt późno, by mogli uratować siebie. Widziałaś, jak się palili. Po tym zdarzeniu przez dwa lata nie mogłaś mówić, Rob przestał się jąkać dopiero, gdy miał kilkanaście lat. Niektórzy powiadali, że ogień był sprawką Angusa, ale nie było żadnych dowodów. Angus odziedziczył majątek.

Zamilkł na chwilę. Jego palce miarowo głąskały pasmo włosów na czole Elgive. Czy była to pieśczoła, czy też chciał pokazać jej, kto tu jest panem - tego nie potrafiła powiedzieć. Ale odczuła to jako pieśczołę.

- Mów dalej - zamruczała.

- Nie chciał on ani ciebie, ani Roba. Wyrzucił was obydwój. Oddał was parze gospodarzy - podstarzałemu rolnikowi i jego żonie - na wychowanie. Po ich śmierci reszta kuzynów, z ludnością miasteczka włącznie, zawiązała coś w rodzaju koalicji dla zapewnienia wam należytego wychowania. Byliście przerzucani z domu do domu, nie mając niczego własnego.

Elgive przełknęła z trudem i przytaknęła z przymusem.

- Tak.

- Jonathan MacMillian poślubił cię i kochał, dokładnie tak jak sobie tego twoja matka życzyła wcześniej, przed laty. Jego rodzina była pewna, że pewnego dnia odziedziczysz majątek MacRothów. Po ogłoszeniu przez Angusa, że nie pozostawia niczego tobie i Robowi, rodzina Jonathana oskarżyła cię o wykorzystanie ich naiwnego, dobrodusznego dziecka.

- Jonathan nigdy nie narzekał, nie mówił nigdy o tym spadku.

- Ale gdy zginął na morzu, jego rodzina uczyniła twe życie nieznośnym. Powiedzieli, że nie dbał o życie, że te wszystkie lata małżeństwa w biedzie, bez nadziei na potomstwo, dobiły go. Powiedzieli, że wyszłaś za niego jedynie po to, żeby mieć dom. W końcu porzuciłaś nazwisko męża, poczuwając się do winy, zaczęłaś myśleć, że oni mieli rację, że to ty doprowadziłaś go do ruiny.

Elgive nagle pojęła, dlaczego Douglas jej to wszystko przypominał. Chciała zaprotestować gwałtownie wobec takiej niegodziwości.

- Ty myślisz, że ja jestem z natury zła - powiedziała wysokim, wibrującym głosem. - Że jestem gotowa na wszystko, aby tylko wyjść na swoje.

Przesunął palcami w dół, po jej policzku. Powoli ujął ją pod brodę. Trzymając ją tak, wyszeptał:

- Nie. Wiem też, że porzuciłaś studia na uniwersytecie w Edynburgu, żeby poślubić Jonathana. Mogłaś studiować historię sztuki. Zawsze tego chciałaś. Ale wyżej ceniłaś życzenie matki i poślubiłaś chłopca, którego ci wybrała, gdy byłaś jeszcze dzieckiem. Chłopca, który wyrósł na cichego, nieśmiałego mężczyznę i który kochał cię bez względu na to, czy twój wuj da ci pewnego dnia posag, czy nie. Spłaciłaś dług honorowy.

Oddech Elgive zakłócał ciszę, jaka zapadła pomiędzy nimi.

- Audubon musi być świetny w zbieraniu informacji - powiedziała. - Nie myślałam, żeby ktokolwiek mógł się tyle o mnie dowiedzieć. Dlaczego interesuje cię moja historia, Douglas?

Posłał jej zagadkowy uśmiech.

- Chciałbym wiedzieć, co jest ci drogie. Pamiętam, że tak właśnie mi powiedziałaś jakieś tydzień temu.

- I co dalej?

Posłał jej słaby, jakby niepewny uśmiech.

- To niespodzianka.

- Dokąd jedziemy? Gdzie wylądujemy?

Podniósł się z łóżka. Jego palce dotknęły jej ust.

- W raju - wymruczał. - Teraz prześpij się trochę, El.

Wychodząc z pokoju, zatrzymał się przy zdobionych ornamentami podwójnych drzwiach, by jeszcze przez chwilę na nią popatrzeć. Zaskoczona, ujrzała w jego oczach łzy. Widok łez w oczach Douglasa podziałał na nią jak magiczne zaklęcie.

Elgive patrzyła przez okno odrzutowca na nowoczesne budynki, wysokie palmy i niebieskie niebo. Raj musiał mieć ładne lotnisko. Kiedy Douglas poszedł się ogolić, Audubon usiadł w fotelu obok niej.

- Czy życzysz sobie jakiejś rady, zanim zostawię cię i Douglasa, samych na polu walki? - zapytał uroczyście. Audubon miał zamiar wrócić jak najszybciej do swego domu w Ameryce.

- Cenię sobie każde mądre słowo.

- Miej do niego cierpliwość. Nie jest przyzwyczajony do tego, by podejmować decyzję pod wpływem uczuć. On nie chce wyjść na głupca.

- Woli być uważany za człowieka bez serca?

- W pewien sposób tak. Jest to postawa władcy. Ale wydaje mi się, że ty zrozumiałaś, że jest to tylko gra.

- Czasem nie jestem pewna. Ale zapamiętam twą radę.

- Świetnie. Chciałbym doczekać, jak on pośle tę swoją pozę do diabła.

Elgive zaśmiała się sucho.

- Możesz być spokojny, jestem w tym bardzo dobra.

W kilka minut później ona i Douglas opuścili samolot, zstępując po schodkach. Sam pogalopował przed nimi i szczerząc powitał młodego, wysokiego mężczyznę, idącego ku nim przez płytę lotniska z wdziękiem pantery.

Douglas pogłaskał ją po plecach, czuła jego dotknięcie nawet teraz, przez gruby sweter.

- Jesteś w moim więzieniu - powiedział. - Mam nadzieję, że jest ci lepiej niż mnie w twoim.

Elgive patrzyła na tę tropikalną scenerię.

- Będę tak samo niesforna, jak i ty.

- No to będę musiał na nowo cię uwieść.

- Nie uwiedzisz mnie. Tak długo jak długo będziesz miał zamiar zabrać ziemię MacRothów.

- Och, myślę, że mogę cię przekonać.

- Rogatyś, diabełku, ale zobaczymy. Powietrze było wystarczająco gorące, nawet bez

jego słów o uwodzeniu było jej za gorąco w wełnianym ubraniu. Nad nią jakiś wielki odrzutowiec wyjął turbinami, wznosił się ku słońcu. Elgive zatkała sobie uszy i spojrzała ku mężczyźnie, który się zbliżał, by ich powitać.

Czarny warkocz spadał mu na plecy, wyglądając jednocześnie oryginalnie i elegancko w połączeniu ze swobodnie narzuconą koszulą i szytymi na miarę białymi pantalonami. Z wyraźną sympatią klepnął wyciągniętą rękę Douglasa i błysnął powściągliwym choć szczerym

uśmiechem. Kiedy hałas odrzutowca ucichł, Douglas przedstawił go Elgive.

Nazywał się Kash Santelli. Mówił po angielsku z dziwnym, zabawnym akcentem. Douglas wyjaśnił, że Santelli zarządza kilkoma jego przedsiębiorstwami i nadzoruje jego prywatną wyspę.

Wyspa Kincaida - tam się właśnie udawali. Przynajmniej miała wskazówkę. Przeszukiwała swą pamięć w poszukiwaniu tego, co Douglas jej na ten temat mówił. Tak, wspominał o jakiejś wyspie na Karaibach. Ale gdzie? Pamiętała ze szkoły, że panuje tam klimat tropikalny; kiedyś na Karaibach piraci przechowywali niewolników i skarby.

Elgive potrząsnęła głową. No tak, to pasowało do Douglasa.

Wziął ją pod ramię i poprowadził do helikoptera. Paradując między nią i Kashem Santelli, przypominał jej zwycięskiego generała powracającego w glorii do domu. Generał z Wall Street. On i Santelli dyskutowali ceny akcji i obligacji w niezrozumiałym dla niej handlowym języku; przyjęła natychmiast postawę obronną.

Idealna kobieta Douglasa dorzuciłaby coś do tej konwersacji, a nie dreptała obok jak jakaś niemowa. Ale przecież Elgive nie miała być tym ideałem. Była jedynie jego więźniem i to na krótko.

Aby odegnać ponure myśli, przyjrzała się Kashowi Santelli. Jego rysy stanowiły egzotyczną mieszankę - zakrzywiony nos, pięknie sklepione kości policzkowe i wielkie czarne, skośne oczy, zdradzające wpływ Orientu; jego skóra miała jasny odcień miodu z wrzosowisk Terkleshire. Obaj z Douglasem zwracali się do siebie po imieniu. Wydawało się, że Kincaid żywi do niego sympatię i obdarza go zaufaniem.

Douglas pomógł jej wsiąść do wielkiego helikoptera, na którym złotymi zawijasami wypisane było „Kincaid”. Podprowadził ją do jednego ze wspinających foteli, po czym przeszedł do przodu, by przywitać się z pilotami. Sam padł na podłogę, dysząc w upalnym powietrzu.

Elgive przyglądała się Douglasowi, który po cichu rozmawiał o czymś z pilotem. Pracownicy Kincaida wydawali się być w dobrej komitywie ze swoim szefem, pomimo to byli pełni respektu.

Kash Santelli usiadł przy niej. W jego zachowaniu wyczuwało się ostrożność, ale nie był nastawiony do niej nieprzyjaźnie. Elgive przysunęła się bliżej i wyszeptała:

- Czy mógłbyś mi, chłopcze, powiedzieć, gdzie jesteśmy?

Jego czarne oczy przyglądały się jej ze zdziwieniem. Głębokim, niskim głosem powiedział z naciskiem:

- Saint Thomas. Wyspy Dziewicze.

- Dokąd się udajemy?

- Na wyspę Douglasa, to godzina lotu stąd. Santelli patrzył na nią uważnie, wyjaśniła więc:

- Jestem tu, aby spłacić dług, jaki mam wobec Kincaida. Nie bardzo się orientuję, jakie ma plany. Czy mógłbyś mi powiedzieć, czego mogę się spodziewać na tych wyspach?

Oczy Santellego zabłyśły ze zdumienia.

- Ależ, Miss MacRoth - ...

- Mów mi Elgive, chłopcze.

- Elgive. Nie bardzo rozumiem, o co chodzi. Douglas zazwyczaj przyjeżdża tu sam lub ze swoją najbliższą rodziną. Czasem urządza na wyspie spotkania w interesach, ale do tej pory nigdy jeszcze nie zapraszał tu przyjaciół.

- To znaczy, że nigdy nie przywiózł ze sobą żadnej małej blondyneczki, żeby mu dotrzymywała towarzystwa?

Santelli był zdumiony. Zanim zdążył coś odpowiedzieć, wrócił Douglas. Ujął Elgive pod ramię.

- Uważaj na nią Kash. Ta kobieta gotowa jest wmówić ci, że szkockie krasnoludki tańczyły na grobach twoich przodków.

- Twój przodek nie ma żadnych grobów - lekko odparła Elgive.

- Bo nie miałem żadnych szkockich przodków.

- Ci zbójcy woleli rzucić się do Loch Talrigh, niż spłonąć w swym obleżonym zamku. Przynajmniej nakarmili ryby.

- Och, a więc pracowali przy stawach rybnych, hmmm?

- Fuj, jezioro śmierdziało potem całe lata.

Douglas sprawiał wrażenie zmęczonego i w odpowiedzi na jego smętne spojrzenie uśmiechnęła się wyrozumiale. Nad jego ramieniem dostrzegła rozszerzone, czarne oczy Santinellego. Skinął jej głową, był pod wrażeniem.

A może, podobnie jak Audubon, czuł, że Douglas wyraźnie potrzebował zmiany? Mogła tu znaleźć sprzymierzeńców, tego nigdy by się nie spodziewała. I żadna blondynka jej nie wyprzedziła? Elgive zaśmiała się, spostrzegłszy zatroskane spojrzenie Douglasa. Helikopter opuścił St. Thomas i skierował się na zachód, lecąc ponad niebieskozielonym oceanem. Żadnych blondynek. To był dobry znak.

Rozdział 8

Douglas podziwiał i przeklinał zarazem jej niewzruszoną nonszalancję. Do diabła! Jak mogła jej nie wzruszyć czterdziestopokojowa willa wypełniona antykami, armią służących, wspaniałymi, kwitnącymi tropikalnymi roślinami.

Gdy pokazywał jej balkony i tarasy, wszystkie ze wspaniałym widokiem na morze, oglądała je, przytakując mu we wszystkim, jakby był kretyńcem, którego nie wolno denerwować. Jej chłodne, bursztynowe oczy wcale nie wyrażały podziwu. Stojąc przy francuskich drzwiach w wielkim salonie, wyciągnęła ręce ku ciepłemu, świeżemu powiewowi. Opowiadał jej o piratach, do których kiedyś należała ta wyspa.

- Tak, tak - potaknęła sucho. Poczuli się jak idiota.

Weszli do biblioteki. Pokazał jej obraz za dziesięć milionów dolarów, objaśniając jej, że jest to dzieło wybitnego impresjonisty, które jego doradca poradził mu kupić.

- Bardzo ładny - skomentowała. - Ale czy nie mogłeś sobie pozwolić na Moneta?

Potem podeszła do półki z książkami i przyglądała się przez chwilę.

- Tutaj widać, jakie są prawdziwe zainteresowania Douglasa Kincaida - oznajmiła, dotykając czubkiem palca grzbietów. - Biografie twardych facetów, którzy zarobili mnóstwo pieniędzy.

- Taak, jestem prawdziwym potworem - zawarczał. - Zobacz książki z dziedziny psychologii na drugiej ścianie. Moja ulubiona to ta: „Ja jestem w porządku - ty jesteś biedny”.

Przeszli teraz do kinoteatru na 50 miejsc. Zaznaczył, że posiada koncesję na sprzedaż wina. Zabrał ją też do największej z sal bankietowych, tak żeby mogła podziwiać szklany stół i plecione krzesła dla stu osób. Sprowadził ją na dół, do wielkiego holu biegnącego przez całą szerokość domu,

w nadziei, że zaimponuje jej okazem rzadkiej papugi, wrzeszczącej na powitanie ze złotej, wysadzonej drogimi kamieniami klatki i czyszczącej sobie pióra w promieniach słońca wpadającego przez łukowate okna.

- Co za miły dom - zauważyła Elgive. - Dla mężczyzny, który nie ma żony ani dzieci, które mogłyby mu dotrzymywać towarzystwa...

- Do diabła z miłym towarzystwem - odpalił. - Mam ciebie.

Wyprowadził ją na dwór i obwiózł po wyspie jednym z bielutkich jeepów, pokazując sztuczną lagunę z wodospadem, kolorowy ogród, skąpany w tropikalnym słońcu, kępy palm kokosowych rosnących wzdłuż plaży, domki dla gości i baseny.

Zaciekawiły ją tylko kozy i krowy, pasące się na pięknym górzystym zboczu.

- Potrzebujesz trochę owiec, Douglas - zauważyła. - Żeby trzymać w szachu tropikalną roślinność.

Był rozzłoszczony i zdumiony. Jechali jeepem drogą okalającą tarasowate wzgórza, obsadzone młodymi drzewkami owocowymi. Po kwadransie zaparkował przy małej zatoce, gdzie w doku stał zakotwiczony trzymasztowy jacht i inne mniejsze jednostki pływające.

Czytała na głos nazwy na ich burtach: „Nagroda Kincaida”, „Zwycięstwo Kincaida”, „Wielka Umowa Kincaida”, „As Kincaida”. Następnie powiedziała półzartem.

- Czy zamierzasz wygrawerować swoje imię na mojej burcie?

- Tak - odparł. - To będzie „Wielka Pomyłka Kincaida”.

Zaśmiała się.

Kiedy powrócili do willi, postanowił się nie odzywać.

- Gorąco? - zapytał z diabelskim zadowoleniem, widząc jak szarpie kołnierz swego czarnego wełnianego swetra.

Kasztanowate kędziory wymknęły się spod przepaski i przyłgnęły do czoła. Była zgrzana, wyglądała piekielnie seksownie, ale wiedział, że czuje się fatalnie. On sam aż gotował się w ciepłym swetrze, ale teraz za nic nie przyznałby się do tego.

- Trochę gorąco, tak - przyznała i unosząc jedną brew powiedziała: - Nie pozwoliłeś zabrać mi ubrania. W czym będę chodzić?

- Przez większość czasu będziesz naga, a więc nie ma sprawy.

Zesztywniała. Jej dumny wzrok wyrażał wzgardę.

- Nie zrobisz chyba parodii z tych pięknych uczuć, które się nam przytrafiły?

- Jak miałbym to zrobić?

Wytrzymała jego spojrzenie, nie podejmując wyzwania.

- Na przykład możesz kazać mi pójść do łóżka, tylko na złość. Po to, żeby pokazać, że muszę robić wszystko, czego sobie życzysz.

Z trudem opanował się, by jej nie porwać w objęcia, tak bardzo chciał zderzyć z jej twarzy wyraz znużenia i klęski. Odezwał się szorstko:

- Co by nie było, to stanie się jedynie to, czego ty sama będziesz chciała - dodał z wyraźnym niesmakiem. - Myślałaś, że zamknę cię w sypialni i będę ci rozkazywał? Myślisz, że byłbym do tego zdolny?

Pokręciła głową.

- Ale znasz znacznie więcej subtelnych sposobów, by uzyskać to, co chcesz. Nie trzeba mocno ścisnąć kobry, jeśli się wie, jak z niej wydobyć muzykę.

Douglas patrzył na nią zmieszany.

- Nie mam szczęścia. Miałem już całą masę strasznych squaw.

Położyła mu dłonie na ramionach i patrzyła z napięciem prosto w oczy.

- Co chcesz ode mnie, Douglas? Czego się po mnie spodziewasz?

- Przestań udawać, że cię mierzi luksus. Spuść z tonu. Pozwól sobie zaimponować. Daj mojemu życiu szansę.

Patrzyła zaszokowana.

- A potem?

- Gdy uzyskam prawa do posiadłości MacRothów, porozmawiamy na temat „a potem”.

- Mógłbyś przecież kupić posiadłość natychmiast, gdybyś tylko chciał. Pozostały ci całe dwa tygodnie.

- Bądź taka miła i przestań zadawać głupie pytania! Tylko tyle bym chciał! Przestań pytać!

- Ale...

- Kobieto, ty mogłabyś psa doprowadzić do tego, żeby gryzł swój własny ogon!

- Twoje pokrzykiwania są bardzo szkockie.

- Ani słowa o moich szkockich przodkach! Położyła dłonie na biodrach.

- Czy zawsze krzyczysz na swoich gości? A może wszystkie kobiety przyjeżdżały tu po to, byś mógł się wykrzyczeć?

- Tak. Przyjeżdżały tuzinami. Same blondynki. Wszystkie...

- Filigranowe. To oczywiste - zaśmiała się po łobuzersku, jakby wiedziała coś, czego nie chciała wyjawić.

Douglas był wyraźnie niezadowolony, chwycił ją za rękę.

- Ruszaj, laleczko. Obejrzymy pokaz mody.

- Pokaz mody? - zapytała, gdy ciągnął ją już w drugą stronę. - Ale dlaczego?

- Żadnych pytań!

Zachowywał jakoś przewagę w takich sytuacjach. Jak na razie. Kontrola nad nią powoli zaczynała mu się wymykać.

Elgive przyglądała się sobie zdumiona. Ubrana była w białą, lekką bluzę, która cudownie chłodziła jej rozgrzaną skórę. Pokojówka w różowym mundurku przyniosła jej ubranie do jej uroczego pokoju, którego ściany i umeblowanie utrzymane były w pastelowych kolorach. Na zewnątrz, za rzędem żaluzji, był taras z fontanną pośrodku. Z daleka dochodził szum fal, uderzających o plażę. Mała małpka przykucnęła na drążku, tuż koło kępy smukłych, ozdobnych krzewów.

Pokojówka, sympatyczna drobna kobieta, mówiąca z wyraźnym hiszpańskim akcentem, zaprowadziła Elgive do sąsiedniego pokoju i pomogła jej się przebrać w ten przewiewny strój. Naga, okryta tylko przezrzystą tkaniną, Elgive patrzyła żałośnie za wynoszącą stare ubranie pokojówką. Budziło się w niej uczucie tęsknoty.

Teraz jednak, siedząc w głębokim wiklinowym fotelu, z bosymi stopami opartymi o jedwabne poduszki, była trochę zaintrygowana. Trzymała w ręku kryształowy pucharek wypełniony lodem i wodą mineralną, uwieńczony kunsztownie wyciętą skórką pomarańczy. Spojrzała na Douglasa, który zamienił wełniany sweter na białą bluzę przyniesioną przez lokaja.

Tylko Douglas Kincaid mógł wyglądać jak prawdziwy mężczyzna w tym dziwnym stroju.

Rozłożył się wśród niebieskich poduszek na wiklinowym szeszlunku. Bose stopy, smukłe, kształtne, choć niezbyt małe, jak on cały, skrzyżował w kostkach. Pił ze swego pucharka, wzdychając z rozkoszą, przeciągnął ręką po rozwichrzonych czarnych włosach. Przywodził Elgive na myśl sułtana, z zadowoleniem oczekującego na swój harem.

I wpatrywał się w nią, jakby była jego najpiękniejszą hurysą.

- Co teraz? - zapytała i ugryzła się w język. - Och, przepraszam. Żadnych pytań.

- Wygodnie ci? Skinęła głową.

- Dobrze. Jak tylko skończysz swoje „małe zadanie”, możesz wziąć prysznic lub pomoczyć się we własnej wannie. - Widząc jej uniesione w zdumieniu brwi, dodał: - Masz własne pokoje, sąsiadują z moimi.

- To miło z twojej strony, Douglas. Ale co oznacza to „małe zadanie”?

Na stoliku obok jego szezlonga zabrzączał telefon. Przycisnął guzik.

- Tak?

- Monsieur K., wszystko gotowe.

- Elgive opuściła stopy na podłogę, wyłożoną delikatną, jasną mozaiką. Od strony wejścia z holu wmaszerowała korpulentna kobieta w białym kostiumie ozdobionym czerwoną lamówką. Obcasy jej białych szpilek stukały o podłogę. Była brunetką. Nosiła krótką, modną, asymetryczną fryzurę, włosy z jednej strony zachodziły na kark, z drugiej sięgały zaledwie górnej krawędzi ucha.

Jej makijaż był staranny i nadawał jej twarzy interesujący wyraz, a biżuteria składała się z kilku klejnotów, wyglądających na bardzo cenne. Przed sobą trzymała biały notes i złoty długopis.

Podeszła do Elgive i wyciągnęła rękę.

- Witam, madame. Jestem Gerta Duval, osobista sekretarka monsieur K.

Elgive podała jej dłoń. Kobieta miała zdecydowanie męski uścisk. Przez sekundę Elgive miała ochotę zaproponować jej odwiedzenie pubu w Druradeen, by mogła się zmierzyć z lokalnym mistrzem na rękę, Timothyem Kerrem. Elgive

odwzajemniła uścisk, patrząc prosto w wyniosłą twarz Gerty Duval. Gerta spojrzała na nią z wyraźnym szacunkiem.

- Widziałem bardziej przyjazne uściski pomiędzy chłopakami, którzy gotowali się do zrobienia z siebie marmolady w ringu - zauważył sucho Douglas. - Macie jakiś problem?

Gerta cofnęła się.

- Monsieur, proszę mi wybaczyć. Ale obawiam się, że lojalność nie pozwoli mi zapomnieć, iż właśnie ta lady pana porwała.

- Doceniam osoby tak lojalne - odparła jej szczerze Elgive. - Nie powinnaś mnie jednak potępiać, nie znając powodów, które...

- Później - zniecierpliwił się Douglas. - Gerto, ona naprawdę miała ważne powody. Wierz mi. A teraz, czy powiadomiłaś sztab?

- Tak. Wszyscy przybędą w nocy, monsieur.

- Dobrze. Spotkam się z nimi jutro rano o dziesiątej. Chcę mieć informacje od wszystkich. Wracam do interesów. A tymczasem zobaczmy, jakie cudenka przygotowałaś dla mojej porywaczki.

- Przygotowałam wszystko od bielizny po stroje oficjalne, monsieur. Także biżuterię, jak pan sobie życzył.

- Jesteś niezwykła, Gerto. Dziękuję.

- To nic wielkiego, monsieur. Cieszę się bardzo, że powrócił pan cały i zdrowy.

Elgive przyglądała się Gercie. Sekretarka, tak jak Kash Santelli, okazywała Douglasowi szacunek bez cienia strachu i przyjaźń bez śladu służalczości. Jeśli Douglas był typem mężczyzny, który zasługiwał na takie uwielbienie, jak mógł stać się człowiekiem, który zabrałby dom jej przodków?

Kochała go i mogła jedynie mieć nadzieję. Ale co teraz zamierzał zrobić?

Ziewnął.

- Okay, Gerto, co najpierw?

- Stroje kąpielowe, monsieur.

- Hmm. To mój faworyt, oczywiście zaraz po bieliźnie - zrobił aluzję, spojrzenie jego ciemnych oczu było kpiące i żartobliwe. - Wybierz, cokolwiek zechcesz, szprotko. Albo weź wszystko.

Gerta zaklaskała w dłonie. Modelka weszła do pokoju, ubrana w bikini, najskromniejsze z odważnych. Elgive przełknęła ślinę z zażenowaniem i skierowała na Douglasa aroganckie spojrzenie.

- Jakieś złe лихо skurczyło ten kostium w praniu. Jest zauroczony.

- Myślałam, że madame woli ten rodzaj pokazu - wyjaśniła grzecznie Gerta.

Elgive uśmiechnęła się krzywo.

- Tej nocy, kiedy porwano twojego pracodawcę, madame była w przebraniu. Normalnie madame nie pokazuje swoich kokosów wszem i wobec.

- Następny model - powiedział Douglas, powstrzymując śmiech.

Następne bikini było jeszcze skromniejsze - zaledwie nieco więcej, niż tasiemki i wąskie trójkąty czerwonej tkaniny. Elgive westchnęła głęboko, usiłując zatuszować rumieniec, który wypłynął na jej policzki.

- Nie mogę tego nosić - zwróciła się do Douglasa. - Moja biedna dziewczęca skóra opaliłaby się w miejscach, których nie jestem sobie nawet w stanie wyobrazić.

- Ale ja mogę - powiedział frywolnym tonem.

- Musiałam źle ocenić smak madame - ośmieliła się odezwać Gerta.

Elgive złożyła ręce na łonie i popatrzyła na sekretarkę Douglasa zimno i wyniośle.

- Zważywszy na okoliczności, mogę zrozumieć, że mnie nie darzysz sympatią. Ale daj mi, proszę, szansę rehabilitacji podczas występów dłuższych niż parogodzinne.

Gerta była zdezorientowana.

- Może bardziej spodoba się następny model.

Weszła trzecia modelka, ubrana w pancerz z niebieskiego błyszczącego materiału. Pomimo iż był to ten rodzaj kostiumu, który przylegał do każdej wypukłości, to w porównaniu z poprzednimi był wręcz staroświecki. Elgive przytaknęło żywo.

- Ten może być!

Gerta popatrzyła na nią ze wzrastającym zainteresowaniem.

- Ten model jest w pięciu kolorach.

- Daj wszystkie - wtrącił Douglas.

Elgive wypła szybko haust wody mineralnej, usiłując nie patrzeć przy tym na Douglasa. Przyglądał się jej badawczo i nieznaczny, zwycięski uśmiech pojawił się na jego ustach.

- Być bogatym - to może być miłe - mruknął pod nosem. - To może zmienić cały twój światopogląd.

Ach, więc taki miał cel! Zdobyć ją fatalaszkami! Dłonie Elgive zacisnęły się mocniej na pucharaku. Gdyby ją kochał, wiedziałby, że te wszystkie szmatki są zbędne, że nie może jej uszczęśliwić, planując jednocześnie kupno posiadłości MacRothów.

- Nie potrzebuję niczego więcej oglądać - powiedziała, nagle wstając. - To ci w niczym nie pomoże, Douglas. Zatrzymaj sobie swoje ciuchy.

- To nie ciuchy - powiedział zupełnie zbity z pantafyku.

Podłożył ręce pod kolana i pochylił się do przodu, przyglądając się jej jak rozbawiony sułtan, któremu nagle sprzeciwiła się jego pierwsza nałożnica.

- To ma być twoja zemsta? - zapytała. - Kupić mnie i cieszyć się, udowodniwszy swą złotą regułę, że każdy ma swoją cenę?

Nie odpowiedział od razu, przez jego twarz przemknął wyraz winy.

„Czyli tak było” - pomyślała smutno Elgive, i głośno dodała cichym, rozżalonym głosem:

- To nie było możliwe, dałam ci już to, co chciałeś, podczas doświadczenia z samotnością, teraz z kolei chciałbyś zobaczyć, czy jestem zachłanna. Otóż nie.

Jego twarz stwardniała, przyjmując maskę obojętności.

- Nie zachłanna. Raczej realistka. Popatrzyła na Gertę, która w zamyśleniu marszczyła nos.

- Możesz mnie zaprowadzić do moich pomieszczeń? - poprosiła Elgive.

Douglas podniósł brwi. Gerta zmieniła wyraz twarzy.

- Monsieur K?

- W porządku. Idź na razie - jego ciało było napięte, gdy patrzył na Elgive. - Niech pokojówka zanieś całą garderobę do twojego pokoju. Możesz ją nosić lub chodzić nago. W końcu nie moja sprawa.

- Oczywiście, nie jest twoją sprawą czyjaś duma, martwisz się jedynie o siebie - cicho powiedziała Elgive, dławili ją łzy rozczarowania. - Potrafisz dawać jedynie wtedy, kiedy służy to twoim celom, Douglas, to zaś nie jest tym, czym dawanie być powinno.

Opuściła pokój. Gerta pośpieszyła za nią. Elgive usłyszała brzęk tłuczonego kryształu i wyobraziła sobie Douglasa ciskającego pucharek o ścianę.

- O la la, nigdy przedtem tego nie robił - zauważyła cicho Gerta. Zawahała się, po czym dodała, jakby mówiąc do siebie:
- Może nadszedł czas. Faktycznie może pani ma rację, madame.

- Mam na imię Elgive.

- A ja - Gerta. Opowiedz mi, skąd tak dobrze znasz monsieur K?

Elgive zatrzymała się. Wokół niej w luksusowym holu fruwały papużki, a tropikalne rośliny pochylały ku niej piękne kwiaty, obiecując krainę wspaniałą i nieprawdziwą, jak wszystkie te, którymi rządzą skrzaty.

- Rozumiem go, ponieważ potrzebuje moich baśni, tak samo jak ja - powiedziała Gercie, z lekkim autoironicznym uśmiechem. - Ciekawe, czyje baśnie przetrwają.

- Jak długo znasz Douglasa? - Elgive zapytała Kasha Santelli.

Odstawił swoją szklanę i przyglądał się jej poprzez wystawiony na zewnątrz długi stół, zastawiony porcelaną i srebrem. Przyszedł zapytać, czy śniadanie było takie, jakie powinno.

Podejrzewała, że zgodził się usiąść, bo było mu jej żal. Elgive spędziła bezsenną noc. Ani paryskie ekstrawagancje, ani najszczerze chęci pokojówki nie były w stanie zmienić jej nastroju. Wyglądała żałośnie.

- Pracuję dla niego, odkąd skończyłem Harvard, to jest od sześciu lat - odparł melodyjnym głosem egzotycznie wyglądający mężczyzna. - Przedtem, owszem, mieszkałem w posiadłości Audubona w Wirginii, od dziesiątego roku życia. Widywałem więc Douglasa przy wielu różnych okazjach na przestrzeni tych lat. Można by powiedzieć, że znałem go prawie zawsze.

Uśmiechnął się, kiedy w widoczny sposób starała się pohamować ciekawość. Jego czarne oczy ani na chwilę nie straciły badawczego wyrazu. Podejrzewała, że nie traciły go nigdy.

- Kiedy miałem dziesięć lat, Douglas i Audubon wyciągnęli mnie z burdelu w Wietnamie - powiedział Kash. - Byli podówczas w armii amerykańskiej.

- Rozumiem - Elgive pochyliła głowę i bezmyślnie przesuwała ciężki, solidny widelec ku talerzowi pełnemu owoców. Starła się ukryć zawód: „Burdel. Douglas poszedł do burdelu.”

- On i Audubon szukali wtedy swego przyjaciela - opowiadał dalej Kash.

Podniosła głowę i zauważyła, że patrzy na nią z ciekawością. Elgive westchnęła i oparła widelec o talerz.

- Nie musisz uważać mnie za naiwną. Nie myśl, że mnie to zabolowało.

- Dlaczego nie? We mnie budzi to obrzydzenie. Wstrętem przejmuję mnie myśl o ludziach zmuszonych do sprzedawania siebie i swoich dzieci - widząc jej zdziwienie, skinął spokojnie głową. - Moja matka umarła zaraz po moim urodzeniu. Była prostytutką. Pół - Wietnamka i pół - Egipcjanka - zaśmiał się boleśnie. - Ta historia musi poczekać na następną okazję. Mój ojciec był Amerykaninem - nie był żołnierzem, ma się rozumieć. W chwili wojny miałem dziesięć lat. Ale jednak był Amerykaninem. Douglas i Audubon zlitowali się nade mną, tak myślę. Wyszmyglowali mnie z Wietnamu.

- Czyli dorastałeś w burdelu - zaryzykowała poruszona Elgive, w żołądku poczuła skurcz.

Jego czarne oczy wytrzymały jej spojrzenie.

- Tak. I pracowałem w burdelu. Dla wielu dzieci w biednych krajach los jest okrutny, Elgive. Szczególnie dla ładnych małych chłopców.

Elgive podniosła do ust szklankę wody i przełknęła, z trudem zachowując spokój. Nie udało jej się. Stuknęła szklanką o blat i chwyciła dłoń Kasha.

- Przeklinam ludzi, którzy krzywdzą małe dzieci! Mam nadzieję, że znalazłeś szczęścia, które zatarło te straszne wspomnienia. Mam nadzieję, że masz kobietę, która cię kocha i rozumie.

Patrzył na nią zaskoczony tym wybuchem.

- No cóż, miałem wiele kobiet, które mnie rozumiały. Ale, niestety, nie wydaje mi się, żebym mógł powiedzieć, że miłość jest dla nich najważniejsza.

Elgive puściła jego dłoń i zaczerwieniła się.

- Och! Wybacz mi, proszę. Byłam niedyskretna. Przepraszam.

Jednak jego oczy rozbliły się ciepłem.

- Rozumiem teraz, dlaczego Douglas traktuje cię w szczególny sposób - powiedział miękko. - Jesteś naprawdę dobra i troskliwa.

- Nie chciałam cię urazić.

- Nie uraziłaś. Poza tym nikt nie jest w stanie odgadnąć, kiedy się czerwienię - jego oczy błysnęły, kiedy robił tę aluzję do swej miodowej cery. - Azjata. Na wszelki wypadek powiem ci: moje pełne nazwisko brzmi James Kashadlan Yung Santelli. Wielokulturowe, prawda? Wietnamsko - egipska matka z Sajgonu i włosko - amerykański ojciec z New Jersey.

Elgive oparła głowę na rękach. Dowiedziała się o życiu Douglasa rzeczy wyjątkowych, nigdy nie mogła się tego spodziewać.

- Czyli Douglas i Audubon postarali się, żeby twoje życie w Ameryce było lepsze?

- Tak. Douglas zapłacił za moją naukę na Harvardzie. Audubon był cudownym ojcem, on nie ma rodziny. Kincaidowie są moją rodziną. Przyjęli mnie do wspólnoty.

Elgive zaśmiała się sucho.

- Możesz więc uważać się za Szkota.

- Za co, przepraszam?

- To taki mały spór między mną a Douglasem. Nieważne - powiewała niezdecydowanie trzymaną w palcach serwetką. - Jaki był Douglas wtedy, gdy jeszcze nie wiodło mu się tak dobrze?

- Taki sam jak dzisiaj. Zawzięty. Energiczny. Zawsze miał mnóstwo planów. Potrafił skłonić ludzi do tego, żeby realizowali najlepszą część samych siebie, a jednocześnie oczarować ich tak, by robili dokładnie, to co jemu było potrzebne. Było mu to niezbędne, aby mógł przetrwać w świecie wielkiego biznesu. Po powrocie z wojska za swoje niewielkie oszczędności kupił w Chicago sklep spożywczy w okropnej dzielnicy.

Walczył z gangami ulicznymi, z handlarzami trawką i w ogóle ze wszystkimi innymi wrednymi typami, jakich tylko sobie możesz wyobrazić, ale sklep funkcjonował. Stał się nawet dochodowy. Stopniowo wykupił i odnowił inne budynki na tej samej ulicy. Przez pięć lat przemienił slumsy w tej okolicy w bezpieczne i czyste miejsce do życia. I zarobił przy tym mnóstwo forsy. Kash przerwał na chwilę, po czym dodał:

- Musisz wiedzieć, że większość projektów Douglasa służyła takim właśnie dwóm celom. Pewnie, że zarabiał, ale też starał się, by innym było lepiej.

Elgive patrzyła na niego, czując się niezbyt pewnie.

- Czy wiesz coś o domu starców, który kupił parę lat temu? O tym, który zburzył, żeby zbudować na tym miejscu parking? W prasie amerykańskiej były różne brudne pomówienia. Pisano, że wielu starców poumierało na skutek przymusowej przeprowadzki.

Kash skinął głową.

- Ten dom był wstydem. Starzy ludzie cierpieli w nim. To prawda, że Douglas chciał mieć ten plac, ale prawdą jest też,

że wiele lat wcześniej jego ojciec umarł w tym domu na skutek przedawkowania lekarstwa podanego mu przez pijanego ordynatora. Jego ojciec był sparaliżowany po urazie na ringu bokserskim, gdy Douglas był jeszcze dzieckiem.

- Wiem o tym - Elgive przyłożyła rękę do szyi. - Ale nie wiedziałam, że umarł w tak straszny sposób.

- Z tego, co Douglas mi powiedział, wiem, że ojciec jego był zbyt nieporadny, by pozostawać w domu. Rodzina nie miała jednak pojęcia, iż umieszcza go w zakładzie, który jest fatalnie prowadzony.

- Więc po latach Douglas kupił go i zamknął.

- Tak. Zaś pacjentów poumieszczał w o wiele lepszych miejscach. Napięcie z powodu przeprowadzki było czymś niemożliwym do przewidzenia. Douglas był przerażony tym, co się stało.

- Nie bronił się jednak.

- Nie, nie mógł bronić się wtedy, kiedy oznaczałoby to dyskusowanie o jego ojcu. Jest bardzo dyskretny, jeżeli idzie o sprawy osobiste. A sprawy rodziny stawiał zawsze na pierwszym miejscu.

- O ile chodzi o jego rodzinę.

Przyglądała się morzu i ogrodowi, i małym wystającym z lasu domkom z czerwonymi dachami, położonym poza terenem głównym, na zboczu wzgórza. Kupi majątek MacRotha i obróci go w szkocką wersję tego raję. Będzie tam miał kawałek dla siebie, tak jak i tutaj. Nie był zły, tylko nie umiał nigdy nikomu zaufać.

- Wniosłaś w jego życie coś nowego - powiedział Kash po namyśle. - Może teraz zechce zmienić swe życie - zerknął na złoty płaski zegarek na rękę. - Ale w tej chwili rozpoczyna się jeden z jego maratonów. Mówię o jego konferencjach. Muszę iść - wstał. - Wątpię, żebyś zobaczyła Douglasa dzisiaj. Ma mnóstwo zaległych spraw ze względu na jego niezwykłą i,

ośmielę się powiedzieć, potrzebną mu bardzo, niedawną przerwę.

Elgive uśmiechnęła się przez łyzy.

- Dziękuję, Kash. Dam sobie radę. Dziękuję ci za wszystko.

Dotknął jej ramienia.

- Chwile przełomowe w życiu są czasem niezauważalne. Miej cierpliwość.

Zostawił ją samą w ten uroczy poranek, z myślami przepełnionymi Douglasem, tajemniczym mężczyzną, którego pokochała tak niespodziewanie.

Po dwóch dniach nieprzerwanej nasiadówki i dziesiątkach telefonów Douglas poczuł, iż odzyskał władzę nad swym rozległym imperium, wliczając w to również sprawę posiadłości MacRothów. Teraz, skłonny do kompromisu, Douglas wstrzymał się z decyzją.

Chciał spędzić choć chwilę z Elgive, chciał usłyszeć jej melodyjny, miły głos, mówiący o jego przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości. Służba informowała go o każdym jej kroku, o wszystkim, co mówiła, wiedział więc, że w tej właśnie chwili czyta książkę po drugiej stronie laguny.

Douglas podążył ścieżką przez bujny ogród, odgarniając na boki gałązki winorośli, ciężkie od purpurowych kwiatów i liście palm, które ocierały się o jego spodnie khaki i białą koszulę. Miał zamiar znaleźć czas na grę w golfa, gdy tylko powstanie kort w pobliżu dworu MacRotha.

Sztuczna, ludzką ręką zbudowana laguna przypominała hollywoodzką fantazję, z pięknymi, ozdobnymi drzewami rosnącymi wzdłuż brzegu. Na jednym końcu szumiał wodospad, spadający po szaro - srebrnych głazach. Wstrzymał oddech, ujrawszy Elgive, siedzącą na skraju wielkiego głazu, wystającego z wody.

Włosy kaskadą czerwieni i złota spływały na jej twarz, podtrzymywane jedynie małymi zielonymi grzebykami. Ubrana była w jaskrawe zielone spodenki, luźne i proste jak spódniczka. Do nich miała białą obcisłą bluzkę i białe sandały. Elgive w obcisłej bluzce i szortach. Zatrzymał się, by się napatrzeć na ten niesłychanie prowokujący widok.

Podniosła oczy i zamarła na chwilę. Powoli zamknęła książkę, oparła na niej swe dłonie z nonszalancją, która obudziła jego podejrzenia.

- Raczysz się jakimiś nowymi legendami? - powiedział wesoło, podszedłszy do niej i przysiadłszy na piętach. Niefrasobliwość znikła, kiedy jego oczy spotkały jej wzrok; radość bijąca z jej oczu zatrzymała go. Był jak zaczarowany. W tej chwili miał ogromną ochotę, by odłożyć na bok tę książkę i przewrócić ją na plecy na ciepłą, gładką skałę. Wyczuwał, że udałoby mu się to z łatwością.

Elgive ocknęła się i zachichotała.

- To przepiękny zakątek, Douglas - wskazała na długi sznur zwisający z konaru nad środkiem laguny. - Przyszedłeś tu, aby udawać Tarzana?

Uśmiechnął się.

- Będąc dzieckiem, chodziłem na farmę dziadka mojego najlepszego koleżki. Mieli tam staw. Nad brzegiem rosło wielkie drzewo, a z jego gałęzi zwisała lina. Uwielbiam to.

- Odtwarzasz tu własne dzieciństwo?

- Nieustannie, szprotko. Przy pomocy większych i lepszych zabawek, niż można się było spodziewać - dotknął lekko jej policzka i ujrzał, jak jej oczy zabłyśły; ledwo ukrywała swoje uczucia. - Wyglądasz wspaniale. Luksus ci wcale nie szkodzi.

- Muszę przyznać, że podoba mi się wanna na balkonie łazienki. Lubię też poranny masaż. Jedzenie, które podaje twój

zarządca jest bardzo dobre. A te ubrania! - popatrzyła na siebie i westchnęła: - Wcale, wcale nie są takie straszne.

Musnął ją czubkami palców po brodzie.

- Czy to ta sama kobieta, która wypadła dwa dni temu z pokoju, oskarżając mnie o to, że usiłuję kupić jej uczucia?

Elgive wzruszyła ramionami.

- Byłam zmęczona i nieco wytrącona z równowagi tym, co zdarzyło się dzień czy dwa wcześniej - patrzyła na niego pogodna i spokojna, poczuł dreszcz. - Skończyłeś konferencję?

- Tak. Stęskniłaś się?

- A wiesz, że tak.

Douglas uśmiechnął się. Widać nadmiernie obawiał się jej wrodzonej dumy. W nocy będzie ją miał w swoim łóżku, a potem już wszystko między nimi zacznie się układać.

Wstał i wyciągnął ramię.

- Może pójdziemy do domu na coctail i kawior? Później możemy zjeść razem obiad. A potem nocna przejażdżka jachtem.

- Z największą przyjemnością, Douglas. Naprawdę.

Wzięła książkę, ujęła go za rękę i wstała. Potem podniosła jego dłoń do swych ust i pocałowała. Uśmiechnął się do niej, rozpluwając się prawie ze szczęścia.

- Ach, El. Będzie wspaniale - nagle wsunął jej pod ramiona swe ręce i podniósł ją do góry.

Ten nieoczekiwany gest spowodował, że upuściła książkę, która spadła, ukazując tytuł: „Słodkie rozmowy - sztuka manipulowania ludźmi za pomocą pieśczoł seksualnych”.

- Och, kochany - powiedziała ciepło. Popatrzył na nią.

- Cholera. Cholera jasna. Psiakrew.

- Książka pochodzi z twojej biblioteki.

- Nigdy jej nie czytałem. Dostałem w prezencie. Może mi powiesz, czego jeszcze się z niej nauczyłaś?

Mieliśmy odgrywać sceny łózkowe później, tak żebyś mnie mogła znowu omotać?

Potrząsnęła głową i oczy wypełnił jej smutek. Ale twarz przybrała twardy wyraz.

- Puść mnie, gburze. Próbowałam jedynie zwalczyć ogień ogniem. Nie powinno cię to zaskakiwać.

- Zwalczaj ogień wodą, laleczko - stanął na brzegu głazu i pchnął ją w lagunę. Jego gniew nadał pchnięciu taką siłę, że poszybowała aż na środek, zanim wpadła do wody.

Wpadając, chwyciła za koniec liny, do której się uczepiła kurczowo. Odrzuciła w tył włosy i posłała mu przeszywające spojrzenie. Douglas skrzyżował ręce na piersi.

- Przeprós - rozkazał krótko.

Była tak wściekła, że cudem tylko woda wokół niej się nie zagotowała. Jedną ręką burząc wodę, a drugą szarpiąc sznur, posłała potok gaelickich słów, a na pewno nie były to słowa przeprosin.

- Czekam w domu, przyjdź kiedy już będziesz mnie w stanie przeprosić - oznajmił.

- Idź, idź! A wstrzymaj oddech, dopóki nie przyjdę!

- Pa, pa, laleczko.

Udał się do domu, zaszył w swych pokojach, obserwując przez panoramiczne szyby balkonu, znajdujący się poniżej ogród. Godzina minęła, a jej ciągle jeszcze nie było.

Douglas, rozczarowany i zniechęcony, powlókł się do swego kinoteatru i nastawił sobie stary gangsterski film. Następnie opadł na fotel w ostatnim rzędzie i zamknął oczy. Jeśli chodziło o Elgive, to ona na pewno była wrogiem społeczeństwa numer jeden.

Ze swego miejsca pośrodku laguny Elgive podziwiała zachód słońca. Wyczerpał się już gwałtowny atak wściekłości i zaczynała się bać. Trzęsąc się, patrzyła nerwowo na głęboki basen i burzliwy wodospad. Jej wzrok przeszukiwał zarośla

wokół głazów. Miejsce było osłonięte; czuła się nieswojo, patrząc na gęstniejące cienie.

W dalekiej Szkocji starsi ludzie powiedzieliby, że w dzień lichy w takich miejscach śpi, w nocy poluje, a oślizgły, zielony „kelpie”, upiór ze strasznymi zębami... Nie, nie, nie będzie samej siebie straszyć takimi bzdurami.

Popatrzyła w dół. Koniec sznura pływał w wodzie koło niej. Elgive okręciła go sobie pod pachami, zawiązując tak, by jej ręce mogły odpocząć. Ktoś ze służby będzie tędy w końcu przechodził, może rano. Zawoła o pomoc. Jeśli lichy nie porwie jej do tej pory.

Elgive była zła na siebie. Dałaby się raczej pożreć duchom, niż powiedzieć Douglasowi, że nie umie pływać.

Rozdział 9

Douglas uważał, że jego apartament powinien być miejscem przeznaczonym dla jego osobistych przyjemności. Nigdy tam nie pracował; nie umieścił tam faxów, komputerów, telewizorów wyświetlających informacje o notowaniach giełdowych i ciekawych interesach.

Wykończenie apartamentu było gładkie i proste; czarny lak i przydymione szkło - drogo i elegancko. Półki przepełnione były gramami, lekturą rozrywkową i całymi tomami krzyżówek. W głównym pomieszczeniu stał stół bilardowy, tarcza do lotek, gry video i wielki ekran telewizyjny, otoczony pluszowymi kanapami. W oddzielnym pokoju znajdował się kompletny profesjonalny zestaw do ćwiczeń, przez drugie drzwi wchodziło się do kuchni.

W łazience, którą należałoby raczej nazwać pokojem kąpielowym, znajdowała się ogromna wanna, na dnie widać było abstrakcyjne malowidło w spokojnych pastelowych kolorach. Obok stały łóżka, spowite w czarne jedwabne prześcieradła i satynowe przykrycia w czarny wzór, odcinający się wyraźnie od białego tła. Na podłodze z połyskującego czarnego marmuru leżały białe dywaniki tak puszyste, że pazury Sama chowały się, kiedy po nich biegł.

Douglas siedział na środku łóżka, ubrany w luźny, czarny jedwabny szlafrok. Spoglądał na srebrny zegar. Wybił jedenastą. Douglas był nieszczęśliwy. Elgive najprawdopodobniej spała słodko w swym apartamencie, marząc o nowych podbojach.

Niezdolny do zachowania spokoju ani przez sekundę dłużej, wstał i otworzył szklane drzwi swego apartamentu. Nocny powiew wtargnął do wnętrza, przynosząc ciężki zapach morza i ogrodów. Rozgniewany przemierzał wielki balkon długimi krokami, jego własny cień gonił za nim w świetle księżyca.

Do diabła z niezdecydowaniem! Teraz uruchomi swych ludzi, by zajęli się przejęciem majątku MacRothów. Od jutra Elgive może przestać mieć nadzieję na kompromis. Będzie w nienajlepszej sytuacji; on będzie właścicielem majątku i, jeśli chciała w tym uczestniczyć, to powinna skończyć ze swymi schematami i spojrzeć na sprawy tak jak on.

Jak jednak miała utrzymać ten swój cholerny dom? Ona i jej brat nie mieli żadnych pieniędzy; wszystkie rodzinne uczucia świata nie były w stanie podtrzymać walącego się dachu w głównym budynku ani odnowić pokoi, które czekały na to od lat dwudziestu. Czego nie chciała bardziej: czy tego, żeby on przejął posiadłość i nią się zajął, czy też żeby wszystko się zawaliło?

Pomrukiwał ponuro. Żadnego więcej odwlekania. Bez tych bzdur o krewnych powinna się uspokoić. Miał zrobić dobry biznes na tym w jedyny znany mu sposób - pobierając opłaty.

Wewnątrz dyskretnie zadzwonił dzwonek. Douglas podszedł do domofonu i pstryknął przełącznikiem.

- Tak?

Był to Kash.

- Gerta i ja musimy się z tobą zobaczyć. To ważne - głos Kasha brzmiał dziwnie, prawie obcesowo.

Douglas wskoczył w czarne spodnie od pidżamy i przewiązał ściślej szlafrok. Po minucie otworzył imponujące czarne drzwi i wpuścił swych współpracowników do pokoju. Gerta, ubrana w prostą suknię, podobną do długiej koszuli, zmarszczyła na jego widok brwi; Kash ubrany w białe spodnie i biały pulower, wydawał się zaskoczony i zły. Włosy opadały mu na ramiona w potarganych, nierównych kosmykach koloru onyksu.

Douglas przyglądał się im zaniepokojony.

- Co się stało?

Kash przemówił pierwszy.

- Nigdy nie spodziewalibyśmy się po tobie, że pozwolisz swoim frustracjom zamienić się w żaloszny rewanż. To nie w twoim stylu, Douglas. Nam się to nie podoba.

Ramiona Gerty były sztywne, a dłonie zaciśnięte.

- To co pan zrobił, doprawdy mnie rozczarowało, monsieur K. Wiem, że Elgive MacRoth przysporzyła panu kłopotów, ale widziałam też, jak obcesowo ją pan potraktował. Rozmawiałam z nią wiele przez te dwa dni i zapoznałam się z jej punktem widzenia. Robi pan błąd, zabierając jej posiadłość, monsieur - Gerta z trudem panowała nad sobą i jej głos przybrał nieco na sile. - Natomiast pozostawienie jej w lagunie, wiedząc, że nie umie pływać, jest już wręcz niegodziwością.

Niedobre przeczucie targnęło Douglasem.

- Co takiego? Nie umie pływać? - chwycił Gertę za ramię.
- Co się stało? Gdzie ona jest?

Gerta i Kash okazali zdumienie.

- W swoim apartamencie - szybko odpowiedział Kash. - Nic jej nie jest. Poszedłem na spacer przed snem i znalazłem ją w lagunie.

Douglas był już w drzwiach. Gerta i Kash zagrodzili mu drogę.

- Ona śpi - powiedziała Gerta. - Monsieur, proszę pana, ona była zdenerwowana i zmęczona. Proszę jej nie niepokoić dziś w nocy. Teraz nic jej nie jest. Dzwoniłam do szpitala i załatwiłam z Niną, żeby przysłali lekki środek uspokajający. Ona śpi, proszę...

Douglas popatrzył na Gertę i Kasha.

- Znalazłeś ją wiszącą na sznurze w wodzie? Kash skinął głową.

- Zawiązała się liną. Miała tylko skurcz mięśni od przebywania w zimnej wodzie przez tyle czasu.

- Mogła utonąć! Mój Boże, utonęłaby! Dlaczego mi tego nie powiedziała? - przesunął dłonią po włosach. - Nie wiedziałem! Czy ona powiedziała wam, że kiedy ją tam zostawiłem, wiedziałem, że ona nie umie pływać?

- Powiedziała, że wpadła do wody przez przypadek - odpowiedział spokojnie Kash. - Ale ja wyczułem, że coś zataiła. Nie jest gwiazdą w ukrywaniu prawdy. Jeden ze strażników pomógł mi ją przenieść do domu. Wspomniał, że widział cię wieczorem, wracającego znad laguny. Zauważyłem w oczach Elgive coś, co mnie zaniepokoiło. Ostatecznie przyznała, że to ty ją wrzuciłeś do wody.

Douglas opadł na krzesło.

„Mogłem ją zamordować” - pomyślał tępo. - Powiedziała, że wiem, iż ona nie umie pływać? Gerta odchrząknęła głośno.

- Nie. Powiedziała, że nie można cię winić, ale dała do zrozumienia, że nie poruszy tego tematu. Wyciągnęliśmy własne wnioski.

- Ta lady nie jest kimś, kto się użala przed obcymi - wyjaśnił Kash. - Przepraszam, jeśli Gerta i ja przesadziliśmy, ale poznaliśmy trochę Elgive i wywnioskowaliśmy, że jest taką kobietą, która będzie chroniła twój honor. Była bardzo despotyczna i życzyła sobie bardzo wyraźnie, żebyśmy ci nic o całym incydencie nie mówili. Ale my uznaliśmy, że nie możemy tego tak zostawić.

Gerta skurczyła się.

- Podejrzewam, że za bardzo się wtrącamy, monsieur K. Przepraszam, że zwątpiłam w pana.

- Tak - zawtórował Kash. Douglas potrząsnął głową.

- Nie przepraszajcie. Niemalże jej nie zabiłem. Mój Boże, co się ze mnie zrobił za tyran? Co za głupia duma. Sprowokowałem ją. Mogła mi powiedzieć, że nie umie pływać, ale uniemożliwiłem jej powiedzenie, że potrzebuje pomocy.

- Nic jej nie jest - powtórzyła Gerta łagodnie. - Rano może jej pan powiedzieć, jak bardzo pan przeżył ten incydent. Ale proszę, niech pan nie próbuje zobaczyć jej dziś w nocy. To jedynie pogorszy sprawę.

- Mogła się utopić - Douglas złapał się rękami za głowę. - Dziękuję, że mi o tym powiedzieliście. Idźcie proszę. Muszę się zastanowić.

Kash dotknął jego ramienia, wyrażając tym niemym gestem wsparcie, po czym oboje wyszli. Douglas zdrętwiał, wyszedł na zewnątrz i stał długo w świetle księżyca, kierując wzrok ku balkonowi Elgive. Uczucia targały nim jak tornado. Kolana zrobiły się nagle jak z gumy i musiał złapać się za poręcz, aby nie upaść.

Uświadomił sobie teraz, że z całą pewnością wolałby sam umrzeć, niż pozwolić, by jej się coś stało.

Elgive powoli otworzyła oczy, zamroczone trochę pigułką, którą jej dała Gerta. Mrugała oczami, marszczyła brwi w ciemnościach, nie wiedząc, co kazało się jej obudzić. Nakryła się chłodnym jedwabnym prześcieradłem i podciągnęła trochę zbyt wyciętą koszulę nocną. Patrząc na zegarek na stoliku nocnym, zorientowała się, że spała już od wielu godzin.

Wyciągnęła nogi i poczuła coś dużego. Coś w rogu jej łóżka. Elgive uniosła się na łokciach i zawołała radośnie.

- Douglas!

Wstał, zatoczył się lekko, ruszył do przodu i ostrożnie usiadł za nią. Jej przytępione zmysły poczuły mocny zapach whisky, kiedy pochylił się nad nią, opierając rękę o materac.

- Wypiłeś troszkę za dużo - powiedziała. - Czy też może jest to za słabo powiedziane?

Zachichotał.

- Żebyś wiedziała. Zaprawiłem się równo, szproteczko. Proszę bardzo, śmieję się. Nie przytrafia mi się to zbyt często.

Elgive zaśmiała się miękko. Ludzie mieli skłonność odsłaniać to, co mieli na sercu, w takich warunkach. Jonathan podśpiewywał, Rob stawał się komicznie sentymentalny. Przy tych kilku okazjach, kiedy sama wypijała za dużo, Elgive płakała i czuła się samotna.

Wstrzymała oddech. Co Douglas będzie robił?

Jego twarz pokryta mocnym zarostem była zbyt blisko, żeby było wygodnie, a jej skóra reagowała wyraźnie na tę pełną wymowy ciszę. Drżąc, Elgive położyła się z powrotem. Szukała odpowiednich słów.

- Dlaczego pijesz? - zapytała, najobojętniej jak mogła. - Co cię wytrąciło z równowagi?

- Mogłaś się utopić - jego zamazany głos był żaloszny i niesłychanie łagodny. - Omal cię nie zabiłem!

Elgive zaniemówiła.

- Mieli ci o tym nie mówić. Trzymałam się liny i nic złego mi się nie stało. Moja zatwardziałość nie pozwoliła mi przyznać się przed tobą, że nie umiem pływać. To, co się stało, nie było twoją winą.

- Owszem, było. Zmusiłem cię do walki. To moja wina - słowa, którymi sam się oskarżał, sprawiły, że wlepiła w niego zdumiony wzrok. Jeśli to był prawdziwy Douglas Kincaid, musiała gruntownie się omylić w swej poprzedniej ocenie.

- El, tak mi przykro - dotknął dłonią jej policzka i leciutko pocałował w czoło. Poczowała, że drżał tak jak ona. Oparł swą szyję o jej włosy. Czuła jak jego piersi niespokojnie podnoszą się i opadają.

Była zdumiona i poruszona. Miłość i oddanie zaczęło w niej wzbierać.

- Och, kochanie - wyszeptała łamiącym się głosem. - Co ty robisz?

- Usiłuję poprosić cię o wybaczenie - głaskał jej włosy miękko, nieporadnie. - Przebacz mi, proszę. Nigdy bym cię

nie zostawił w lagunie, gdybym wiedział, że nie umiesz pływać.

Elgive przyłożyła palce do jego ust.

- Czy nie uważasz, że już wiem? Oczywiście, że ci przebaczam - jej oczy napełniły się łzami. - Ty nie możesz pojąć, dlaczego ja nie przestaję z tobą walczyć, a ja nie rozumiem, dlaczego ty musisz mieć kontrolę.

Jej głos nabrał głębokich tonów, stwardniał, zaczęła mówić szybciej:

- Walcz, Douglas, ty i ja nigdy nie dojdziemy do zgody. Kup sobie posiadłość i puść mnie. Ja nie mogę tak z tobą żyć. Za bardzo mnie to rozdziera.

Wziął ją w ramiona i schował głowę w zgięciu jej szyi. Elgive jęknęła, poczuła szarpiący go ból. To nie był Douglas Kincaid, ceniący siebie za umiejętność panowania nad sobą. Ręce jej drżały, kiedy głaskała go po palcach, chcąc go pocieszyć.

- Majątek jest twój. Ja go nie kupię - wymruczał niskim głosem. - Przysięgam.

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza i zaczęła płakać.

- Kochanie, proszę cię, nie mów tak, jeśli to nieprawda. Och, Douglas - głaskała go rozpaczliwie. Jego ramiona zacisnęły się wokół niej kurczowo.

- Przysięgam ci - powtórzył. - Chcę, żebyście oboje, ty i twój brat, mieli to, co wam się słusznie należy. Wiem, ile to dla ciebie znaczy, jak bardzo ważni są dla ciebie ludzie, którzy tam żyją. Byłem po prostu zbyt uparty, by móc przyznać, że czasami uczucia są najważniejsze.

- Och, Douglas - walczyła o kawałek wolnej przestrzeni pomiędzy nimi, jego uścisk pozbawił ją tchu. Łagodnie podniosła jego głowę. Pełna niemożliwych nadziei, pocałowała go głębokim pocałunkiem.

Zdjęła mu z ramion szlafrok i głaskała nagą skórę jego potężnych barków i pleców. Powoli przyklęknął i zsunął miękko jej koszulę nocną.

- Nie chcę ci jej porwać - stwierdził szczególnym głosem.

Elgive śmiała się w zatykającym, zawrotnym upojeniu, łzy ciekły jej z oczu, gdy przycisnął ją do łóżka całując jej ciało, wstrzykując jej do krwi podniecenie każdym powolnym, doprowadzającym ją do szału ruchem.

Jej ręce napotkały gładki jedwab spodni pidżamy, zakrywających jego nogi i dotarły do twardego naprężonego mięśnia między nimi. Douglas wydał serię erotycznych, na wpół chrapliwych, gardłowych dźwięków, przepajała je łagodność. Kiedy rozchylił jej uda i dał jej niczym nie krępowany dowód uczuć, jak już to raz wcześniej zrobił, zatopiła dłonie w jego włosy i zacisnęła je, chcąc by to trwało wiecznie.

- El - wyszeptał szorstko, a jego ręce błądzące po jej ciele spowodowały jeszcze większą reakcję. Jej jęk spowodował, że przybliżył się do niej pośpiesznie, a ona zsunęła mu pidżamę z bioder. Każdy jego ruch pełen był wibrujących uczuć; jego dłonie nieustannie ją zdobywały i kiedy w nią wnikał, jego dotyk sprawił, że sama tego chciała.

Leżeli potem w spokojnym, słodkim transie, jego ciało spoczywało na niej, ciężkie i posiadające. Miłość, którą czuła, była głęboka i mocna, pełna marzeń o wspólnej przyszłości.

Pocałowała go w kark, a on układał jej włosy pod swą głowę w miękką poduszkę. Jego oddech, gorący i pełen zadowolenia, owiewał jej ramię; zaczął smakować jej skórę małymi liźnięciami, przyprawiając ją o drżenie.

Patrzyli na siebie leniwie, z miłością w oczach. Ze wstrzymywanym oddechem, Elgive przepływała z jednej sensacji w drugą, rozkoszując się smakiem jego ust, zaprawionym doskonałą whisky.

Kiedy przestali się całować i popatrzyli na siebie, oboje roześmiali się.

- Gapisz się w ciemnościach - wymruczał.

- Tak. Ty też.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest po tym, co się stało w lagunie?

- Nie. Tylko trochę zmięklam.

- Co byś powiedziała na kąpiel w bezpieczniejszej i mniejszej kałuży?

- No cóż, jeśli ty ze mną będziesz, to tak.

Roześmiał się, oddychając głęboko, bardzo szczęśliwy. Oczarowana i zaciekawiona Elgive pogłaskała go czule.

- Stop, niedowarzona czarodziejko - wyszeptał. - Chodź ze mną. Stojąc zapał się, pochwycił ją radośnie i pewnie za rękę i pociągnął. Wyskoczyła z łóżka i złapała go, ocierając się brzuchem o jego znów rozbudzone przyrodzenie.

Wyprowadził ją na zewnątrz, w przestrzeń zalaną światłem księżyca. Kiedy podniósł ją, by wsadzić w ciepłą, nieruchomą wodę, wydała cichy, radosny okrzyk. Włączył podgrzewacz i natrysk, po czym stanął koło niej.

Kombinacja ciepłej nocy i gorącego ciała Douglasa prędko uczyniła podgrzewacz zbędnym. Z kipiącą wokół niej wodą i z Douglasem całującym ją, nie mówiąc o tym, co robiły jego ręce, odtajała kompletnie.

Nie miała dotąd pojęcia, że tak hipnotyczna rozkosz w ogóle mogła istnieć; że może tak wspaniale harmonizować w jej wnętrzu, dzięki splatającym się nawzajem miłości i pożądaniu. I sugestie, które jej mrucał do ucha! Sama myśl o nich była szalenie podniecająca. Douglas nie wiedział, że częstował egzotycznymi łakociami kobietę, która nie знаła smaku cukru. Słyszała swój głos, odpowiadający mu przez mgłę ogarniającej ją namiętności. „Moglibyśmy? Chciałbyś? Tak”.

Księżyc przesuwiał się po niebie. Nocne ptaki przestały śpiewać, zasłuchane w miękką symfonię męskich i kobiecych głosów, płynących z balkonu. Ciemności pogłębiły się.

Elgive uśmiechnęła się do siebie, zanim zasnęła szczęśliwa, z głową na ramieniu Douglasa, leżąc obok niego na materacu, który wyciągnął w momencie szczególnej inspiracji.

Douglas Kincaid udowodnił, że wart był legend.

Elgive utrzymywała się na wodzie zupełnie nieruchomo, zadowolona. Uśmiechała się do Douglasa, unoszącego się na plecach wraz z głową i ramionami, oczy osłaniały mu od słońca jej nagie piersi.

- Mam nadzieję, że dobrze znasz techniki utrzymywania się na wodzie - powiedziała niepewnie.

Zachichotał, jego oddech dotknął jej piersi od spodu.

- Jeśli nic więcej, to przynajmniej można odkryć w tym mnóstwo przyjemności.

Musnął wargami jej wrażliwą skórę i Elgive westchnęła z rozkoszą. Świat przepelniony był wibrującymi uczuciami; otoczona była i wypełniona ulotnym pięknem. Cień drzew padał na płyty z piaskowca, którymi wyłożony był brzeg basenu. Gałęzie drzew przepuszczały promienie słońca na białe fotele i kostiumy kąpielowe, porzucone przez nich, gdy tylko znaleźli się sami wewnątrz, wysokich białych ścian.

Był to prywatny teren Douglasa, zupełnie odizolowany od reszty posiadłości, z małą przewiewną altaną z szarosrebrnego kamienia. Jedli tam lekki obiad, siedząc blisko siebie przy stole pięknie nakrytym przez służbę przed ich przyjściem. Jeść nago - to było dla Elgive nowe doświadczenie. Szczególnie deser.

Wyciągnęła rękę ku piersi Douglasa i podziwiała jego ciało z gorącym uznaniem. Oddany chwili, był on ekspertem od relaksu, tak samo świetny w tym, jak i we wszystkim

innym. Jego muskularne ramiona unosiły się spokojnie po bokach, a jego nogi poruszały się w kryształowej wodzie jak pełne gracji, mocarne kolumny.

Specjalnie ją hipnotyzował, była tego pewna, pozwalając swym nogom lekko się rozsuwać. Kochała jego sprawność, cieszyła się, mogąc go podziwiać. Część poniżej linii wody była piękna, zaś część powyżej napawała czcią.

- Fajne robisz wyspy - powiedziała, zobaczyła, jak się uśmiechnął.

- Och, laleczko. Spójrz, co twoje miłe słowa spowodowały. Wydaje mi się, że jedną z wysp przebywa trzęsienie ziemi.

- To wyspa wulkaniczną.

- Niebezpieczna?

- Można i tak na to popatrzeć.

- Może powinnam się jej bliżej przyjrzeć - wsunąwszy pod niego ręce, trzymała jego ciało w miejscu, podczas gdy sama przesunęła się bokiem. Myśl o intymnościach, które z nim chciała podzielić, przyprawiała ją o drzenie. Trochę się tego bała.

Obdarzył ją ubiegłej nocy i tego ranka obficie intymnym zainteresowaniem; podejmując inicjatywę w miły, bezpośredni sposób. Obawiała się, że dostrzeże, że jest nowicjuską, jeśli nie przedsięwzięmie W odpowiedzi jakichś odważnych posunięć. Jak go miała zachować, jeśli nie była tak zdolna, jak powinna być jego mała blondkandydatka na żonę?

Nie wiedziała, jak powiadomić go o swoich zamiarach. „Douglas, chcę złapać twego potwora z Loch Ness?” Nie, to było niezbyt dobre. Elgive zamknęła oczy i wypaliła:

- Myślę, że lepiej będzie zadowolić rozgniewanego ducha wulkanu, niż mu się sprzeciwiać.

- Och, El - jego głos przepelniało pożądanie. - Jesteś niesamowitą telepatką.

A więc on też zastanawiał się, kiedy ona zrobi coś więcej niż jedynie masowanie go pełnymi podziwu spojrzeciami. Elgive uśmiechnęła się do siebie samej. Kiedy chciała się nauczyć nowego sposobu tkania czy szydełkowania, atakowała po prostu i z zapalem.

Tak też zaatakowała teraz Douglasa.

Wydał z siebie jęk bólu i zaskoczenia, po czym się wyprostował w wodzie. Elgive straciła równowagę. Przyciągnął ją szybko z powrotem. Krztusząc się i kaszląc, wpatrywała się w jego skrzywioną twarz.

- To nie było śmieszne, El. Myślałem, że się kochamy, a nie płatamy sobie figle.

Chciała się spalić ze wstydu. Usiłowała go udobruchać.

- Nie chciałam cię urazić. Wybacz mi - dalsze wyjaśnienia ugrzęzły jej w gardle. Poniżenie było zbyt wielkie. Obróciła się szybko i ochlapała wodą rozgrzaną twarz. Ciało jej zeszywniało, jakby było jakąś obcą zasłoną.

- Skąd ci przyszło do głowy, że chcę być starty na miazgę? - odezwał się naburmuszony i zaskoczony.

- Przepraszam cię bardzo. Nie zrobię tego więcej, przyrzekam.

- Dlaczego w ogóle to zrobiłaś?

Nabrała w dłonie wody i zmyła z twarzy łzy złości.

Skąd miała wiedzieć, jak to robić? Nigdy nie miała szansy, by się tego nauczyć!

- Powiedziałam, że przepraszam, Douglas. Czy mógłbyś już skończyć ten temat? - słyszała swój żałośnie brzmiący głos, przełknęła ze złością ślinę. - Cholera.

Nagle przysunął się blisko do niej. Położył ręce na jej ramionach, przyciskając ją stanowczo, choć lekko.

- Wydaje mi się, że powinnaś mi to wyjaśnić - zamruczał, jego głos był znów pieszczotliwy. - Jakby nie było, mam mnóstwo podejrzeń. Mogłabyś więc je potwierdzić.

Westchnęła niezadowolona.

- Och! Myślałam, że jestem taka zdolna! Powinnam jedynie była wyryć sobie na czole wielkimi literami: „Uwaga! Kiepska kochanka!”

- El, El, cccicho - syknął miękko. Jego dłonie głaskały ją.
- Jesteś wspaniała. Ale jeszcze w Szkocji zauważyłem, że masz o wiele więcej zapału niż fachowej wiedzy.

- Właśnie - powiedziała gorzko, skinąwszy głową. - Braki są bardziej widocznie, niż myślałam.

- Istnieje jedynie jeden powód, dla którego seksowna, piękna kobieta może czuć się niepewnie po dwunastu latach małżeństwa - objął ją ramionami, dotykając piersią jej głowy.

- Jonathan widocznie nie dał ci zbyt wiele okazji do praktyk.

Jej ramiona drgnęły.

- Nie chcę o nim mówić. Był dla mnie dobry na wiele różnych sposobów.

- To pozostanie między nami, El. Nie chcę wyszukiwać błędów Jonathana; staram się jedynie zrozumieć ciebie i pomóc ci, byś się lepiej czuła - obrócił ją i położył jej głowę na swym ramieniu. Z rękoma ściśle ją oplatającymi wyszeptał:

- Jesteś fantastyczna, El. Nauczę cię tego, czego nie umiesz. Nigdy nie byłem szczęśliwszy czy bardziej zaspokojony. Mam nadzieję, że ty też tak czujesz.

- Och, tak - prawie stęknęła, nie mogąc znaleźć słów. - Ale nie chcę cię denerwować moimi błędami.

Uścisnął ją w odpowiedzi.

- Bez pracy nie ma kołaczy, zawsze to mówiłem. Poza tym uwielbiam wyzwania.

Elgive zaśmiała się zakłopotana:

- Twój wulkan mógł skończyć ze szramami na stałe.

- Jestem o wiele większy niż Wezuwiusz.

- Wiem, kochanie, ale chcę być dobra dla wszystkich twoich części.

Pocałował ją. Elgive objęła go i powiedziała wolno, boleśnie:

- Opowiem ci, co zazwyczaj robiłam, Douglas. Opowiem ci - odwróciła wzrok od jego gorzkosłodkiego współczucia, usiłując mówić normalnym głosem. - W naszą noc poślubną Jonathan powiedział mi: „Ellie, nie ruszaj się teraz. To potrwa tylko minutkę”. I ...nie trwało dłużej.

- Och, El.

- I to była mniej więcej jego postawa przez następnych dwanaście lat. Mówił: „Ellie, podnieś koszulkę, co?” Albo: „Ellie, mam mały problem z zaśnięciem”. To były jego sposoby, by grzecznie zapytać się o pozwolenie. Przypuszczam, że dokładnie możesz sobie wyobrazić, co następowało potem.

- Tak. Słodka moja, wybacz mi - wyszeptał Douglas. Potrząsnął głową. Jego ciemne oczy były pełne skruchy. - Przeskoczyłaś z uprzejmego seksu z dobrze wychowanym mężem w szaleństwo dzikiego nieznajomego. Nic dziwnego, że bałaś się mnie w Szkocji.

- Nie bałam się. Przytłoczyłeś mnie. Były chwile, kiedy myślałam, że pręty celi rozstąpią się pod spojrzeniami, które mi posyłałeś. Ale na długo przedtem sama modliłam się, by stopniały.

Douglas przesunął palcami po jej plecach, po czym ujął w swe dłonie jej pośladki. Podniósł ją do siebie. Zaśmiała się widząc natchniony wyraz jego oczu i grzeczny wyraz twarzy.

Zaniósł ją na płytszą wodę.

- Słuchaj swojego profesora, duża, słodka dziewczynko, a nauczę cię wszystkiego, co trzeba. Wpierw nauczę cię poskramiać wulkan. Następnie nauczę cię pływać.

- Pływać? Co to ma wspólnego z kochaniem?

- Wszystko zależy od tego, jak dobrze opanujesz głaskanie.

- Do czynu! - zawołała miękko i pocałowała go.

Drobiazgi powodowały, że kochał ją coraz bardziej. Jej niewinny zachwyty nad jedzeniem. Zabawny sposób, w jaki dzieliła z nim jego szczoteczkę do zębów i szorowała mu plecy, i mruzczała jak wielki, zadowolony kot, kiedy malował paznokcie jej stóp. Fakt, że nie udawała, iż rozumie się na wielkiej finansjerze, lecz podzieliła się z nim swoim poglądem na prowadzenie niewielkiego interesu.

Kochał ją za zawziętość, z jaką grała w monopol. Zbudowała sobie hotele wokół Park Place i zadowolona pobierała od niego opłaty, kiedy tam wylądował. Kochał ją za jej niechęć, by jej współczuć z powodu przerwanych studiów. Kochał ją za to, że była dumna z siebie i że wiedziała kim jest, i że wiedziała czego chce od życia.

Niestety, chciała wrócić do Szkocji.

Nie powiedziała nic konkretnego na ten temat; był jednak szczególny sposób, w jaki mówiła o swoim mieszkanku, sklepiku, miasteczku i dworze MacRothów, który bała się teraz zobaczyć, wiedząc, że będzie teraz na zawsze własnością jej i brata.

Douglas zastanawiał się, jak trudno byłoby jej przystosować się do życia gdziekolwiek indziej na świecie. Chciał pomówić z nią o przyszłości, ale się pohamował. Jej nowa wiara była zbyt krucha; wolał jej dać czas, by mogła mu uwierzyć bezgranicznie. Po tym, co wycierpiała w swoim małżeństwie, bał się wspominać o nowych więzach. Pierwszy raz w życiu był zadowolony, zaspokojony, cierpliwy.

I przerażony tym, że może ją stracić.

Kiedy obudzili się następnego ranka, byli jak zwykle w pół drogi, żeby zacząć się kochać. Wspaniale było czuć jej rozspane usta ocierające się o jego wargi i jej ciało odpowiadające na jego dotyk.

Potem leżała na nim z podciągniętymi kolanami wokół jego boków, a dłońmi pod jego karkiem. „Bardzo pouuczające” - mruknęła. - Jej akcent zawsze stawał się bardziej szkocki, kiedy była szczęśliwa.

Douglas pocałował ją w czubek nosa.

- Co byś powiedziała, żeby za parę godzin pojechać do Londynu?

- Ot tak? Mówisz to tak, jakby chodziło o pójście na zakupy do najbliższego sklepu.

- Bo tak jest. Weźmiemy mój helikopter do St. Thomas, następnie wstąpimy na pokład mojego odrzutowca. Obejrzymy parę dobrych filmów, zjemy coś pysznego, zdrzemniemy się i voila! jesteśmy w Londynie.

Błysk w jej oku informował go, iż zastanawiała się nad tym, że Londyn jest tak blisko jej domu.

- A potem?

- Muszę trochę popracować w moim biurze w Londynie, chcę spotkać paru ludzi, dotyczy to sieci sklepów, którą bym chciał uruchomić w Europie. „Gdzie będą sprzedawać wełniane wyroby Elgive MacRoth” - dodał w myśli.

Douglas połaskotał ją i miłośnie podrapał jej ogromne piersi.

- Mogłabyś spędzić dzień na zakupach. Dam ci szofera, który zabierze cię do najlepszych sklepów w mieście. Możesz kupić, cokolwiek tylko zechcesz.

- Nie chcę wydawać twoich pieniędzy, Douglas. Czułabym się jak twoja utrzymanka.

- I co? Ja byłem na twoim utrzymaniu przez prawie dwa tygodnie. Czy mogę też coś dołożyć?

- Przekręcasz znaczenie słów, bestio.

Nie chciał być natarczywy, ale jej odmowa, by dać się wciągnąć w jego styl życia, trochę go zmartwiła.

- Pozbawiasz mnie przyjemności zaproszenia cię na zakupy. Idź może chociaż popatrzeć sobie na wystawy, skoro twe niezależne małe serduszko nie pozwala ci wydać ociupinki moich nieprzeliczonych pieniędzy.

- Ha! Poinformujesz szofera, żeby zanotował wszystko, co mnie zainteresuje i wyślesz kogoś, żeby mi to wszystko później kupił.

Posłał jej zmęczone spojrzenie.

- Znasz mnie zbyt dobrze.

- Nie - pocałowała go. - Nie wystarczająco dobrze. Ale studiuję cię uważnie.

Douglas docenił jej trzeźwość. „Cierpliwości, Kincaid, cierpliwości.”

- Prawdopodobnie wiesz, że po tym, jak załatwię mój interes w Londynie, polecimy do Szkocji.

- Tak! - uśmiechnęła się radośnie. - Wszystko ci pokażę. Odwiedzimy dwór MacRotha i będziesz się mógł zaprzyjaźnić z moim bratem. Och, Douglas, dzięki, dzięki! To wszystko się tak dobrze skończyło! Nie mogę się doczekać, żeby pojechać do domu!

Przytuliła głowę do jego ramienia i uścisnęła go. Obejmował ją ciasno, czując zazdrość o to miejsce i krewnych, którzy mogli mu ją zabrać, jeśli okazałby się nieostrożny.

10

- Byłam już kiedyś w Londynie - oznajmiła mu następnego ranka. - Ale nigdy w ten sposób.

Douglas patrzył pogodnym, rozkochanym wzrokiem, gdy przemierzała olbrzymi salon ich apartamentu hotelowego, dotykając swymi palcami artystki staroświeckich złocień i brokatów. Była dzisiaj szczególnie radosna - rozmawiała ze swoim bratem przez telefon i przekonała go, aby ich jutro spotkał w Szkocji. Douglas pokiwał głową. Zdobycie

przyjaźni Roba MacRotha będzie następnym krokiem na drodze do zdobycia na stałe uczuć Elgive.

Teraz jednak nie chciał o tym myśleć. Chciał po prostu nacieszyć się jej widokiem. Długa do samej ziemi suknia szeleściła wokół kostek. Poranne światło sączyło się przez jedwabne zasłony w wysokim oknie, tworząc wokół jej głowy czarowną aureolę.

Była jego najwspanialszą kreacją, jego dziełem sztuki, i jeśli nigdy nie zechce dzielić się tym widokiem z kimś innym, kto za to miałby prawo go zganić? Koneser ma prawo do egoizmu, jeśli idzie o dzieła sztuki.

Douglas pobawił się chwilę złotymi spinkami do mankietów i nad wyraz dokładnie obciągnął czarną kamizelkę. Wślizgnął się w czarną marynarkę doskonale skrojonego garnituru i skrzywił się z niesmakiem. Był już spóźniony na naznaczone na dziewiątą rano spotkanie w swym biurówcu, siedzibie British Kincaid. Po raz pierwszy od lat nie chciało mu się pracować.

- Szofer będzie czekał o dziesiątej - przypomniał Elgive. - Chciałbym, żebyś poszła na zakupy.

Podeszła do niego i mocno go pocałowała.

- Do roboty, mój mężczyzno. Ja idę do muzeum.

- Okay. Jeśli byś była u Fordhama, poproś przynajmniej kustosa, żeby był twym osobistym przewodnikiem. Jest to przygotowane. Zrób to dla mnie. Chodzi mi o to, że powinienem coś dostać za wszystkie dotacje dla jego muzeum.

- Jesteś czarujący, Douglas - powiedziała uśmiechając się lekko i zalotnie uśmiechem kuszącym i karcącym zarazem.

- I pozbawiony sentymentów - zakończył - Zobaczymy - pocałowała go znowu, używając języka w delikatny, słodki sposób, tak że w momencie, kiedy opuszczał apartament, tak był nią zaprzątnięty, że wpadł na lokaja stojącego w holu.

Douglas pomógł mu wstać, wymamrotał nieprzytomnie przeprosiny i ku jego zdumieniu wcisnął mu w rękę stufuntowy banknot. Po czym oddalił się, pogwizdując.

- Większe wrażenie robią na tobie baśnie związane z tymi herbami niż same herby - zwrócił się do niej elegancki, niezbyt wysoki mężczyzna - kustosz z Fordham.

Elgive uśmiechnęła się.

- Och, nie mam nic przeciwko pięknej biżuterii, ale legendy są pewniejsze, - wskazała na szkło pancerne zatopione w marmurze. - Nie uważasz?

Niski, misiowaty mężczyzna zachichotał.

- Żebyś wiedziała - poszli dalej wzdłuż gablot. To jedna z najlepszych na świecie kolekcji herbów - pochwalił się kustosz.

Dotarli do gabloty, zawierającej połyskujący diadem z łożkowato obrobionych diamentów.

- Niesamowite - wyszeptała Elgive z podziwem.

- To „Łzy Simone”. Został zamówiony przez ojca pewnej francuskiej baronowej. Był to dar ślubny od ojca, który zmuszał ją do poślubienia mężczyzny, którego nie kochała. Istnieje drugi diadem, zwany „Uśmiech Simone”. Jej mąż zamówił go dla uczczenia ich złotych godów. Ich małżeństwo, jak się okazało - było szczęśliwe. „Uśmiech Simone” to wspaniałe szafiry.

Elgive podniosła szybko wzrok. Szafiry. Usiłowała nie dać po sobie nic poznać.

- Masz tu „Uśmiech Simone”? Kustosz wydawał się zaskoczony.

- No, nie. Myślałem, że wiesz. Mr. Kincaid negocjował o wykupienie diadem od arabskiego kolekcjonera, naszego patrona. Wydaje mi się, że kupno zostało sfinalizowane w zeszłym tygodniu.

Elgive wlepiła w niego wzrok. Uczucie pustki, zamętu zaczęło rosnać w jej sercu, nawet jeśli postanowiła nie przywiązywać zbyt dużo wagi do interesów Douglasa. Ale jej radość z oglądania Londynu i jej wielkie nadzieje na przyszłość zmalowały. A więc on ciągle jeszcze coś dodawał do swojej kolekcji.

„Ciągle jeszcze chciał szafirów dla swojej niebieskookiej blond żony”. Przyłożyła palce do oka. Douglas stał się daltonistą, ale nie na długo, jak widać.

Zwlekała z powrotem do hotelu. Dała szoferowi obwieźć się po znanych miejscach, gdzie udawała zainteresowanie. Myśli jej jednak krążyły boleśnie wokół wiadomości, że Douglas kupuje nadal szafiry.

Nie była dzieckiem marzącym na jawie; miała trzydzieści cztery lata, wdówka, niezależna kobieta pracująca, przy tym stąpająca po ziemi osoba, która nie tkała grubymi nićmi, kiedy oczekiwano czegoś zwiewnego. Douglasowi zależało na niej - nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale nie musiał jej kochać. Nie trzeba było być zakochanym, żeby zostać kochankiem - nawet jeśli dla jednej strony miłość była wszystkim.

- Monsieur, dr MacCannon tu jest - głos Gerty był łagodny i przyciszony, co oznaczało, że doktor stał tuż przy niej. Inaczej Gerta zaanonsowałaby go obcesowo jak żona generała.

Douglas odsunął stertę dokumentów na bok palisandrowego blatu swego biurka i przycisnął guzik na pulpicie biurofonu.

- Odśwież mi pamięć, Gerto.

- Badania genealogii klanu Kincaidów. Umówił się pan na przedyskutowanie jego pewnych odkryć. Wynajęłam go ze szkockiego uniwersytetu. Jest ekspertem od historii Szkocji.

Krew popłynęła szybciej w żyłach Douglasa.

- Wpuść go!

Niewielki, okrągły mężczyzna, odpowiednik szkockiego doktora Watsona wparadował do ciemno wykończonego biura, z akuratnie ułożonym grubym szkockim szalem ginącym pod kapą ze szkockiej kraty. Douglas wstał i wyciągnął rękę.

- Przyjemnie mi pana spotkać, dr MacCannon. Jestem Douglas Kincaid.

Dr MacCannon pochwycił dłoń Douglasa z zapalem i wyszczerzył zęby, po czym wrzasnął:

- Bardzo mi przyjemnie spotkać trzydziestego piątego księcia na Talrigh, bezpośredniego następcę Grzegorza z Wilków, dalekiego krewnego połowy dawnych królów Szkocji, zgodnie z prawami - głowę rodu Kincaidów - przerwał, po czym poważny i trochę napuszony dodał - z którego to dziwnym zbiegiem losu nie pozostało nic poza gałęzią amerykańską.

Ogłuszony tą wiadomością, Douglas zapytał powoli:

- Czyli to prawda? Kincaidowie byli ważnym rodem w Szkocji? I wszystkich ich zabito za wyjątkiem jednego jedyne go, który wywędrował do Ameryki?

- Tak.

Douglas wskazał na fotel.

- Proszę niech pan spocznie. I wszystko mi opowie.

Gdy historyk siadał, Douglas nadal patrzył na niego ze zdumieniem. Opadły go wyrzuty sumienia, gdy przypomniał sobie, jak nie wierzył Elgive i jak przeciwstawiał się jej próbom przekonania go o jego szkockim pochodzeniu.

Musiał poczekać z przeprosinami. Chciał jej od razu powiedzieć, jak dumny był z dzielenia z nią tych pięknych więzi. Douglas oparł obie dłonie na blacie i pochylił się ku MacCannonowi. pytania cisnęły mu się na usta. Wiedział, jakie zada pierwsze.

- Do licha, doktorze, dobra robota! Powiedz mi pan, co za szczury wygryzły mój ród?

MacCannon zamrugał szybko oczami nie rozumiejąc gangsterskiej odzywki. Po chwili znaczenie słów Kincaida dotarło do niego.

- Och! Wygryziono ich, to pewne! Wygryziono, pozostawiając jedynie Tammasa Kincaida przy życiu - jego zaś wsadzili na statek płynący do Ameryki! Wygryźli całą ferajnę i zburzyli zamek Talrigh!

Douglas pochylił się bardziej do przodu, fascynacja ustępowała jedynie niezadowoleniu z tego, że jakiś barbarzyński ród okradł jego przodków, a w związku z tym jego także

- Kto? - zażądał odpowiedzi. - Kto pomordował moich przodków?

Historyk uderzył się dramatycznie w pierś.

- Wssspaniały i potężny ród MacRothów.

Telefon zadzwonił przy śniadaniu koło szóstej rano, kiedy Douglas biegał. Elgive popatrzyła mętnie znad swojej nie tkniętej owsianki, pragnąc, by telefon się uciszył. Douglas wynajmował ten apartament na stałe i wszędzie były zainstalowane telefony, co powodowało straszną kakafonię, gdy dzwoniły.

Telefon stał na stole obok śniadania, które Douglas pozostawił po przełknięciu łyka kawy i sprawdzeniu z Gertą meldunków. Nie przestawał dzwonić, więc Elgive podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry, Gerto.

- Dzień dobry, madame MacRoth. Pani brat jest na linii.

Elgive podniosła ze zdumienia brwi.

- Dziękuję.

- Ellie, czy możesz rozmawiać swobodnie? - basowy głos Roba był cichy i przepelniony wściekłością.

- Tak. Co się stało?

- Gdzie jest ten sukinkot, Kincaid?

- Biega - Elgive zacisnęła palce na słuchawce telefonu tak mocno, że aż ją zaboląły. - Robbie, co się stało?

- On cię okłamał, Ellie. Miałem go na oku. Czarował cię swoją rzekomą przemianą i wykorzystywał cię bez skrupułów. Pozbieraj się i odejdz, zanim wróci, Ellie. Pojadę ciężarówką Duncana do Londynu i sam cię odbiorę...

- Robbie! O co oskarżasz Douglasa? - Elgive skuliła się, jak gdyby przygotowując się na przyjęcie niewidzialnego ciosu.

Miękki, czysty głos Roba zabrzmiał w słuchawce.

- Kupił posiadłość. Kupił ją wczoraj.

Gerta i jej dziesięcioosobowy sztab przywitali Douglasa, gdy powrócił do hotelowego pomieszczenia.

- Dzień dobry, monsieur K. - powiedziała Gerta, wręczając mu ręcznik.

- Dzień dobry - przetarł energicznie twarz i przewiesił sobie ręcznik przez ramię.

Zaprzątnięty planami na dzień dzisiejszy i Elgive, Douglas przeprowadził szybką naradę w czasie, gdy Gerta i jej sztab podążali za nim do jego prywatnej windy. Czuł się jak okręt flagowy, za którym podążały małe jednostki bojowe.

Zakończył spotkanie, zanim dotarli do hotelowego apartamentu.

- Jeszcze jedno - powiedziała Gerta, kiedy już wchodził do holu. - Madame MacRoth poprosiła mnie, bym pozmieniała program jutrzejszej wyprawy do Szkocji. Poczyńłam nowe przygotowania.

Douglas potknął się i w zdumieniu zmarszczył czoło.

- O co cię poprosiła?

- Życzyła sobie, żeby pilot poleciał w góry, a nie do miasteczka. Do znajdującej się tam chatki - Gerta spojrzała na

Douglasa, który odczytał w jej oczach słowa: - „Do twego byłego więzienia”. Poprosiła też, abym załatwiła koszyk z jedzeniem na drogę. Tak też zrobiłam.

- W porządku. Dziękuję ci. Wrócimy jutro wieczorem.

- Bon soir, monsieur.

Podążając w głąb holu, Douglas zerwał z ramienia swój ręcznik i mocno go skręcił. Znając obecnie historię MacRothów i Kincaidów, rozumiał, że Elgive mogła nie chcieć go kochać. Czy wymyśliła sobie, żeby go zabrać na miejsce ich pierwszych starć, żeby mu przypomnieć o dzielących ich różnicach? Żeby mu powiedzieć, że MacRoth nigdy nie poniży się do tego stopnia, żeby pokochać Kincaida?

Zatrzymał się przed drzwiami swego apartamentu i wziął kilka głębszych oddechów. „Cierpliwości, Douglas. Idź na kompromis. Historia się nie powtórzy. Tym razem Kincaid będzie zwycięzcą.”

Elgive myślała, że jej nerwy nie wytrzymają, jeśli natychmiast nie dowie się prawdy od Douglasa.

Siedząc przy dużym oknie helikoptera, głąskała Sama po złotym łbie i wpatrywała się uważnie w szary krajobraz, upstrzony małymi fermami i stadkami owiec. Ruiny średniowiecznego zamku zdobiły wzgórze, w pobliżu miasteczka.

- Odwiedzimy jeszcze wspanialsze miejsce - przyrzekła Samowi. - Zabiorę ciebie i Douglasa na wędrowkę do zamku Talrigh.

Elgive zamknęła oczy i wydawało jej się, że słyszy głos Roba:

„Tak, tak, przyciągnij tu sukinkota, Ellie. My będziemy czekać.”

Ale zanim ktokolwiek inny miał skonfrontować Douglasa, musiała usłyszeć od niego, że ją oszukał. Serce jej zamierało z

bólu, ale chciała dać mu tę szansę, chciała, by jej to sam wyjaśnił.

Wyczerpana wysiłkiem udawania zakochanej, Elgive popatrzyła na Douglasa, stwierdzając z zadowoleniem, że spał. Wyciągnięty na pluszowym fotelu przy oknie naprzeciwko niej, miał na uszach słuchawki stereo.

Z przykrością patrzyła na jego ubranie, na solidne traperskie buty, sweter i ciepłą kurtkę. Wyglądał teraz na miejscowego, a nie na przybysza z dalekich stron. Czy kłamał? Elgive popatrzyła na siebie. Miała podobne ubranie, stosowne do wędrówki, ciężką wełnianą kurtkę, pokrytą świecącym srebrnym materiałem. Prezent od mężczyzny, który prawdopodobnie ją oszukał. Jediną rzeczą, która Wydawała się prawdą, był ich stosunek. Nigdy jej nie powiedział, że ją kocha lub że chciałby z nią dzielić przyszłość.

Pełna rozterki odwróciła się do okna. Sam położył swój pysk na jej kolanie i z postawionymi uszami patrzył na przesuwające się pod nimi widoczki.

Elgive złapała jego kark i wyszeptwała:

- Oto kraj Szekspirowskiego Macbetha, piesku. Tak naprawdę Macbeth nie był wcale złym królem. Rządził przez wiele lat i jego podwładni dobrze o nim myśleli - oparła policzek na głowie Sama. - Chciałabym, żeby prawda zawsze była przyjemniejsza niż legendy.

Douglas milczał. Elgive nie mogła poznać czy jest znudzony, czy zachwycony. Była tak przepelniona obawami, że nie miała ochoty rozmawiać.

Stali nad brzegiem głębokich, purpurowo - czarnych wód Loch Talrigh i patrzyli na upiorne ruiny zamku, wyrastające ze skalistej wysepki jak naturalna formacja. Wody jeziora otaczały wyspę, prawie dotykały zamkowych fundamentów.

Nad wodą unosiła się lekka mgła, zaś ciekawe popołudniowe słońce wychynęło akurat zza szarych chmur, rozświetlając opary. Zamek stanął w srebrnej poświacie.

Ruiny były imponujące. Majestatyczne wieżyczki wystrzeliwały z murów obronnych; prostokąty światła wskazywały ślady po oknach. Elgive popatrzyła na Douglasa i powiedziała z największym spokojem, na jaki mogła się zdobyć:

- Zbudowany został w trzynastym wieku. Skinął głową.

- Zamek Talrigh - skierował na nią nieprzeniknione spojrzenie ciemnych oczu. - Usiłowałam mi kiedyś powiedzieć, że był to zamek Kincaidów.

- Nie przyprowadziłam cię tu po to, by udzielać ci lekcji historii, której nie chcesz znać - odrzekła, ale w jej głosie nie było wymówki.

Skinął, nie przestając się jej przyglądać.

- Czy powinienem był położyć mój stary cynizm na wodzie, jak sir Walter Raleigh swą kapę, abyśmy mogli pójść dalej?

- Nie. Możesz swój cynizm zapakować do łódki. Elgive wpatrzyła się w niewyraźne zarysy dawnego przejścia, widniejące zaledwie metr od ich stóp. Miała powody, by mu o nim nie mówić. Zerknęła na swój zegarek. Reszta wkrótce miała się zjawić.

- Chodź za mną - powiedziała i skinęła ręką. W gęstwinie znalazła starą łódkę, którą widać rybacy pozostawili już bardzo dawno temu i zupełnie o niej zapomnieli.

- Cieszę się, że nauczyłem cię pływać - powiedział Douglas, kiedy byli na połowie ciemnego, cichego jeziora. Wiosłował ostrożnie, jakby w obawie, że łódka lada chwila może się rozpaść na kawałki. - Sam, jeśli kichniesz, nigdy ci tego nie przebaczę.

Sam węsząc wtulił się w nogi Elgive i rozglądał niespokojnie wokoło.

Wkrótce rozpostarł się nad nimi chłodny cień zamku. Pozostawili łódź na wyciętej w kamieniu przystani, po czym Elgive poprowadziła go pod górę stopniami, wyrąbanymi w litej skale.

- Witaj w przeszłości - powiedziała miękko, serce jej biło mocno, była bardzo przejęta.

Wiatr pogwizdywał w wąskim przedsionku, przez który przedostali się do wnętrza zamku.

- Tu jest serce tej siedziby - oznajmiła Elgive, zataczając dłońmi krąg. - Kiedyś był to wspaniały dwór. Wyobraź go sobie teraz z wysokim, wyniosłym dachem z ciężkich bierwion i z pokrywającymi ściany ozdobami - wskazała na miejsce po palenisku. - Z miłym ciepłem i z psem leżącym na chodniku przed kominkiem. - Elgive wskazała na osobliwe podpory kamienne, wychodzące z górnej części ściany. - Tam była galeria dla trubadurów. Można prawie usłyszeć ich muzykę, jeśli się ma trochę wyobraźni.

- Lubisz to miejsce - zauważył Douglas.

- No cóż, uważam je trochę za własne. Jest zbyt oddalone od szlaków turystycznych, toteż przychodzi tu niewielu ludzi, by je obejrzeć. Jest to szczególne miejsce dla tych spośród nas, którzy cenią sobie historię.

- Nawet jeśli nie są to dzieje MacRothów?

Splatając dłonie, popatrzyła na niego ze wzrastającym zdenerwowaniem. Była najwyższa pora, żeby porozmawiać.

- No cóż, widzisz, my, MacRothowie utraciliśmy swój zamek. Został zniszczony przez Anglików. Stał na miejscu dzisiejszego dworu.

- Tak więc ty zaadoptowałaś ten zamek?

- Tak - włożyła ręce do kieszeni kurtki. - Chodź za mną.

Wprowadziła go na podwórzec, ciasno otoczony kamiennymi ścianami. Wielkie otwory po drzwiach i oknach patrzyły na nich ze wszystkich stron jak oczy niewidomego. Elgive uspokoiła się, gdy Douglas zrobił kilka kroków i stanął na środku podwórza i tam, wysoki, cichy, z powagą przyglądał się starym murom.

Jego wzrok padł na nią. Oczy rozbłysły dumą i satysfakcją - prawie przenikliwie zawładnęły wszystkim, włącznie z nią samą.

- El - odezwał się z wolna. - Wiem o wszystkim, co wydarzyło się pomiędzy MacRothami i Kincaidami. Przepraszam cię, że ci nie wierzyłem. Wynająłem kogoś, by to zbadał i on mi opowiedział. Znam całą historię, aż do czasów bitwy, podczas której zniszczono ten zamek.

Elgive przełknęła ślinę, wpatrując się w niego przerażona, nie rozumiejąc niczego.

- A więc chcesz zemsty - powiedziała przytłumionym ze wściekłości głosem. - Rozumiem. Dlatego mnie oszukałeś.

Odwrócił się szybko w jej stronę.

- Okłamałem cię? Jak?

- Wczoraj kupiłeś posiadłość MacRothów! Zatrzymał się jak wryty. Przez kilka sekund milczał, ciężko dysząc.

- Tak - odezwał się w końcu. - Miała to być niespodzianka. Jak, do diabła, dowiedziałaś się o tym?

- Niespodzianka? - zatrzęsła się ze złości i obrzydzenia. - Ty bezduszny złodzieju! Mój brat nigdy ci nie ufał, miał cię cały czas na oku przez przyjaciół w rządzie! Zadzwoił do mnie dziś rano i powiedział mi, coś ty zrobił!

- Przypomnij mi, żebym zatkał mu jego wielką jadaczkę.

W oddali rozległ się strzał. Elgive odwróciła się i pobiegła ku schodkom, wspinającym się na jedną ze ścian.

- Wyjaśnisz swą przewrotność członkom mojego rodu - zawołała do Douglasa. - Sprawia, że ostatnia bitwa między MacRothami i Kincaidami wyda ci się piknikiem.

Serce podskoczyło jej do gardła, gdy posłyszała, że Douglas podąża za nią. Pies biegał tam i z powrotem po podwórku i szczekał. Elgive wspięła się na mur. Douglas pojawił się sekundę później. Chwyciła się zewnętrznej ściany, by zachować równowagę i cofnęła się. Z nasrożoną twarzą przybliżał się ku niej.

- Nie dbam o to, czy nasze rody spędziły siedem wieków na próbie wzajemnego mordowania się - powiedział urywanym, przepelnionym wściekłością głosem. - Nie obchodzi mnie, że to, co pozostało z twego rodu, ubiega się o dokończenie tego, co ich przodkowie zaczęli. Ale że ty... - posuwał się dalej. - Myślałem, że mi ufałaś.

Elgive dotarła do miejsca, gdzie ściana się wybrzuszyła, blokując drogę.

- Ufałam! A ty mi za to zapłaciłeś, biorąc to, czego przyrzekałeś nie ruszać!

Następny strzał rozległ się blisko, kula uderzyła o ścianę gdzieś pod nimi. Douglas złapał za szczyt ściany i wychylił się nad jezioro. Znieruchomiał ze zdumienia. Po wodzie maszerowało ponad dwudziestu rozgniewanych ludzi. Elgive machała do Roba, prowadzącego watahę wzdłuż zygzakowatej przeprawy. Duncan szedł, trzymając na plecach matkę; za nim Andrew, dr Graham, John Callum, Richard Maxwell i inni, razem z trzema starymi sługami z dworu MacRothów, którzy zawsze byli wierni jej i Robowi.

- Przyszli cię sprawdzić, Douglas, i nie uda ci się wymknąć po twojemu z tego problemu. Lepiej więc powiedz prawdę o twoich planach odnośnie miasteczka i gospodarstw oraz dworu MacRothów.

- Jeśli chcą się bić, to świetnie. Ale ty tym razem będziesz po mojej stronie.

Schwycił ją za przegub jedną ręką i sprowadził po schodach. Ciągnąc ją za sobą, wyszedł na środek podwórca i stanął nieruchomo. Kiedy usiłowała uciec, przytrzymał ją w pasie. - Sam, idź - rozkazał, wskazując odległy róg. Sam niechętnie usłuchał. - Zostań.

- Nic nie zrobią niewinnemu psu - powiedziała ze złością Elgive.

- Taak? - jego oczy zapłonęły wyzwaniem. - MacRothowie oblegali ten zamek, wiedząc, że w środku były głodujące kobiety i dzieci.

- Ponieważ mężczyźni z rodu Kincaidów byli zbyt dumni, żeby się poddać!

- Toteż MacRothowie nie mieli tego problemu, prawda? Ukradli broszę żonie przywódcy Kincaidów i nie chcieli jej oddać.

- Tak, ale był to jedynie żart jakiegoś chłopca. Chcieliśmy układów w sprawie zwrócenia tego klejnotu, kiedy wy Kincaidowie, zaprosiliście w gošcinę połowę naszych mężczyzn - i wymordowaliście ich zdradziecko!

- Nie zasłużyliśmy u Korony na banicję za ten błąd! MacRothowie i Kincaidowie wykańczali się nawzajem od wieków!

- Splamiliście honor, kiedy wciągnęliście swych wrogów w taką pułapkę! Nie kalanie serca i domu było odwieczną, niepisaną konwencją!

- Myśmy nie złamali praw, myśmy ich jedynie nadużyli!

- Och! Przemówiłeś jak prawdziwy Kincaid!

- Czy nie masz żadnego współczucia dla kobiet i dzieci, które tu umarły?

- Tak. Ale nie musiałyby umrzeć, gdyby się poddały! MacRothowie dawali im szansę, Douglas, ale one jej nie wykorzystały!

- Może wolały umrzeć na szkockiej ziemi, niż zostać wywiezione do zamorskich kolonii jako przestępczynie!

- Powinieneś się cieszyć, że Tammias Kincaid został złapany i zesłany, aby zacząć nowe życie, bo inaczej by cię tu nie było!

- Tak, mój ród przetrwał, Bogu dzięki. Kincaidowie - zanucił ironicznie. - Wróciliśmy. Nikczemnicy. A teraz, jako pan tego zamku nie chcę mieć żadnych problemów z jakimkolwiek MacRothami.

W tej chwili Rob wpadł na podwórzec, z kaloszy kapała mu woda, długi płaszcz powiewał za jego wielkim ciałem, potężne dłonie zaciśnięte były w pięści. Za nim wpadli pozostali.

- Witajcie, MacRothowie - głośno powiedział Douglas.

Rob zatrzymał się na odległość ręki, z piersią wezbraną od gniewu.

- Puść moją siostrę i przybierz postawę, Kincaid.

- Zrobię jedno, tymczasem, ale nie to drugie. Douglas puścił Elgive i, położywszy jej lekko rękę

na ramieniu, popchnął na bok. Popatrzył prosto w oczy Roba i powiedział spokojnie:

- Nie chcę się z tobą bić. Rob skrzywił się z niesmakiem.

- Jesteś Kincaid. Nie ma dla ciebie nic przyjemniejszego, niż móc się wykazać. Będziesz walczył.

Douglas opuścił ręce.

- Nie!

Pięść Roba wyprysnęła z zaskakującą lekkością i uderzyła Douglasa w usta. Douglas zachwiał się, ale nie zrobił nic. Z rozbitej wargi popłynęła mu obficie krew.

- Przestań! - rozpaczliwie krzyknęła Elgive.

- Walcz, Kincaid - wycharczał Rob. Douglas posłał mu ojcowski uśmiech.

- Pocałuj mnie w nos.

Rob uderzył go znowu. Douglas o mało nie upadł. Odzyskując równowagę, zatoczył się jak pijany, ale nie podjął walki.

Elgive podskoczyła do przodu.

- Dlaczego? Czemu to robisz? - załkała, chwytając kurtkę Douglasa. - Czemu się nie bronisz?

Z mocno rozkrwawionymi teraz ustami, zmrużonymi z bólu oczami popatrzył na nią i powiedział cicho:

- Ponieważ jeden z nas musi ustąpić, jeśli ta wendeta kiedykolwiek ma się zakończyć - przerwał i, wpatrując się w nią, dodał: - Ponieważ on jest twoim bratem i nie chcę go uderzyć. Ponieważ cię kocham.

Nogi ugięły się pod Elgive. Przypatrywała się Douglasowi, po chwili nie mogła zobaczyć niczego przez potok własnych łez. Niejasno uświadomiła sobie, że wszyscy zgromadzili się wkoło, by patrzeć i słuchać.

- Jeśli mnie kochasz, to dlaczego kupiłeś majątek?

- Ni bój, ni czary - nic ich nie ocali - wyrecytował. - Jedyne prawdziwa miłość ukoi ból i zagoi odwieczne rany, tak aby stare żale mogły się w końcu oddalić - uśmiechnął się ze znużeniem. - Jestem aktorem z zamiłowania. Stąd pamięć do wierszy. Badacz, którego wynająłem, pokazał mi poemat i przeczytałem go co najmniej kilkanaście razy.

- Ale nadal nie rozumiem..

- Wiedząc, jak poważnie traktujesz swoją rodzinną historię, obawiałem się, że nigdy nie zapomnisz i nie przebaczysz. Zdecydowałem, że muszę zrobić ten wielki gest. Że jest to niezbędne,

- On stara się wywinąć na swój sposób, Ellie - wtrącił Rob.

Douglas nie odrywał od niej spojrzenia.

- Nie, El. Mój gest po prostu nie wypalił, to wszystko.

Uniosła drżącą rękę do jego twarzy i otarła krew.

- Co ty sobie wyobrażałeś! Że co zrobię, gdy się dowiem, że kupiłeś mój dom?

Pochwycił ją za obie ręce i przyciągnął do siebie.

- Myślałem, że wyjdiesz za mnie.

Z oblegającego ich tłumu dobiegły pomruki i okrzyki.

- Dziwny sposób myślenia mają ci Amerykanie - powiedział prychając Duncan.

- Myślę, że zamroczyły go uderzenia Robbiego - zauważył Andrew.

- Uderz go jeszcze raz - zarządziła matka. Elgive mocniej schwyciła za kurtkę Douglasa.

Wyglądało na to, że potężne ciosy Roba - uderzenia, które powaliłyby każdego z obecnych tu mężczyzn - nieco go nadwerężyły, ale był zupełnie przytomny.

„Poślubić go?” - pomyślała.

- Wiem, że musielibyśmy oboje zgodzić się co do tego, żeby wprowadzić pewne zmiany w naszym życiu - odezwał się do niej. - Ale możemy to przecież zrobić. Czy kiedykolwiek myślałaś, że możesz mnie poślubić? - zapytał. - Pomimo iż noszę nazwisko Kincaid?

Elgive wpatrywała się w niego bez zmrużenia.

- Myślałam o tym cały czas. Szeroki uśmiech, wpłynął mu na usta.

- Mój Panie! El, nie wiedziałem! Myślałem...

- Dlaczego miałabym ci o tym powiedzieć? Powiedziałeś mi przecież, że nie jestem blondynką, nie mam niebieskich oczu, nie jestem...

- Zbyt dobra w zapamiętywaniu szczegółów - zakończył.

- Inaczej pamiętałaabyś, że powiedziałem to wszystko, gdy oskarżałaś mnie o mnóstwo okropnych rzeczy, wymyślałaś

mi, zdzieliłaś po knykcjach kawałkiem szczapy, usiłowałaś nakłonić mnie do apatii i zasypiałaś, kiedy robiłem striptease. Mogłem wówczas powiedzieć wszystko, żeby się odgryźć.

- Ale... szafiry, dla niebieskookiej blondynki? Douglas, wiem, że kupiłaś właśnie nową sztukę do twojej kolekcji - powtórzyła to, co powiedział jej kustosz.

Zachichotała.

- Zbieram szafiry. Ale żebyś zobaczyła moją kolekcję szmaragdów! Tak - dotknął jej kasztanowych włosów, oczy mu rozbłysły myślą o przyszłości. - Tak - przemówił jeszcze czulszym głosem - polubisz nosić szafiry, ale pokochasz nosić szmaragdy.

- Ellie, on blefuje - ostrzegł ją Rob, ale ton jego głosu był raczej powściągliwy.

Elgive potrząsnęła swą głową.

- Douglas, dlaczego wykupienie posiadłości MacRothów miałyby spowodować, że zechcę zostać twoją żoną?

- Ponieważ miałem ci ją dać w prezencie jako miły podarek - zachnął się. - Ponieważ daję ci ją w prezencie jako miły podarek.

- Chodzi ci o to, że jeśli cię nie poślubię, zatrzymasz sobie posiadłość?

- Teraz wyjdzie szydło z worka - ponuro odezwał się Rob.

Elgive wpatrywała się długo w oczy Douglasa. W jego spojrzeniu dostrzegła wymówkę.

- Wcale nie, Rob - wyszeptała. - Podarowałby posiadłość bez względu na to, czybym za niego wyszła, czy nie.

- Pewnie - przemówił z sarkazmem Duncan. - Zapłacił za coś, co i tak byś miała dostać, mógł więc ci to dać. Przekazał mnóstwo pieniędzy za starą posiadłość Angus nadaremnie, ponieważ wszystko zostało przelane do Banku Szkocji. Douglas Kincaid podarował tę sumkę Bankowi Szkocji tylko

dla pięknego gestu! Bzdury, panowie! To bajki dla naiwniaków!

Douglas nie spuszczał spojrzenia z jej oczu. Wydawał się być wyłączony z otaczającego go świata i ona zaczynała czuć to samo.

- Wierzę mu - oznajmiła, i dużo ciszej, do niego tylko rzekła: - Wydaje mi się, że doceniłeś trochę siłę baśni - Elgive stanęła na palcach i pocałowała go w nieuszkodzony kącik ust.

On wziął ją w ramiona i przytrzymał blisko, z ustami tuż koło jej ucha wyszeptał, tak że tylko ona mogła usłyszeć:

- Kocham cię. Kocham cię, ty piękna MacRothko.

- Wszyscy zaprzyjaźniają się z Kincaidem - zarządziła matka Duncana swym autorytatywnym tonem szkolnej nauczycielki. - Jeśli się wycofa ze swych małżeńskich propozycji, wtedy damy mu wycisk.

Elgive odsunęła się od Douglasa i popatrzyła na niego z rozpaczą.

- Jeszcze chwilę, chwilę...

- Kochasz mnie? - zapytał marszcząc czoło na widok jej oporu.

- Och, kochany mój, czy nie widzisz? Nie widzisz, że kocham cię tak bardzo, że aż mnie to unieszczęśliwia?

- To nie jest dokładnie taka odpowiedź, jakiej bym sobie życzył, El.

Wzięła jego twarz pomiędzy dłonie.

- Douglas, nie zapomniałeś? Może nie mogę mieć dzieci. Jak byś to przyjął, gdybym nie mogła?

- Byłoby mi szkoda - pocałował ją. - Ale nie żałowałbym tego, że ciebie poślubiłem. Pomogłem się podnieść Kashowi Santelli - umiem być przybranym ojcem. Byłbym szczęśliwy. Jakby nie było, to przecież my, Szkoci, powszechnie zwykliśmy przyjmować nazwisko głowy rodu? Adoptowane dzieci byłyby niezłym zapewnieniem, że świat pełen będzie

Kincaidów utrzymujących MacRothów w ryzach - uśmiechnął się złośliwie. - Nie wiem, czy to więzy krwi, czy nie, ale wy wszyscy macie podobny temperament - uśmiech zaniknął na jego twarzy i poważnie popatrzył na Elgive. - Wyjdź za mnie, kocham cię. Będę dla ciebie dobry i dla wszystkich, i wszystkiego co kochasz - zamilkł i zerknął przez ramię na Roba. - Nawet i dla niego.

Elgive odwróciła się, by spojrzeć na brata. Rob gapił się to na nią, to na niego.

- Jeśli on cię poślubi, zaakceptuję go - odezwał się Rob. - Ale on zawsze będzie Kincaidem, Ellie. Czy pewna jesteś, że chcesz przyjąć jego nazwisko?

Elgive odwróciła się z powrotem ku mężczyźnie, który obejmował ją tak zaborczo.

- Zawsze pozostanę MacRoth - mruknęła, zatracając się w oczach pięknych jak oczy wilka z Tekleshire, choć w tym momencie nie miały dzikiego wyrazu. Trochę się na nią boczyły za jej dumę, ale kochały ją i przyrzekały dzielić się z nią rozkoszą do końca życia.

- Pozostanę MacRoth - powtórzyła szczególnym tonem. - Ale nie będę miała nic przeciw noszeniu równocześnie nazwiska Kincaida.

Douglas pocałował ją. Następnie podniósł głowę ku otaczającemu ich tłumowi i popatrzył ku zamkowi i duchom wszystkich żyjących tu i zmarłych Kincaidów.

- Ja, Douglas Kincaid, książę Talrigh, głowa rodu Kincaidów, ogłaszam trwały pokój pomiędzy Kincaidami i MacRothami. Niech miłość ukoi to, czego nie mogły złagodzić ani bój, ani czary - ani porwanie.

Zniżył swój wzrok ku Elgive.

- A teraz, Elgive MacRoth - czy chcesz przypieczętować ten pokój, poślubiając mnie?

Elgive zarzuciła mu ręce na szyję i śmiejąc się powiedziała:

- Tak.

Stali w świetle księżyca, przy uroczym starym oknie, owinięci w koc i opleceni ramionami. Ona drżała trochę, bo zimny przeciąg przebiegał po jej bosych stopach, toteż Douglas przytulił ją mocniej. Z zadowoleniem zaśmiał się lekko. Miał rozbitą wargę, wydał mnóstwo pieniędzy na posiadłość, której nie musiał kupować, po czym po prostu ją podarował. Teraz spędzał noc w jednym z owych drogich pokoi sypialnych, które kupiwszy, oddawał za darmo. Była to zimna sypialnia, pełna brzydkich wiktoriańskich mebli i staroświeckich, zakurzonych drobiazgów.

Ale jeszcze nigdy w swym życiu nie był tak szczęśliwy.

Elgive przechyliła głowę i umieściła ostrożnie delikatny pocałunek na jego zranionych ustach. Jej ręce ślizgały się w górę i w dół po jego plecach, głaszcząc go czule. Ocierała się nagą pierś o jego pierś i patrzyła zalotnie spod oka.

Uśmiechnął się, krzywiąc się z bólu. Zachichotał, że ma takie szczęście.

- Douglas Kincaid, wydaje mi się, że jesteś dziś w nocy zadowolony i słodki jak baranek - przemówiła.

- Tak cię kocham.

W jej oczach zabłysła radość.

- Kochany, zostań słodkim barankiem. Postaram się, żebyś został - ujęła jego ręce i pociągnęła go ku niezgrabnemu, kwadratowemu łóżku. - Mój biedny, poraniony kochany. Chodź, niech prawdziwa miłość ukoji jeszcze trochę twój ból.

- Prawdziwa miłość. Czy mówimy znowu o legendach?

Popchnęła go na łóżko, gdzie wkrótce przywarli do siebie pod kołdrami.

- Tak, i w przyszłości też nie przestaniemy o nich mówić
- zapewniła.

Douglas poczuł słodki, czuły dotyk jej rąk i dojrzał zachwyty w jej oczach.

- Wierzę ci - wyszeptał.

- Wierz mi, że spędzę resztę życia udowadniając ci, że MacRoth wie, jak na śmierć uszczęśliwić Kincaida.

- Ale nie lepiej niż Kincaid, który dobrze wie, jak uszczęśliwiać MacRotha.

- Zakład, ty zarozumiały Kincaidzie?

- Już przybijam, MacRoth. Pocałował ją. To był zaledwie początek.